



ANNA DILLON

I po romansie

...ale co z miłością?



Wydawnictwo Dolnośląskie

Dillon Anna

Romans 02

I po romansie

Co zrobić, kiedy romans się kończy? Czy można wybaczyć zdradę? I jak z nią żyć? - odpowiedzi na te pytania poszukują mąż, żona i kochanka, bohaterowie powieści będącej kontynuacją bestsellerowego "Romansu".

Robert rozstaje się z kochanką i decyduje się naprawić swoje małżeństwo. Ale nie przestał kochać Stephanie, która odkryła przed nim uroki życia. Czy znów zdradzi którąś z dwóch kobiet? Kathy próbuje pogodzić się ze zdradą i po dwudziestu latach małżeństwa odmienić swoje życie. Czy da mężowi drugą szansę, której on nie zmarnuje? Zraniona Stephanie musi upewnić się, że Robert naprawdę ją kocha. Chciałaby mu uwierzyć - ale raz nadszarpięte zaufanie trudno odbudować...

KSIĘGA PIERWSZA

Opowieść kochanki

Kiedy zdecydowałam, że nie będę o niego walczyć?

Może w chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że żona wciąż go kocha, a on kocha ją?

Albo wtedy, gdy uświadomiłam sobie, że będę postrzegana jako kobieta, która zniszczyła czyjeś małżeństwo, zabierając rodzinie męża i ojca?

A może w momencie, w którym ujrzałam swoją przyszłość w roli żony-kochanki-gospodyni Roberta... i nie spodobała mi się ta perspektywa?

Tak. Właśnie wtedy.

A łe wciąż go kochałam.

Boże, dopomóż... ciągle go kochałam, I wydawało mi się, że tak będzie już zawsze.

Rozdział 1

Wtorek, 24 grudnia WIGILIA

Stephanie Burroughs skrzyła w stronę hali odlotów, przyciągnęła do siebie Sally Wilson i przytuliła ją mocno.

- Dzięki - wyszeptała ciepło do ucha przyjaciółki. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Sally odwzajemniła uścisk.

- Nie musisz jechać - powiedziała szybko, powstrzymując ciskające się do oczu łzy. - Możesz zostać na święta ze mną i Dave'em. Nie będziesz sama. Stephanie odsunęła się i potrząsnęła głową.

- Miałabym zrujnować także wasze święta? Nie, muszę jechać. Poza tym wydawało mi się, że twój chłopak ma zamiar oświadczyć ci się dziś o północy!'

- Ćsss! - Sally położyła palec na ustach Stephanie i spojrzała przez ramię na poirytowanego i mizernie wyglądającego Dave'a, który przeglądał w kiosku czasopisma. Mężczyzna podniósł wzrok, dostrzegł patrzące na niego kobiety i uśmiechnął się, odsłaniając szeroko rozstawione zęby, po czym wrócił do czytania. Przedtem nie omieszkał jednak znacząco spojrzeć na zegarek. - On nawet nie przypuszcza, że wiem o jego planach - mówiła Sally. - A tak łatwo się domyśliłam. Szkoda, że nie dał jeszcze ogłoszenia do gazety.

- Wigilijne oświadczyzny są bardzo romantyczne - zauważyła Stephanie.

- Zostań z nami - nalegała Sally. - Proszę! Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

- Poradzę sobie - zaprotestowała Stephanie. - Dzięki za propozycję, ale muszę jechać. Wiesz o tym. Chcę jechać. Nie mam zamiaru spędzać samotnic kolejnego Bożego Narodzenia. W zeszłym roku przysięgałam, że nigdy więcej tego nie doświadczę.

- Kiedy wrócisz? Sally patrzyła, jak Stephanie podnosi swój wypchany kuferek i stawia go na podręcznej walizce Samsonite'a na kółkach.

- Nie wiem. Udało mi się dostać bilet do Nowego Jorku tylko w jedną stronę. Nie jestem pewna, kiedy będę z powrotem. Na pewno przed Nowym Rokiem, ale wcześniej zadzwonię.

Szybko ucałowała Sally w policzek i dołączyła do długiej kolejki przy odprawie.

Przyjaciółka wyszła z tłumu, stanęła przy lotniskowym kiosku i pomachała raz jeszcze, kiedy Stephanie podawała już urzędnikowi przy bramce paszport i kartę pokładową. Ta odwróciła się na chwilę i odmachała szybko, po czym skręciła i stała się tylko niewyraźnym kształtem za szybą. Z uczuciem dziwnego osamotnienia Sally obróciła się, dołączając do Dave'a, wzięła go pod ramię i poprowadziła w stronę wyjścia przez szalejący na dublińskim lotnisku wigilijny tłum.

- Powrót do domu zajmie nam wieki narzeka Dave. - Czy ona nie mogła pojechać taksówką?

Mimo że Sally wydawała się malutka przy wysokim i potężnym mężczyźnie, nie dawała mu się zdominować. Wbijając mocno paznokcie w jego ramię, odburknęła:

- Nie mogła. Jest moją przyjaciółką i przechodzi trudne chwile. Nie wyobrażam sobie, jak musiała się czuć, kiedy otworzyła drzwi i zobaczyła w progu żonę Roberta!

No cóż, gdyby twoja koleżanka nie zabawiała się z żonatym facetem, nie znalazłaby się w takiej sytuacji - oświadczył Dave, czekając na cios, który, o dziwo, nie nadszedł. Spoglądając kątem oka na Sally, domyślił się, że pewnie się z nim zgadza. Pierwszy raz, jak stwierdził.

Nie tak planowała spędzić Wigilię.

Stephanie Burroughs zdjęła bagaż z taśmy, postawiła walizkę na ziemi i wyciągnęła rączkę. Ciągnąc rzeczy za sobą, skręciła w prawo, w stronę sklepu wolnocłowego.

Miała nadzieję, że spędzi Wigilię w towarzystwie -i w ramionach - ukochanego. Teraz powinni siedzieć przy kominku, pić dobre czerwone wino, rozkoszując się zapachem sosnowych świeczek i słuchając cichych dźwięków kolęd. Po kieliszku, dwóch kochaliby się, a potem rozpakowali swoje świąteczne prezenty i może znowu się kochali.

Zacząła snuć te fantazje kilka tygodni temu. Kupiła nawet butelkę wina - obrzydliwie drogiego Cabernet Sauvignon za dwadzieścia pięć euro - i poświęciła wiele godzin, aby wybrać odpowiednią muzykę i zapachowe świece dla zbudowania nastroju. Ale nawet kiedy dopasowywała elementy tej idealnej świątecznej układanki, w głębi serca czuła, że sen nigdy się nie spełni.

Jej ukochany nie zostawi żony i dzieci w Wigilię. Chciał spędzić ten wieczór z rodziną. Stephanie to zaakceptowała, wierzyła bowiem, że Robert Walker - z którym była od półtora roku - w końcu zdecydował się powiedzieć żonie, że odchodzi. Miał zamiar zrobić to po świętach, a potem spędzić ze Stephanie Sylwestra. Jeśli więc nie mogła spełnić swoich wigilijnych marzeń, może choć te noworoczne... Nowy początek nowego roku z mężczyzną, którego kocha.

Oczywiście myślała tak, dopóki nie spotkała się z Ka-thy Walker, jego żoną. A teraz...?

Teraz szła przez dublińskie lotnisko z pięćdziesięcioma dolarami w gotówce, ciągnąc za sobą niewielką walizkę i jadąc do rodziny, której ledwie wczoraj oświadczyła, że nie ma najmniejszego zamiaru przyjeżdżać do domu na Boże Narodzenie.

Stephanie weszła do sklepu wolnocłowego: musiała zawieźć do Stanów coś irlandzkiego. Wysłała już świąteczne prezenty rodzicom, czterem braciom i dwóm siostram, ale nie mogła pojawić się bez choćby drobiazgu. Półki w sklepie świeciły pustkami, a przy kasach ciągnęły się długie kolejki. Na szczęście Stephanie znalazła dwie najważniejsze rzeczy, które zawsze kupowała, odwiedzając Stany: whisky Bushmills i czekoladki Butler's. Nie było nic bardziej irlandzkiego. Wyszła i skierowała się w stronę wyjścia B.

Niecałe sześć godzin wcześniej taka Wigilia wydawała się całkiem zwyczajna - o ile to w ogóle możliwe. Stephanie czuła się szczęśliwa... nie, „szczęśliwa” to za mocne słowo. Była zadowolona. Wczoraj nie była jeszcze do końca przekonana, czy Robert powinien powiedzieć Ka-thy prawdę. Jednak wiedziała, że tak trzeba, tak powinno być, bo dotąd okłamywał je obie i siebie samego. Musiał się przyznać. Według Roberta małżeńskie więzy rozpadły się dawno temu, więc Stephanie wydawało się, że wiadomość o odejściu męża nie będzie dla Kathy niespodzianką, a może nawet przyniesie jej ulgę. Szczerze współczuła kobiecie, która wkrótce miała się dowiedzieć, że jej osiemnastoletnie małżeństwo ma się rozpaść.

A potem, sześć godzin temu, Kathy Walker pojawiła się w drzwiach domu Stephanie. Czterdzieści pięć minut później przyszedł Robert.

W ciągu tych kilkudziesięciu minut Stephanie zrozumiała kilka spraw. Pojęta, że Kathy wciąż kocha Roberta bardzo go kocha - i, co gorsza, to uczucie jest odwzajemnione. Stephanie wyobraziła sobie również, jak może wyglądać jej własna przyszłość w roli partnerki Roberta. I nie spodobała jej się ta perspektywa. Była szczęśliwa w roli kochanki, dopóki wierzyła, że małżeństwo Walkerów już dawno się rozpadło. Czar prysł, kiedy okazało się, że Robert i Kathy nadal darzą się uczuciem. Stephanie chciała być jedyna, nie potrafiła dzielić się miłością z inną kobietą.

Dopiero teraz, kilka godzin później, dotarła do niej myśl o konsekwencjach podjętej decyzji: powiedziała Robertowi i Kathy, że popełniła błąd, wielki błąd. „Kocham cię, Robertcie, tak samo jak Kathy. Ale nie mogę cię mieć. Wracaj do żony”.

I wrócił. Bez dyskusji- Bez kłótni. Prawie nie protestował.

Jednak Stephanie kłamała: kochała go tak samo jak Kathy. A może bardziej.

Wyjście B było koszmarnie zatłoczone.

Stephanie Burroughs rozejrzała się dookoła, patrząc na naburmuszonych ludzi niecierpliwie czekających na ostatni tego dnia lot Aer Lingus do Londynu. Zastanawiała się, kim są i dlaczego wyjeżdżają. Boże Narodzenie wypadło w tym roku w środku tygodnia, więc Stephanie sądziła, że większość pasażerów to sprzedawcy albo urzędnicy, zmuszeni do pracy aż do ostatniej chwili i skazani na pospieszną podróż samolotem, aby zdążyć na święta. Nigdy nie pomyślałaby, że będzie tu z nimi.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła komórkę. Powinna zadzwonić do matki i uprzedzić, że przyjeżdża.

Kiedy Kathy i Robert Walkerowie wyszli, Stephanie przez kilka minut snuia się po domu z dłońmi przyciśniętymi do żołądka, który wydawał się zawiązany na supeł. Czowała się oszołomiona i brakowało jej tchu, a przed oczami tańczyły czarne kropki.

Weszła do małej, nieskazitelnie czystej kuchni i zaparzyła sobie rumianek - w tej chwili zupełnie nie potrzebowała kofeiny, jakikolwiek alkohol uderzyłby jej natychmiast do głowy i uśpił, a musiała przecież myśleć logicznie.

Ścisnęła w dłoniach kubek i powłócząc nogami, doszła do salonu, w którym jeszcze kilka minut wcześniej był jej kochanek ze swoją żoną. Widziała wgłębienia na poduszkach na dwóch krańcach kanapy, gdzie siedzieli, oddzieleni centymetrami tkaniny i wieloma minionymi latami. Świąteczne prezenty, które przyniósł Robert, leżały porzucone na podłodze, a bukiet zdążył już zwiędnąć. Samotny różowy balon obijał się o sufit.

Co powinna zrobić? Bezradnie rozglądała się po pokoju. Oprócz prezentów od Roberta i małej choinki stojącej w przedpokoju nic było tu nic świątecznego. Stephanie nie miała czasu, żeby rozwiesić dekoracje, a kilka kartek z życzeniami, które dostała, położyła na lodówce w kuchni. Czy skazała się na siedzenie w domu w Boże Narodzenie? Przerabiała to w zeszłym roku - koszmarne samotne dni.

Co powinna zrobić?

Na odchodnym oznajmiła Kathy, że pojedzie do rodziny. Powiedziała to szybko, bez namysłu, ale nawet wtedy wiedziała już, że to niemożliwe. Było zbyt późno, żeby kupić bilety. A może nie? W końcu ilu ludzi ma ochotę podróżować w Wigilię?

Kiedy tylko o tym pomyślała, zdecydowała, co chce zrobić: jechać do domu, na Long Island, spędzić święta

pełne życia i światła, z furą jedzenia i zbyt dużą liczbą dzieci.

Wszystko, tylko nie samotne Boże Narodzenie w pustym mieszkaniu w Dublinie.

Postawiła herbatę na oparciu fotela, przebiegła przez hol i wyciągnęła z torby komórkę. Przewinęła menu, aż znalazła nazwę biura podróży, z którego korzystała jej firma, i wcisnęła klawisz.

Dziękujemy za wybranie International Travel Arrangements. W okresie świątecznym nasze biuro jest zamknięte. Otwieramy w poniedziałek, trzynastego grudnia. Korzystając z okazji, chcielibyśmy Państwu życzyć...

Stephanie pobiegła na górę. Siedząc na krawędzi łóżka, włączyła komputer i podłączyła modem. Teraz, kiedy już podjęła decyzję, była zdecydowana wyjechać na święta. Przecież, do diabła, wybierała się do domu!

Zalogowanie się na stronie Aer Lingus zajęło kilka chwil. Stephanie rzadko sama kupowała bilety - jeśli musiała wyjechać, firma załatwiała wszystkie formalności, a bilety oraz plan podróży lądowały na biurku. Szybko przewinęła stronę. Musiała tylko wybrać miejsce wylotu i przylotu, datę oraz wpisać dane z karty kredytowej. Proste. Może zdąży do domu na świąteczny obiad. Rodzice będą uszczęśliwieni.

Chwilę później okazało się, że nie ma lotów do Nowego Jorku. Ostatni Aer Lingus do Stanów odleciał dwie godziny wcześniej.

Zadzwoiła komórka i Stephanie aż podskoczyła, prawie zrzucając laptop na podłogę. To była Sally Wilson, jej najlepsza przyjaciółka.

- Wesółych Świąt! Wesółych! Dave i ja wybieramy się właśnie na drinka i chcieliśmy zapytać... Nie mogę.

Ton głosu Stephanie natychmiast zaalarmował Sally.

- Co się stało?

- Była tu Kathy Walker. Dowiedziała się o mnie i Robercie.

Sally westchnęła głośno.

- Potem przyszedł Robert.

- Och, Stephanie!

Stephanie niespodziewanie uśmiechnęła się i dodała:

- I jak tu nie mówić o pechu.

- Co... co się wydarzyło?

- To, co przewidziałaś: wrócił do żony.

- A to drań! - ze złością syknęła Sally. - Zawsze tak robią. Drań!

- Szczerze mówiąc, sama popchnęłam go w jej objęcia. Zrozumiałam, że go nie chcę, Sally. W każdym razie nie na warunkach, które mi proponował. Zresztą nie zamierzam stać się drugą Kathy Walker - westchnęła głęboko i dodała: - Więc odszedł.

- A ty? Co z tobą? Jak się czujesz? Co teraz zrobisz?

- Siedzę i przeglądam stronę Aer Lingus, próbując znaleźć lot do domu i spędzić święta z rodziną. Ale z Dublina już nic nie wylatuje, więc chyba utknęłam tutaj na dobre.

- Nie poddawaj się tak łatwo. Może polecisz z Anglii albo gdzieś z Europy?

Palce Stephanie zatańczyły na klawiaturze.

- Tak, mogę lecieć Aer Lingus przez Londyn, a potem mam połączenia British Midland albo Ryanair.

Dobra, zrób tak: sprawdź, czy uda ci się znaleźć lot do Nowego Jorku z Londynu albo z Paryża - poradziła Sally. - Będziesz leciała kilka godzin dłużej i więcej zapłacisz. ..

- Jeśli będzie trzeba, polecę nawet pierwszą klasą.

- W takim razie na pewno znajdziesz miejsce. Słuchaj, kup sobie ten bilet. Ja i Dave zaraz po ciebie przyjedziemy i zawieziemy na lotnisko.

- Sally, nie musicie! Zrzuńnię wam Wigilię. Wezmę taksówkę.

- W Wigilię! parsknęła przyjaciółka. - Będiesz czekać wieki. Już jedziemy - rozłączyła się.

Zanim Sally i wlokący się za nią ponury Dave dotarli do mieszkania Stephanie, udało jej się zabukować lot Aer Lingus do Londynu, a stamtąd znalazła połączenie British Airways do Nowego Jorku. Na lot transatlantycki kupiła bilet pierwszej klasy - oszałamiająca rozpusta kosztowała prawie trzy tysiące euro, ale Stephanie uznała, że na nią zasłużyła. Martwiła się tylko, że będzie miała bardzo mało czasu na przesiadkę. Jeśli irlandzka linia spóźni się choćby godzinę, Stephanie spędzi Wigilię i pewnie także Boże Narodzenie w obskurnym hotelu przy lotnisku Heathrow.

Pakowanie zajęło jej mniej niż dziesięć minut - upchała w podręcznej walizce na kółkach kilka kompletów bielizny, dwie pary spodni, kilka koszulek i jedną porządną, elegancką sukienkę. Nie potrzebowała nic więcej; na Long Island miała całą szafę ciuchów. Po przeprowadzce do Irlandii Stephanie przez dwa lata niespodziewanie bardzo tęskniła za domem, więc korzystała z każdej okazji i wracała do Stanów, czasem dwa lub trzy razy do roku. Wożenie tych samych ubrań tam i z powrotem przez Atlantyk nic miało sensu, więc w końcu zostawiła w rodzinnym domu swoją walizkę. Matka była przeszczęśliwa, a podczas ostatniej wizyty w domu Stephanie zauważyła, że jej garderoba została powieszona i poukładana w szufladach.

Włożyła ulubiony zestaw podróżny - czarne džinsy, czarny golf i czarny skórzany płaszcz długości trzy czwar-

te - ubrania, które się nie brudziły. Chwilę później przyjechała Sally. Kiedy otworzyły się drzwi, Sally uściskała ją i pocałowała.

- Me zrozum mnie źle - delikatnie powiedziała drobna blondynka - ale cieszę się, że już po wszystkim. Spójrz na to w ten sposób: w końcu się od niego uwolniłaś. Teraz możesz żyć swoim życiem.

- Też się cieszę - wyszeptała Stephanie. I w tej chwili naprawdę tak myślała.

Rozdział 2

Stephanie sadowiła się właśnie przy oknie w samolocie, kiedy poczuła wibrujący w kieszeni telefon. Jeszcze nie wystartowali, więc rozejrzała się, czy nie widzi jej żadna stewardesa, i wyciągnęła komórkę. Nachyliła się do szyby i nacisnęła przycisk. Na szczęście wcześniej wyłączyła dźwięk. To pewnie Sally chce sprawdzić, czy przyjaciółka zdążyła na przesiadkę.

- Tak? - wyszeptała Stephanie, zakrywając dłonią usta.

- Stephanie? Stephanie? To ty?

Zamarła. Dzwonił Robert. Poczuła, że nie może oddychać i robi się jej sucho w gardle. -Steph...

Rozłączyła się, czując, jak serce zaczyna jej bić coraz mocniej. Kilka godzin temu nie potrafił spojrzeć jej w oczy i chyłkiem wymknął się z pokoju. A teraz miał czelność dzwonić!

Telefon znów zawibrował.

Wcisnęła przycisk z czerwoną słuchawką. Czego chciał? Przeprosić? Pewnie tak. Wkupić się na nowo w jej łaski? Prawdopodobnie. Po raz kolejny poczuła drganie aparatu, ale tym razem oddzwaniała poczta głosowa. Kiedy chwilę wcześniej Stephanie odrzuciła rozmowę, przekierowała Roberta na automatyczną sekretarkę. Zdecydowała, że odsłucha wiadomość dopiero po świętach. Właściwie mogła ją natychmiast wykasować, bo przecież zakończyła już ten związek. Dość kłamstw i pustych obietnic.

Nagle poczuła rosnącą w gardle gulę, a oczy zaszyły jej piekącymi łzami. Czy mówił same kłamstwa i składał tylko puste obietnice? A jednak, kiedy spotkali się w piątek, ledwie trzy dni temu, i Robert poprosił ją o rękę, wydawał się mówić szczerze. Uwierzyła mu. Wierzyła mu także, kiedy twierdził, że żona już go nie kocha. Myliła się. Stephanie sięgnęła po telefon.

1 nieodebrane połączenie.

Najłatwiej byłoby wyłączyć komórkę i schować ją. Drzwi samolotu właśnie się zamykały, a stewardesa przypominała pasażerom o wyłączeniu telefonów. Stephanie wiedziała doskonale, że na Heathrow sygnał będzie kiepski, więc nie uda się tam odsłuchać pozostawionej wiadomości. A jej aparat był tylko dwuzakresowy i nie działa w Stanach. Jeśli w ciągu najbliższych dziesięciu minut nie odsłucha poczty głosowej, będzie to mogła zrobić dopiero po powrocie do Irlandii w okolicach Nowego Roku.

Dziesięć minut.

Przycisnęła głowę do ściany i kuląc się, wystukała 171. ***Masz jedną nową wiadomość. Otrzymano dzisiaj...***

Potem usłyszała jego głos: *Stephanie? Slephanie, tu Robert. Słuchaj, musimy porozmawiać. Musimy. O dzisiejszym dniu. O nas. O wszystkim. Oddzwoń, proszę. Jestem pod komórką.*

Oczywiście, że jest pod komórką, ze złością pomyślała Stephanie. Przecież nie chciałby, żeby zadzwoniła do niego do domu, prawda? Skasowała wiadomość i wyłączyła telefon.

Nie było o czym rozmawiać. Ich związek się zakończył. Nie powinien się w ogóle rozpocząć. Stephanie usiadła wygodniej, przechyliła głowę na bok i włożyła do uszu stopery. Świat wokół niej natychmiast ucichł i zaczął odpływać. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Czuła, że ktoś szturcha ją i siada obok, ale nawet nie otworzyła oczu. W czasie lotu przez Atlantyk będzie miała miejsce w pierwszej klasie i mnóstwo wolnej przestrzeni.

Teraz z trudem usiłowała sobie przypomnieć, analizując osiemnaście miesięcy ich związku, co takiego widziała w Robercie: dopiero ostatnie pół roku spotykali się na poważnie i zaczynała myśleć, że może być tym Jedynym. Był w zwyczajny sposób przystojny, starszy o siedem lat, mimo że często to ona czuła się bardziej dojrzała. Prowadził swoją niewielką firmę, produkującą programy dla telewizji, a ostatnio kręcił przebitki, reklamy i zajawki - bynajmniej nie przełomowe filmy dokumentalne, o których kiedyś marzył. Jego tytuł „dyrektora” z pewnością nie robił wrażenia na Stephanie, która miała większą pensję i sto razy lepsze warunki pracy.

Więc co takiego w nim widziała? Co atrakcyjna trzy-dziesięcioletka, samotna, bez zobowiązań, z mieszkaniem i samochodem, widziała w facecie z życiowym ba-

gazem - żoną, dwójką dzieci i kiepsko prosperującym interesem? Stephanie rzadko zadawała sobie to pytanie, mimo że Sally często ją do tego prowokowała, zazwyczaj formułując problem nieco inaczej: przypominała przyjaciółce, jak jednostronny był jej związek. Stephanie wniosła do niego znacznie więcej niż Robert: była młodszą, ładniejszą i szczuplejszą wersją jego żony, której twarz i ciało odzwierciedlały codzienne domowe zmagania i trudy wychowywania dwojga nastolatków.

Na dodatek to Stephanie kierowała zlecenia do jego firmy. Potrzęsnęła delikatnie głową. Na pewno nie o to chodziło. Nie chciała wierzyć, że tak mogło być. Zamówienia to dla Roberta tylko dodatkowa korzyść; zaczęła mu pomagać później.

Poza tym na początku to ona go zachęcała i to ona zrobiła pierwszy krok. W takim razie co ją do niego przyciągnęło, skoro miał tyle wad?

Kiedy spotkali się po raz pierwszy ponad sześć lat temu, Robert był sam i czuł się samotny. Stephanie zatrudniła się jako resarcherka przy produkcji filmu dokumentalnego, nad którym pracowała R&K

Productions. Kiedy podróżowali po kraju, szukając dobrych plenerów, Robert powoli otwierał się i żalił. Mimo że żona była współwłaścicielką firmy, to on sam prowadził interes, bo Kathy wycofała się z pracy.

Pracował po czternaście, szesnaście godzin, żeby związać koniec z końcem. Stephanie nie miała wtedy czasu na romanse, myślała zresztą, że szef jest aroganckim ignorantem, całkowicie poświęconym swojej firmie. Ale właśnie Robert utorował jej drogę do kariery, za co będzie mu zawsze wdzięczna. Pierwsze zlecenie od niego ukierunkowało zawodowe życie Stephanie.

Kiedy spotkali się ponownie półtora roku temu, znów poczuła, że jest samotny. Najwidoczniej nic się nie zmieniło. Pracował dniami i nocami, ciułając drobne zlecenia, a - jak opowiadał i sugerował małżeństwo z Kathy rozpadło się bezpowrotnie. Robert dawał też do zrozumienia, że kiedy dzieci podrosną, ma zamiar zostawić Kathy i zacząć wszystko od nowa.

Skoro już o tym wiedziała, Stephanie nie miała żadnych wyrzutów sumienia i wyraźnie pokazała Robertowi, że jeśli będzie tego chciał, mogą być razem. A on chciał. Oczywiście.

Ale to ciągle nie była odpowiedź na jej pytanie. Co ją do niego przyciągnęło?

Zatopiona w myślach, Stephanie ledwo zauważyła, że samolot zaczyna się poruszać, a silniki pracują. Wyglądało na to, że odlatują o czasie: to dobry znak. Może zdąży na przesiadkę na Heathrow.

Co ją do niego przyciągnęło? Będzie się dręczyła dopóty, dopóki nie znajdzie satysfakcjonującej odpowiedzi.

Jej stopy i żołądek poczuły, że wystartowali, a kiedy samolot unosił się do góry, Stephanie znalazła odpowiedź: chodziło o poczucie przegranej, które Robert nosił w sobie. Kiedy spotkała go po niemal czteroletniej przerwie, znów zauważyła to samo: był nieszczęśliwy i zdesperowany. Wzruszył ją. Był w potrzebie, a ona mogła mu pomóc.

Jakże się myliła!

Nie poprawiła sytuacji, tylko pogorszyła ją, i to bardzo. Z jej powodu - i przez Roberta, nie zapomniała o tym - rodzina Walkerów była skazana na trudne i gorzkie święta. Stephanie zepsuła Wigilię przyjaciółce, a teraz robiła coś, czego tak naprawdę nie chciała: leciała przez Atlantyk do rodziny, której już właściwie nie znała.

W pracy była na cenzurowanym z powodu przekazywania zleceń Robertowi i wiedziała, że będzie musiała odbudować wiele spalonych mostów, zanim uda jej się coś naprawić.

Wszystko ma swoją cenę. Trzeba być przygotowanym na wyrównanie rachunków.

Czuła, że właśnie przyszła pora, by zapłacić za związek z Robertem Walkerem.

Rozdział 3

Stephanie zdążyła na lot transatlantycki z jedynie dziesięciominutowym zapasem. Mimo że samolot Aer Lingus odleciał z Dublina o czasie, kołował potem nad Heathrow przez ponad pół godziny, zanim dostał pozwolenie na lądowanie. Stephanie popędziła do terminalu międzynarodowego. Dobrze, że miała tylko podręczny bagaż, bo gdyby musiała przechodzić przez odprawę, nie zdążyłaby.

- Jest pani ostatnia - powitała ją stewardesa, kiedy Stephanie wpadła do samolotu.

- Bałam się, że nie zdążę - rzuciła w odpowiedzi.

- Najważniejsze, że się udało - stewardesa skierowała Stephanie na prawo, do kabiny pierwszej klasy. - Dzięki Bogu. Gdyby spóźniła się pani na nasz lot, utknęłaby pani na Heathrow na całe święta!

- Koszmar!

- To prawda - uśmiechnęła się dziewczyna. Stephanie z trudem wcisnęła walizkę do schowka nad

głową, obok położyła torbę z prezentami i usiadła na jednym z dużych, wygodnych foteli. Dopiero teraz mogła

odsapnąć. Westchnęła głęboko. Po raz pierwszy od kiedy Kathy Walker stanęła w drzwiach jej mieszkania, Stephanie poczuła, że powoli się uspokaja, mimo że żołądek ciągle miała zawiązany na supeł.

- Mało brakowało...

Stephanie zapięła pas i spojrzała na siedzącego obok wielkiego łysiejącego biznesmena w nienagannie skrojonym garniturze. Z każdym słowem wypuszczał z siebie opary whisky.

Wyciągnął dłoń.

- Jestem...

Stephanie podniosła prawą rękę w uciszającym geście:

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale nie obchodzi mnie, kim pan jest. Nie interesuje mnie to i nie chcę z panem rozmawiać aż do Nowego Jorku.

Mężczyzna mrugnął nerwowo i zmarszczył brwi, nie wiedząc, czy Stephanie mówi serio, czy żartuje.

- Próbuję tylko być miły - rzucił gwałtownie.

- Nie trzeba. Nie jestem zainteresowana.

- Cóż, nigdy...

- Dobrze, że się rozumiemy - zakończyła Stephanie. Wyciągnęła dmuchane stopery z kieszeni i wsadziła je do uszu. Słyszała, jak syczą i powiększają się, a świat zaczyna powoli cichnąć. Otworzyła powieść, wrzuconą do torby jeszcze w Dublinie, a która leżała na szafce przy łóżku od miesięcy, choć Stephanie udało się przeczytać dopiero trzy rozdziały. Richard i Judy polecali książkę w swoim programie telewizyjnym, a ich rekomendacje zawsze były trafione. Mimo to lektura nie całkiem przypadła do gustu Stephanie. Może przez stan jej umysłu. Powinna wziąć z sobą coś lżejszego. Chciała kupić *Kod Leonarda da Vinci* - obiecywała sobie przeczytać go już od dawna, bo w tej chwili była jedyną osobą w firmie - i chyba w całym

kraju - która nie знаła sławnej powieści. Jednak na lotnisku w Dublinie zapomniała o tym, a w Londynie zabrakło jej czasu.

Zamknęła książkę, oparła głowę o siedzenie i zamknęła oczy. Stewardesa jak zawsze instruowała, jak postąpić w czasie ewentualnej ewakuacji.

Stephanie nigdy nie słuchała. Gdyby samolot naprawdę się rozbił albo spadał, chyba i tak nie byłoby czasu, żeby zastosować się do tych wszystkich poleceń.

Od kiedy zaczęła spotykać się z Robertem, właściwie przestała czytać.

On prawie w ogóle tego nie robił, wymawiając się brakiem czasu, rzadko słuchał muzyki. To powinien być pierwszy sygnał, że w ich związku coś jest nie tak: Stephanie uwielbiała i książki, i muzykę.

Rezygnacja z ulubionych czynności była dowodem na to, jak wiele czasu zabierał jej romans z Robertem. Kiedyś lubiła jadać lunch przy biurku albo w jednej z małych knajpek w pobliżu biura, czytając książkę.

Wieczorami wracała do domu, brała długą, gorącą kąpiel i ponownie zatapiała się w lekturze. Czasem udawało jej się przeczytać dwie albo trzy książki tygodniowo, szczególnie jeśli były autorstwa ulubionych pisarzy.

Ale tak było przed Robertem.

Kiedy zaczęli się spotykać, regularnie jadali razem lunch, często w jego biurze albo w jednej z kafejek. Stephanie musiała jednak dojechać do R&K i znaleźć miejsce do zaparkowania, więc lunch zazwyczaj składał się z kanapki

- mimo że obiecywała sobie rezygnację z białego pieczywa

- a nie ulubionej sałatki. Czasem Robert wpadał do niej do domu, dwa lub trzy razy w tygodniu. A kiedy byli razem, nie mieli czasu na czytanie.

Ostatnią książką, którą Stephanie doczytała do końca... nie pamiętała, co to było.

To miało się teraz zmienić.

Po kolacji, która w pierwszej klasie była nawet całkiem niezła, Stephanie próbowała oglądać film na małym składanym ekranie. Puścili jakiś hit science-fiction sprzed trzech miesięcy ze spektakularnymi efektami specjalnymi, zmontowany i pocięty specjalnie dla samolotowej widowni. Stephanie uznała, że nie da się go oglądać. Wyłączyła płaski ekran, próbowała czytać, ale powieść - historia trudnego dorastania była koszmarna. Lepiej zostawię ją w Stanach, a na powrót kupię na lotnisku coś innego, pomyślała.

Zdjęła buty, naciągnęła lotniczy koc po samą brodę, odchyliła fotel i zamknęła oczy.

Na powrót... tylko kiedy będzie chciała wrócić? Przed czy po Nowym Roku? To zależało od tego, na kiedy uda się jej kupić bilet. Jeśli wróci do Dublina przed Sylwestrem, pewnie znajdzie się jakieś noworoczne przyjęcie, na które będzie mogła pójść i zacząć nowy rok z hukiem. Potem wróci do siebie, przewróci dom do góry nogami i wyrzuci wszystko, co należy do Roberta nie zamierzała nic zostawiać. Jego rzeczy i tak nie było dużo: jakieś ubrania, szczoteczka do zębów, maszynka do golenia, buty, zapasowy krawat. Wsadzi wszystko do reklamówki i podrzuci - nie, lepiej wyśle pocztą - do biura. Nie jest aż tak wredna, żeby wysyłać je na domowy adres. Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić z biżuterią, którą od niego dostała. Powinna ją zwrócić czy zatrzymać? Jeśli zatrzyma i tak nigdy jej nie założy, bo będzie przypominała sobie o nim. Ale nie była też pewna, czy chce zwracać mu błyskotki jeszcze przyjdzie mu do głowy przekazać je żonie. Stephanie uśmiechnęła się ironicznie. Kiedy się pakowała, wzięła z sobą szkatułkę na biżuterię. Była tam większość prezentów od Roberta. Zawsze może je podarować swoim siostram i matce.

Stephanie zmorzył sen - zapadła w drzemkę, w której wydarzenia ostatnich kilku godzin przepływały bezustannie gdzieś w podświadomości; kręciła się i wierciła, śniąc koszmar, w którym to ona była kobietą zmuszoną stawić czoło kochance swojego męża. Obudziła się z westchnieniem i przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Otrzeźwiała powoli, ale sen pozostawił w niej niezdrowe emocje - mieszaninę strachu i gniewu. Im więcej myślała o Kathy Walker, tym bardziej nabierała do niej szacunku. Ileż trzeba mieć odwagi, żeby jechać przez miasto w Wigilię po to, by spotkać się z kochanką męża? Inna kobieta odłożyłaby to na po świętach, nie chcąc burzyć ustalonego porządku. A co ja bym zrobiła, zastanawiała się. Wolała myśleć, że postąpiłaby tak samo - skonfrontowała się z tą drugą kobietą, ale nie była do końca pewna, czy znalazłaby tyle odwagi.

Mimo wygod oferowanych w pierwszej klasie sześciogodzinny lot dłużył się w nieskończoność i gdy wreszcie wylądowali, Stephanie była zeszywniała i bardzo zmęczona. Kiedy tylko zgasł nakaz zapinania pasów, wstała

i wyciągnęła w niecałe dwie sekundy swoje torby ze schowka. Siedzący obok biznesmen otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale spojrzenie Stephanie powstrzymało go. Jako jedna z pierwszych wysiadła z samolotu. Na twarzy poczuła uderzenie zimnego powietrza, a metaliczny zapach specyficzny dla amerykańskich lotnisk sprawił, że dopiero teraz uświadomiła sobie, że nie jest już w Irlandii. Maszerując w stronę odprawy celnej, czuła się tak, jakby ktoś zdjął jej kamień z serca.

W ciągu poprzednich czterdziestu pięciu minut na lotnisku JFK wylądowało przynajmniej sześć samolotów - ostatnich w Wigilię. W terminalu przylotów kłębiły się tłumy. Straż lotniska próbowała desperacko utrzymać

porządek, ale było to niewykonalne. Dźwięki *White Christmas* ginęły w wielojęzycznym gwarze.

Stephanie torowała sobie drogę przez tłum, próbując dotrzeć do biura wynajmu samochodów. Miała nadzieję, że mimo tak późnej pory uda jej się dostać auto potem uśmiechnęła się na myśl, że to przecież Ameryka - wszystko było możliwe o każdej porze roku. Mijała objęte pary, przytulone rodziny, widziała uśmiechy, łzy i nagle zrobiło się jej smutno. W swoim dorosłym życiu była na wielu lotniskach i prawie nigdy nikt na nią nie czekał. Teraz po raz pierwszy poczuła się taka samotna.

- Stephanie... Stephanie!

Wydawało jej się, że ktoś woła jej imię. Ale to przecież było niemożliwe: nikt nie wiedział, że przyjeżdża, z wyjątkiem rodziców, którzy na pewno nie przyjechaliby aż z Long Island, żeby ją odebrać.

- Stephanie... Stephanie! - głos przybliżał się. Uśmiechnęła się i odwróciła. Pewnie miała pecha i wpadnie na kogoś, kogo nie ma ochoty oglądać chwilę po wylądowaniu.
- Stephanie?

Tylko sekundę zajęło jej rozpoznanie niepozornej młodej kobietki stojącej przed nią z głową przechyloną na bok i tajemniczym uśmiechem.

- Minęłaś mnie odezwała się.

Joan? Joan! Boże, Joan, nie poznałam cię.

Joan Burroughs była młodszą o sześć lat siostrą Stephanie i ostatnią osobą, którą Stephanie spodziewałaby się zobaczyć teraz na JFK. Objęła siostrę i przytuliła ją, dodając:

-1 nic dziwnego.

Joan była ubrana w wielką puchową kurtkę, czarne bojówki i ciężkie buty, a na czoło nasunęła wełnianą

czapkę całkiem przykrywającą uszy. Odkryte policzki i czubek nosa były jasnoczerwone.

W rodzinie Burroughsów było siedmioro dzieci - czterech chłopców i trzy dziewczynki, ale Stephanie nigdy nie czuła bliskości z żadnym z nich.

Wszyscy prócz niej pozostali blisko domu, mieli żony albo mężów i założyli rodziny, podczas gdy ona wyjechała ze Stanów tak szybko, jak to było możliwe, i teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat, była jedyną samotną osobą z rodzeństwa. Ostatnio dowiedziała się, że Joan pracuje jako graficzka w nowojorskim studiu projektowym.

- Skąd wiedziałaś? - spytała siostrę, a potem sama sobie odpowiedziała. - Mama.

Joan potwierdziła skinieniem głowy.

- Mama zadzwoniła do mnie i powiedziała, że przyjeżdżasz.

Odsunęła się od Stephanie i krytycznie spojrzała na starszą siostrę.

Schudłaś i wyglądasz na zmęczoną.

Dzięki - sarkastycznie odparła Stephanie. Potraktuję to jako komplement.

Ostatnie kilka dni były paskudne, a żeby tu dotrzeć, musiałam się przesiadać. Jestem po prostu wykończona.

Byłam jeszcze w mieście, więc pomyślałam, że na ciebie zaczekam.

Cieszę się. - Stephanie włożyła siostrze rękę pod ramię i razem ruszyły przez tłum. - Nie miałam specjalnej ochoty jechać autem na wyspę.

- Wczoraj rozmawiałam z mamą - powiedziała Joan - i mówiła, że nie przyjeżdżasz. Była nawet trochę zła z tego powodu. A dzisiaj zatelefonowała z wiadomością, że lecisz do domu.

- Dzwoniła do mnie ostatnio i próbowała swojej tradycyjnej subtelnej mieszanki szantażu i zachęty. Powiedziałam, że nie wyrwę się na święta, ale... no cóż, wszystko się zmieniło.

- Przez telefon mama miała głos jak skowronek. Wygląda na to, że zjawi się cała rodzina, a wiesz, że ona to uwielbia.

Wyszły na mroźne nowojorskie powietrze. Było tak zimno, że Stephanie odebrało oddech. Zapomniała, jak chłodno może być w grudniu w Nowym Jorku.

- Masz. Pewnie nic z sobą nie wzięłaś. - Joan wyciągnęła z kieszeni wełnianą czapkę i parę rękawiczek. - Nie miałam butów w twoim rozmiarze - dodała.

Stephanie założyła wyjątkowo paskudną czapkę, zadowolona, że nikt znajomy jej teraz nie widzi, i naciągnęła rękawiczki, które okazały się o rozmiar za małe. Przeszły na parking, wdychając powietrze przesiąknięte zapachem ropy i spalin. Kałuże zamarzały na ziemi i Stephanie czuła, jak zimno przenika przez cienkie podeszwy jej butów.

- Jesteśmy - odezwała się Joan, zatrzymując się przy poobijanej furgonetce. Na karoserii volkswagena widać było ślady naklejek, gdzieś odrywano je siłą, razem z lakierem, pozostawiając rdzawe plamki.

Stephanie mrugnęła zaskoczona. Wydawało mi się, że ty i Eddie jeździliście SUV-em?

- Jeepem cherokee. Tak, Eddie dalej go ma.

- Nie jedzie z nami? - spytała Stephanie, kiedy Joan odrywała przymarzniałe drzwi furgonetki, odsłaniając zawalone wnętrze. Blaszana podłogę przykrywał skrawek dywanika, a tył zapchany był pudłami do przeprowadzki, walizkami

i wielkimi workami na śmieci najwyraźniej pełnymi ciuchów. Jeden z worków pękł i buty rozsypały się na podłodze. Joan wsadziła walizkę do auta i wepchnęła ją między dwa kartony.

- Nie, Eddie z nami nie jedzie. Nie słyszałaś? Czyżby mama zapomniała się z tobą podzielić tą rodzinną nowiną? - Joan pokazała zagracone wnętrze wozu. - Wracam do domu. Odeszłam od niego.

Rozdział 4

Obie milczały, kiedy Joan prowadziła ociążałego volkswagena przez uliczne korki. W furgonetce nie było klimatyzacji, a gorący nawiew nie dawał sobie rady z chłodnym powietrzem przedostającym się przez cienką podłogę. Co kilka chwil Joan podnosiła z deski rozdzielczej brudną szmatę i nachylała się, by choć odrobinę oczyścić zaparowaną przednią szybę.

Stephanie kulila się z zimna na siedzeniu, opleciona ciasno ramionami, a dłonie w rękawiczkach włożyła pod pachy. Ze wszystkich sił próbowała sobie przypomnieć, co wie o Joan i jej mężu Eddiem. Nie byli małżeństwem od dawna - dwanaście miesięcy, może czternaście. Tak, trochę ponad rok. Stephanie nie mogła przyjechać na ślub, bo wypadał w tygodniu, w którym Robert wziął wolne. A zmuszona wybierać między spędzeniem czasu ze swoim kochankiem, na pierwszych prawdziwych wspólnych wakacjach, a uczestnictwem w katolicko-włoskim weselu w Stanach, wybrała to pierwsze. Nawet w którymś momencie zasugerowała Robertowi, że mogliby pojechać razem na rodzinną uroczystość, ale uzmysło-

wił jej, że mogłoby to wywołać zbyt wiele trudnych pytań. Stephanie wysłała więc w prezencie obrzydliwie drogi zestaw kieliszków z rżniętego szkła marki Waterford Crystal, co uspokoiło jej sumienie.

- Naprawdę mi przykro - odezwała się w końcu. - Nie wiedziałam.

- Naprawdę? Dziwne. Dziwne, że matka ci nie przekazała - zauważyła z goryczą Joan. - Powiedziała już chyba wszystkim.

Stephanie zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć, ale wydawało jej się, że matka nic nie wspominała... jednak Joan miała rację: to niemożliwe, że Toni Burroughs nie podzieliła się tragiczną wiadomością ze swoimi pozostałymi dwiema córkami, debatując i analizując do upadłego, jaki wychowawczy błąd popełniła. Stephanie ledwo pamiętała, że matka opowiadała jednak o kłopotach Joan i Eddiego.

- Teraz, kiedy o tym myślę, to chyba coś wspominała, ale tylko mimochodem - że ty i Eddie ostatnio się nie dogadujecie. I mówiła coś o dzieciach. On chciał, a ty wolałaś poczekać - Stephanie urwała. Było coś więcej, z pewnością. Przypomniała sobie również, że matka opowiadała jakąś długą i skomplikowaną historię związaną z małżeństwem Joan. Ale Stephanie była zbyt zajęta Robertem Walkerem, żeby słuchać. Poza tym wypracowała sobie nawyk wyłączania się, kiedy matka zaczynała mówić o rodzeństwie.

- Chcesz o tym pogadać? - spytała. Joan potrząsnęła głową.

- Mam dość gadania.

Stephanie zamilkła, wiedząc, że siostra i tak nie oprze się pokusie opowiedzenia swojej wersji nowemu słuchaczowi.

Ruch na moście Triboro był wstrzymany, a gdzieś w oddali wyły syreny. Prognozy zapowiadały opady śniegu, ale na razie nie padało. Jednak temperatura spadła i na drodze zaczęła tworzyć się błyszcząca warstewka lodu. Jeśli sięgnąć wzrokiem przez East River, można było podziwiać nocne niebo nad Nowym Jorkiem, które błyszczało od świateł w mroźnym powietrzu. Empire State Building był rozświetlony na czerwono i zielono, a budynek Chryslera aż jarzył się od dekoracji. Cały nieboskłon wydawał się wielką bożonarodzeniową wystawą. Wyglądając przez okno, Stephanie widziała wyraźną przerwę w krajobrazie tam, gdzie kiedyś stały wieże WTC. Od wydarzeń 11 września była w domu już kilka razy i jak każdy nowojorczyk wiedziała, że nigdy nie przyzwyczai się do tej pustej przestrzeni. Niedługo miał tam stanąć nowy wieżowiec, ale nie była pewna, co o tym myśleć.

Joan Burroughs bez przerwy wychylała się i stukwała w deskę rozdzielczą, na której wskaźnik temperatury silnika zaczął przesuwac się w górę.

- Mam nadzieję, że nie przegrzeje się, zanim dotrzemy do Grand Central Parkway - zamruczała.

- Przed nami jest chyba jakiś wypadek. Jak przejedziemy, będzie lepiej.

- Co chcesz usłyszeć? - wypaliła nagle Joan. - Prawdę czy wersję, którą opowiedziałam mamie?

Stephanie zastanowiła się.

- A którą wersję chcesz mi opowiedzieć? - odparła w końcu. - Choć mama i tak opowie mi swoją.

Joan pokiwała głową i uśmiechnęła się:

- Na pewno.

Nagle nadepnęła hamulec i przycisnęła klakson (który wydał tylko mizerne pisknięcie), gdy jakaś ciężarówka wepchnęła się na ich pas.

Potem zniemacka zaczęła:

Zawsze bytam trochę zazdrosna... nie, „zazdrosna” to złe słowo. Lepiej „zawistna”. Zawsze byłam o ciebie trochę zawistna.

- Dlaczego? - zdziwiła się Stephanie, nie rozumiejąc naglej zmiany tematu.

Cóż, mieszkasz sobie w Irlandii, szczęśliwa i zadowolona, masz dobrą pracę, ładny dom, świetny samochód... przynajmniej tak mówi mama. Ciągle twierdzi też, że masz jakiegoś faceta, ale my uważamy, że to nieprawda.

Dlaczego? - powtórzyła zdziwiona Stephanie.

- Bo wszyscy wiemy, że jesteś lesbijką. Mama także o tym wie, ale nie chce przyznać, że dwie z jej trzech córek są homo.

- Co? przez moment Stephanie nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Joan ryzykownie odwróciła się od kierownicy, żeby spojrzeć na siostrę:

- Nie ma się czego wstydzić. Masz trzydzieści pięć lat, jesteś ładna i zdolna, masz własny dom. I żadnego faceta. A matka mówi, że ciągle opowiadasz o tej Sally, czy jak jej tam. To CJ zasugerowała, że to pewnie twoja partnerka. A ona wie, co mówi!

Stephanie zaczęła się śmiać. Najpierw tylko chichotała, a po chwili trzęsła się, aż rozbolał ją brzuch, była bliska hysterii. Czuła, jak napięcie ostatnich godzin znika. Myśl o matce, która w swoim tradycjonalizmie myśli, że jej córka jest lesbijką tylko dlatego, że nie mówi o facetach, była po prostu komiczna. Stephanie rzadko wspominała o mężczyznach, z którymi się spotykała, bo od osiemnastu miesięcy spotykała się z żonatym. A to nie był temat, który należało poruszać w transatlantyckiej rozmowie z konserwatywną matką-katoliczką. Ale żeby z tego powodu przypuszczać...

Przyciskając kostki obu dłoni do policzków, otarła łzy.

- Zapewniam cię, że nie jestem lesbijką. Moja przyjaciółka Sally jest wyłącznie moją przyjaciółką i, nawiasem mówiąc, dziś wieczorem będzie już zaręczona. Nie mówię o facetach, bo po pierwsze nie chcę dzielić się tym i dyskutować na ich temat ze wszystkimi, a po drugie - skupiam się na karierze i po prostu nie mam zbyt wiele wolnego czasu. Dlatego też nie trzymam żadnego zwierzaka. Jednakże - i proszę, nie mów o tym mamie - spotykałam się z kimś. Z mężczyzną - podkreśliła - z przerwami przez ostatnie kilkanaście miesięcy. Ale to już nieaktualne - dodała, nie mówiąc, od kiedy dokładnie.

Ignorując dźwięki klaksonów, Joan przycisnęła pedał gazu i furgonetka potoczyła się naprzód, aż udało jej się przejechać spory kawałek. Przed nimi błyskały niebieskie

i czerwone syreny, a trzy auta nowojorskiej policji stały w poprzek, blokując dwa pasy. Za nimi karetka oświetlała miejsce wypadku. Tuż przy zjeździe z mostu mały japoński samochód wjechał w bok wielkiej białej limuzyny. Kilkoro młodych mężczyzn w smokingach i kobiet w sukniach wieczorowych trzęsło się na chodniku, podczas gdy ratownicy próbowali rozciąć karoserię małego auta i wyciągnąć kierowcę.

- No i po świątecznym przyjęciu - zauważyła Joan, wskazując na niedoszłych imprezowiczów.

- Ten ma jeszcze gorzej - odparła Stephanie, patrząc na zakrwawionego kierowcę „japończyka”, leżącego na noszach. Ciekawe, czy w domu ktoś na niego czeka? - spojrzała ukosem na siostrę. - Czy Eddie czeka na ciebie w domu? Wie, co robisz?

Joan prowadziła w milczeniu przez następne dwie ulice, potem nagle odpowiedziała:

Nie. Nie wie. Stephanie zdziwiła się.

- To znaczy, że czeka, aż wrócisz?

Joan spojrzała na zegar na desce rozdzielczej, niepewna, czy dobrze chodzi.

Tak, pewnie jest już w domu. Zostawiłam mu kartkę.

- Joan, on pewnie szaleje z niepokoju! Zadzwoń do niego natychmiast!

Nie - uparła się siostra.

- Musisz z nim porozmawiać.

- Nie muszę. To niemożliwe. Nie wiesz, jak to jest, kiedy facet bezustannie cię okłamuje.

Stephanie już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, ale zamknęła je bez słowa.

- Powiedz mi, co się stało - odezwała się jednak po chwili, łamiąc postanowienie milczenia.

- Okłamał mnie - parsknęła Joan.

- Już mówiłaś. Wszyscy faceci kłamią - wyszeptała Stephanie. Kobiety też, pomyślała. - Ale bądźmy szczerzy, wolimy, żeby nie zawsze mówili nam o wszystkim, prawda?

- W październiku minął rok od naszego ślubu. Zaczynaliśmy rozmawiać o rodzinie.

Stephanie było zimno. Zaczynała ją też boleć głowa - pewnie z powodu stresu, klimatyzacji w samolocie, różnicy czasu i mroźnej nowojorskiej aury czuła pulsowanie w zatokach. Było jej niedobrze. Właśnie przeleciała Atlantyk, uciekając od swojego romansu i nie miała najmniejszej ochoty słuchać, jak jej szwagier zdradzał jej siostrę.

- Wszystko układało się dobrze: Eddie pracował przy porządkowaniu Ground Zero. Ja miałam pół etatu w stu-

dio grafiki na Upper East Side. Udało nam się nawet odkładać co nieco każdego miesiąca. Myśleliśmy, żeby wyjechać z miasta, znaleźć dom i założyć rodzinę.

Ale Eddie znudził się tą domową idyllą, pomyślała Stephanie, znalazł sobie kochankę, złożył jej obietnice, wcisnął parę kłamstw...

- Potem przez sześć tygodni Eddie co rano wychodził do pracy i wracał o właściwej porze.

- Poczekaj, chyba coś przegapiłam Stephanie dotknęła ramienia siostry. - I zwolnij trochę, bo pędzisz jak szalona.

- Aha - Joan zdjęła nogę z gazu. Opowiadając swoją historię, nieświadomie przyciskała pedał do podłogi.

Przepraszam, to przez różnicę czasu. Co miałaś na myśli, mówiąc, że „potem” wychodził do pracy?

- Po tym, jak go zwolnili - zdenerwowała się Joan. Udawał, że chodzi do pracy. Dowiedziałam się dopiero wtedy, gdy przyszedł wyciąg z banku i zobaczyłam, że nie wpływała żadna pensja.

- Przykro mi... Myślałam... kiedy mówiłaś, że cię okłamuje... Myślałam, że chodzi o inną kobietę.

- Romans! Eddie wie, co bym mu zrobiła - i jej - gdybym przyłapała go z inną!

- Więc rzucasz go, bo stracił pracę?

- Nie, rzucam go, bo mnie okłamał. Więcej niż raz. Przez sześć tygodni udawał, że idzie do pracy - każdego dnia pytałam go, jak było, a on codziennie częstował mnie stekiem kłamstw. Jedno po drugim i następne...

Stephanie zamknęła oczy. Jej własny romans opierał się na sieci kłamstw, z których każde komplikowało sytuację jeszcze bardziej. Do dzisiaj nie zdawała sobie sprawy, jak poplątana to sieć, jak ograniczony był związek z Robertem. W kącikach ust Stephanie pojawił

się uśmiech: matka myślała nawet, że jej córka jest lesbijką!

- Może to urażona duma nie pozwoliła mu się przyznać, że stracił pracę - zasugerowała delikatnie siostrze.

- Może. Powiedział mi, że zwolnili go, bo przeprowadzali redukcję etatów. Ale to było kłamstwo - kolejne. Zwolnili go, bo dodawał sobie nadgodziny, których nie przepracował. Dziś się o tym dowiedziałam. T wtedy już zrozumiałam, że nie mogę z nim dłużej mieszkać.

- Dlaczego? - dociekała Stephanie.

- Wiem, że nigdy nie będę mogła mu zaufać na nowo. Kiedy przyłapiesz faceta na kłamstwie, wiadomo, że będzie oszukiwał już zawsze. Nie chciałam żyć w takim fałszu.

- Co zrobisz?

- Pojadę do domu na święta. Po Nowym Roku pogadam z prawnikiem.

- Tylko dlatego, że mąż cię okłamał?

- Kiedy nie ma zaufania, co pozostaje?

Stephanie pokiwała głową. Co zostaje? Nagle poczuła współczucie dla Kathy Walker. Jaka przyszłość czekała jej małżeństwo z Robertem?

Rozdział 5

Była już prawie północ, kiedy siostry wjechały na podjazd rodzinnego domu. Ich rozmowa skończyła się jakąś godzinę wcześniej, kiedy Stephanie zaczęła zapadać w drzemkę, a Joan z całych sił próbowała utrzymać starą furgonetkę na właściwej drodze.

Kiedy wyjeżdżały z miasta, zaczęło padać: wielkie płatki śniegu cicho pokrywały świat puszystą kołdrą.

Obie wiedziały, jak niebezpieczny może być padający śnieg. Mogły ugrzęznąć w zaspie gdzieś po drodze i spędzić Boże Narodzenie w obskurnym motelu albo co gorsza stanąć gdzieś na poboczu i ryzykować zamarznięcie.

Stephanie zastanawiała się, co pomyślałby Robert, gdyby przeczytał o tym w gazetach. Jak by się czuł? Ulżyłoby mu, że Stephanie Burroughs zniknęła? A może poczułby się trochę winny, że to przez niego jechała przez śnieżną burzę w wigilijną noc starą furgonetką, która jęczała, jakby lada moment miała się rozlecieć? Niestety, nie dość, że Robert rzadko zaglądał do gazet, to jeszcze wiadomość o śmierci dwóch kobiet w burzy śnieżnej raczej nie przedostanie się do międzynarodowej prasy, więc szanse, że w ogóle się dowie, są raczej marne.

Może będzie mogła go nawiedzać jako duch.

Ogrzewanie w furgonetce nagle zaczęło działać i Stephanie poczuła duszne i śmierdzące powietrze. Mieszanina gorąca i smrodu spalin sprawiła, że zapadła w raczej niespokojną drzemkę nie mogła się uwolnić od niewyraźnych myśli o Robercie i Kathy.

Obudziło ją skrzypienie kamieni i żwiru pod kołami. Zjechały z głównej drogi na wąską asfaltówkę. Kiedy Stephanie próbowała się wyprostować, Joan odezwała się:

- Już prawie jesteśmy.

Stephanie przetarła rękawem boczną szybę i wyjrzała w ciemną noc.

Niedawno padało, więc świat stracił swoje zwykłe kształty i kolory. Ulice były opustoszałe, a w większości drewnianych domów, oddalonych od drogi, błyszczały światła choinek. Niektóre domostwa były udekorowane setkami, może nawet tysiącami świątecznych lampek, ale większość była teraz wyłączona, a wystawki z Mikołajami, reniferami, bałwanami i choinkami wydawały się raczej zapomniane.

Na końcu drogi stoi jasno oświetlony dom. Stephanie wychyliła się, by na niego spojrzeć. Dom jej dzieciństwa. Ostatnio była tu w poprzednie Święto Dziękczynienia, ale już od trzech lat, a może więcej, nie przyjeżdżała na Boże Narodzenie.

Słabe światła furgonetki Joan omiotły front domu. Wielgachna choinka przysłaniała okno od bawialni i Stephanie zauważyła, że drzewko jest udekorowane tymi samymi ozdobami i bombkami co zawsze. Wiedziała też, że znajdzie tam aniołka z folii i drutu, którego zrobiła w pierwszej klasie, i że na czubku wisi korona należąca do Billy'ego, kiedy grał jednego z Mędrców w jasełkach w drugiej klasie podstawówki. Kiedyś wydawało jej się, że podobne tradycje są śmieszne i głupie, szczególnie kiedy przychodzili goście, ale w miarę upływu czasu zaczęła rozumieć, że było w tych zwyczajach coś pocieszającego, a ozdoby na drzewku symbolizowały szczęśliwe, mniej skomplikowane czasy.

Gramoląc się z samochodu, Stephanie ze zdziwieniem odkryła, że po policzkach spływają jej łzy, ale bez powodzenia próbowała przekonać samą siebie, że to tylko z powodu zimnego wiatru.

Frontowe drzwi otworzyły się szeroko i długie cienie rzucane przez rodziców zatańczyły na śniegu. Siostry podniosły swoje bagaże i uciekły z zimnego, nocnego podwórka.

Toni Burroughs była drobną kobietą, miała niecały metr pięćdziesiąt wzrostu.

Stephanie nie wiedziała dokładnie, ile lat ma jej matka

- może grubo ponad sześćdziesiąt, może już siedemdziesiąt

- ale na pewno nie można było tego określić po wyglądzie. W oczach córki Toni wyglądała dokładnie tak samo jak w czasach, kiedy Stephanie dorastała w tym domu. Cechy

twarzy matki były bardzo wyraziste: szpiczasta broda, ostro zakończony nos, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i skóra, która wyglądała aż nienaturalnie gładko. Matka na pewno nie wstrzykiwała sobie botoksu, nie mówiąc już o liftingu, więc córka miała nadzieję, że dobre geny sprawią, iż w wieku matki będzie wyglądała równie dobrze.

Toni spotkała Stephanie na schodach i wyciągnęła ręce, by objąć córkę.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka jestem szczęśliwa - wyszeptła jej do ucha.

- To będzie krótka wizyta odparła Stephanie i dodała: - Cieszę się, że jestem w domu.

I naprawdę tak myślała.

- Co się stało, że zmieniłaś zdanie?

- Może po prostu chciałam na święta pobyc z rodziną cicho
odpowiedziała Stephanie.

- Może - powtórzyła Toni głosem, który wyraźnie sugerował, że w to nie wierzy.

Matt Burroughs wypuścił Joan i przytulił swoją starszą córkę.

- Jesteś najlepszym świątecznym prezentem, jaki mogłem dostać.

- Tato... - Stephanie czuła, jak łzy znów napływają jej do oczu, a w gardle rośnie wielka gula.

- Wejdźcie, pewnie strasznie zmarzłyście.

Matt Burroughs był profesorem w college'u - i dokładnie tak wyglądał.

Wysoki, szczupły i ostatnio nieco przygarbiony, ciągle chwalił się gęstą czupryną kruczoczarnych włosów, na których nawet teraz, po siedemdziesięciu latach, nie było prawie śladów siwizny. Ale Stephanie zauważyła kurze łapki dookoła oczu, zmarszczki na czole i coraz wyraźniejsze pochylenie, kiedy chodził. Od kiedy ostatnio się widzieli, ojciec zestarzał się bardzo.

Matt wpuścił córki do holu i zamknął drzwi. Mały zagracony przedpokój był jeszcze mniejszy, od kiedy postawiono tu drugą choinkę - dziecięcą - która pojawiała się co roku dla wnuków, by mogły wieszać na niej swoje ręcznie robione ozdoby. W tym roku drzewka nie było prawie widać spoza ogromnej liczby srebrnych, bibułkowych i drucianych gwiazdek oraz bombek z papier-mache.

Po lodowatej przejażdżce dom wydał się Stephanie cudownie ciepły, przesiąknięty zapachami świątecznych potraw, aromatyzowanych świec i sosny. W kominku w niespodziewanie pustym salonie powoli dopalało się drewno.

- Gdzie są wszyscy? - spytała Stephanie. Była pewna, że znajdzie tu całą rodzinę.

- W łózkach - ogłosiła matka z nutą niezadowolenia w głosie. - Myślałam, że na ciebie poczekają.

- Będą musieli wstać wcześniej rano razem z dziećmi - łagodnie odparł Matt. Skinął głową w stronę stosu pudeł w kolorowych opakowaniach, porzucanych dookoła ogromnej choinki zasłaniającej okno. - Po raz pierwszy od nie pamiętam ilu lat cała rodzina będzie w domu na Boże Narodzenie - dodał z uśmiechem. Sięgnął i złapał córkę za ramię. - Tak się cieszę, że przyjechałaś.

- Ja też, tato.

Toni chwyciła rękę Joan i pociągnęła córkę do kuchni, zostawiając Stephanie sam na sam z ojcem.

- Twoja matka pewnie teraz przesłuchuje Joan - uśmiechnął się Matt. Otworzył antyczny barek i dodał:

- Wiem, że raczej nie pijesz - powiedział, otwierając butelkę Bushmills z charakterystyczną naklejką - ale kieliszek dobrze ci zrobi. - Nalał podwójną miarkę i podał Stephanie. - Wyglądasz, jakbyś potrzebowała drinka.

- Raczej nie piję i raczej bym nie wzięła, ale dzisiaj...

- odchyliła głowę i wypila gorzki likier jednym haustem.

Czula, jak plyn spływa do gardła i w żołądku robi jej się najpierw gorąco, a potem spokojnie. - To był długi dzień.

Matt nalał sobie odrobinę likieru do kryształowego kieliszka starszego niż on sam, potrząsnął szkłem i powąchał charakterystyczny aromat.

Postawił kieliszek na półce nad kominkiem, przewrócił pogrzebaczem resztki tłącego się drewna, patrząc, jak czerwionoczarne i żółtobiałe iskierki wznoszą się w górę kominem.

- Miałaś szczęście, że udało ci się kupić bilet - odezwał się, nie odwracając. - To chyba było super last-minute.

- Tak. Zarezerwowałam bilet dopiero dziś po południu... to znaczy, w Irlandii było popołudnie.

Matt podniósł swój kieliszek i odwrócił się w stronę córki. Wpatrując się w drinka, zapytał:

- Nie miałaś jakichś świątecznych planów?

- Miałam spokojnie odparła Stephanie, nie rozwijając tematu.

Przez chwilę wydawało jej się, że ojciec będzie naciskał, ale on tylko podniósł w górę kieliszek i powiedział:

- Witaj w domu.

- Dzięki, tato.

- Zadam jeszcze jedno pytanie i dam ci już spokój: nie wpadłaś przypadkiem w jakieś tarapaty?

- Tato! Jakie tarapaty? - zapytała, zaciekawiona, co ojciec ma na myśli.

- No, nie wiem. Kłopoty w pracy.

- Nie, tato. Nie mam żadnych problemów w pracy.

- Problemy z facetem?

- W tej chwili w moim życiu nie ma żadnego faceta - odparła szybko. Nie chciała kłamać, ale nie miała ochoty opowiadać, co się stało. Rodzice byli zagorzałymi katolikami. Nie była pewna, jak zareagują, kiedy dowiedzą się, że ich córka miała romans z żonatym mężczyzną.

- Nie ma żadnego sekretu, żadnej wielkiej tajemnicy, naprawdę. W ostatniej chwili stwierdziłam, że chcę spędzić Boże Narodzenie z rodziną. Inaczej zostałabym w Dublinie sama... a tego nie chciałam.

- Cóż, dobrze, że się zdecydowałaś - oznajmiła Toni Burroughs, stojąc w drzwiach z tacą, na której postawiła opakowany w ogrzewacz imbryk i wielki talerz kanapek. Za nią snuła się Joan. Bez grubego płaszcza i wielkiej czapki, widać było podobieństwo do matki. - A teraz siadaj i zjedz coś

- musisz być głodna po takiej podróży - a potem zmykaj do łóżka. Przygotowałam ci twój dawny pokój, może wróćą wspomnienia z dziecięcych świąt. Joan, ty masz gościnnie.

Matka zatrzymała się, spojrzała w górę i przechyliła głowę na jedną stronę, nasłuchując, W pokoju zapadła cisza.

Gdzieś w oddali dzwon kościelny wybijał północ, a jego dźwięk rozległ się jasno i wyraźnie, samotny w zimowym powietrzu. Stephanie Burroughs znów powstrzymywała łzy: była w domu w Boże Narodzenie. A kiedy obudziła się dziś, w wigilijny poranek, nie miała jeszcze pojęcia, jak skończy się ten dzień.

Rozdział 6

Środa, 25 grudnia Boże Narodzenie

Była prawie 3:30 rano, kiedy Stephanie w końcu się poddała, wiedząc, że nie zaśnie.

Usiadła na łóżku, naciągnęła ciężką, pikowaną kołdrę po samą brodę i rozejrzała się dookoła. Miała surreali-

styczne uczucie deja-vu: to byt pokój, w którym mieszkała całe dzieciństwo. Nie zmienił się prawie wcale, od kiedy wyjechała ponad pół życia temu - jakby matka specjalnie zatrzymała tu czas. Naprzeciwko łóżka na ścianie wisiała głęboka półka, którą wypełniały po brzegi kostiumowe lalki z każdego kraju na świecie. Co prawda nigdy nie chciała ich zbierać, ale na każde urodziny i prawie każde Boże Narodzenie matka albo któraś z ciotek dawały jej kolejną lalkę o pustym wyrazie twarzy, ubraną w ręcznie robiony, misterny strój. Lalki były za delikatne, zbyt „wyjątkowe”, żeby można się było nimi bawić, więc Stephanie szybko je znieawidziła. Pod spodem stały dwie półki z książkami i Stephanie wiedziała, że nawet w ciemności potrafiłaby znaleźć *Małe kobiety*, *Anię z Zielonego Wzgórza*, *Przygody Tomka Sawyera* i *Dr. Seussa*, stojące obok poplamionych atramentem, należących do trzech pokoleń, szkolnych podręczników. W kącie pokoju, równie przerażającym, co kiedyś, stał koń na biegunach, którego dziadek wyrzeźbił ręcznie z wielkiego kawałka wiązu. Potem pomalował go z czułością i Stephanie wiedziała, że gdyby wstała z łóżka i przyjrzała się brzuchowi konika, zobaczyłaby swoje imię i datę - chyba wrzesień 1979 - wydrapane w drewnie. W pokoju nie było już ozdobnego i strojnego domku dla lalek, podarowanego jednej z bratanic, i kilku plakatów ozdabiających ściany, a poza tym nic się tu nie zmieniło.

Stephanie wystawiła nogi za łóżko. Podłoga pod gołymi stopami była ciepła i gładka. Ciągnąc za sobą kapę, podeszła do okna i przetarła dłonią szybę, wyglądając na zewnątrz. Padał śnieg: wielkie płatki cicho opadały, przykrywając wszystkie ostre kontury i wyciszając całą okolicę. Przez krótką chwilę zastanawiała się, jak teraz jest w Irlandii.

Narzuciła kapę na ramiona i zeszła na półpiętro. Chciała się napić wody. Od kiedy spotkała się z Kathy Walker, cały czas bolała ją głowa i czuła skurcze żołądka. Co prawda skurcze trochę zelżały, ale migrena ciągle nie dawała spokoju. Stephanie czuła pulsujący ból w zatokach.

Światła w domu ciągle były włączone, ale przygaszone, na wypadek, gdyby któreś z dzieci musiało pójść do łazienki w środku nocy. Cała rodzina zjechała do domu na Boże Narodzenie: czterej bracia - Bill, mały Matt, Jim i Chris - oraz dwie siostry - CJ i Joan. Oprócz Stephanie i Joan wszyscy przyjechali ze swoimi partnerami, a Bill, mały Matt i Chris - także z dziećmi.

Zdała sobie sprawę, że jutro - a właściwie już dzisiaj, w Boże Narodzenie - zacznie się wyjątkowy koszmar rodzinnych świąt.

Powoli zeszła na dół, czując nagłe poczucie winy. Wydało jej się, że jest znów sześciolletnią dziewczynką, skradającą się w środku nocy, by zobaczyć, czy przyjechał Święty Mikołaj. Pamiętała swoje rozczarowanie, kiedy okazywało się, że go nie ma. Zatrzymała się przy drzwiach do salonu i zajrzała do środka. Jedyne światło dobywało się z grubej świecy zapalanej w oknie oraz z czerwonoszarego popiołu tłącego się w kominku, skąd z rzadka wyskakiwały w górę iskierki. W mroku było tu magicznie. Stephanie cieszyła się, że okoliczności zmusiły ją do przyjazdu do domu. Co prawda matka nie zmieniała się prawie wcale, ale ojciec wyraźnie się starzał; zdała sobie sprawę, że czas ucieka i każde Boże Narodzenie może być ostatnim spędzonym wspólnie.

Drzwi do biura ojca były lekko uchylone, więc zajrzała do środka.

Zawsze lubiła to pomieszczenie. Jednym z najdroższych dziecięcych wspomnień było to, kiedy ja-

ko mała dziewczynka stała w tych drzwiach, patrząc w ciemną przestrzeń pokoju, zafascynowana książkami stojącymi na każdej ścianie, od podłogi po sam sufit. Pokój był zdominowany przez wyjątkowo brzydką płytę biurka, którą, tak jak konia na biegunach, również zrobił dziadek Burroughs. Za biurkiem stał duży, skórzany fotel ojca. Czerwona skóra popękała w kilku miejscach, brakowało kilku gwoździ, a oparcia zrobiły się gładkie po latach używania. Gabinet też się nie zmienił. Tylko na biurku zamiast starej, poobijanej maszyny do pisania Smith-Corona stał teraz zgrabny laptop Sony Vaio. Komputer był włączony, a wygaszacz ekranu pokazywał obrazki z akwarium, w którym tropikalne ryby leniwie pływały po koralowych rafach.

Pod wpływem impulsu Stephanie wślizgnęła się do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Od wielu godzin nie miała okazji, żeby sprawdzić pocztę i, mimo iż wątpiła, że dostanie coś poza świątecznymi kartkami, postanowiła skorzystać z okazji na wypadek, gdyby przyszła jednak jakaś ważna wiadomość.

Czy to był jedyny powód? Ignorując tę myśl, Stephanie skuliła się w skórzanym fotelu, podwinęła pod siebie stopy i otuliła się kapą. Potem kliknęła spację i wygaszacz zniknął.

Szybko zalogowała się do służbowego konta przez firmowy serwer. Znalazła kilka wirtualnych bożonarodzeniowych kartek wysłanych przez leniwych ludzi, którym nie chciało się napisać prawdziwych, a także parę e-maili od kolegów ze słowami „do zobaczenia w Nowym Roku”.

Potem weszła na swoje prywatne konto. Miała pięćdziesiąt dwie wiadomości.

Filtry antyspamowe wyłapywały większość śmieci - niestety nie wszystkie - przyszły specjalne oferty dar-

mowych pieniędzy, substytutów viagry i „prawdziwych” roleksów. Stephanie przewinęła ekran, szybko kasując spamy bez otwierania i przeszła do drugiej strony.

Nowa wiadomość od robert. walker@RandKProductions. com

Stephanie nie była zdziwiona.

Siedząc w fotelu, gapiała się przez dłuższą chwilę na ekran. Wiadomość nie miała tematu, została wysłana o 8:15 rano, czasu lokalnego, irlandzkiego. Stephanie spojrzała na zegar. Jakiś kwadrans temu.

Mogła skasować list. To było takie łatwe. Zaznaczyć, kliknąć „Kasuj” i po sprawie. Kliknęła na e-mail, ale jej dłoń zawisała nad klawiaturą, a wskazujący palec gładził klawisz „Delete”.

Nie było nic, co Robert mógłby jej powiedzieć, nic, co chciałaby usłyszeć.

Ale była ciekawa. Co się wydarzyło, kiedy on i Kathy wrócili do domu?

Kłócili się? Pogodzili? Jak skończyła się ta koszmarna Wigilia?

Kliknęła „Enter” i otworzyła wiadomość.

Draga Stephanie,

Nie wiem, co się z tobą dzieje. Bardzo się martwię. Próbuję dodzwonić się do ciebie do domu i na komórkę, ale nie odpowiadasz. Przepadłaś jak kamień w wodę. Proszę, skontaktuj się ze mną. Daj znać, że wszystko w porządku.

Dziś rano poszedłem nawet do ciebie do domu. Otworzyłem drzwi swoim kluczem. Martwię się, że nie ma po tobie śladu, a wiem, że nie wyjechałaś. Zaglądałem do szafy - wszystkie twoje ubrania wciąż tam są.

Martwię się, że coś ci się stało albo że coś sobie zrobiłaś.

Odchodzę od zmysłów.

Nie mam pojęcia, jak skontaktować się z Sally, a nie znam żadnych innych twoich przyjaciół. Jeśli wkrótce nie uda mi się ciebie odnaleźć, spróbuję zadzwonić do Charlesa Flintoffa. Myślę też, że może powinienem pójść na policję i zgłosić twoje zaginięcie. Kiedy odbierzesz tę wiadomość, proszę, proszę, odezwij się.

Kocham cię. Robert

- Cholera!

Pierwszą reakcją Stephanie był gniew jak Robert śmiał kontaktować się z nią, wchodzić do jej domu w środku nocy, grzebać w jej szafie, jak śmiał choćby myśleć o kontaktowaniu się z Charlesem Flintoffem, jej szefem! I jak śmiał mówić, że ją kocha?

Poczuła ucisk w klatce piersiowej i serce bijące tak mocno, jakby miało wyskoczyć z piersi. Żołądek zwinął się w supeł, zrobiło jej się niedobrze i przez chwilę myślała, że zwymiotuje. Zaczęła głęboko, niespokojnie oddychać.

Dlaczego nie mógł po prostu pogodzić się z tym, że się rozstali? Ze romans się skończył?

Kiedy stała w drzwiach swojego domu, patrząc, jak Robert i Kalhy po kolei wsiadają do swoich samochodów, nie przypuszczała, że jeszcze ich zobaczy, a już z pewnością nie przypuszczała, że Robert będzie się z nią kontaktował.

Najwyraźniej się myliła.

Gdzieś w podświadomości Stephanie rozległ się alarm. Rozstali się ledwie kilkanaście godzin temu, a Robert już próbował ją odnaleźć, na dodatek przyznał się,

że był w jej mieszkaniu - po co w ogóle dawała mu zapasowy klucz?
Nagle w kącikach ust Stephanie pojawił się uśmiech.

Wywołała go myśl, że Robert desperacko próbował się z nią skontaktować, a kiedy mu się to nie udało, pojechał do jej domu, w którym jej nie było. Jednak były tam ubrania, buty, nawet komputer. Nie miał pojęcia, gdzie podziała się Stephanie, więc wyobrażał sobie najgorsze. Czyżby w swojej arogancji myślał, że była tak załamana przebiegiem wypadków, że zrobiła coś głupiego, na przykład rzuciła się z mostu do Liffey? Pomyślała - zresztą nie pierwszy raz - że Robert w ogóle jej nie zna.

Ponownie przeczytała list i uśmiech zbladł. Bardzo nie chciała, żeby Robert rozmawiał z jej szefem albo z policją.

Ona musiała z nim porozmawiać.

Zastanowiła się i jeszcze raz sprawdziła godzinę wysłania wiadomości. Wysłał ją kwadrans temu, może wciąż był w sieci. Ojciec Stephanie był użytkownikiem America OnLine, więc jak każdy miał program AIM - komunikator internetowy, który pozwalał na czatowanie on-line.

Ostatnio, kiedy jechała na kontynent w interesach, znalazła się na Łotwie. Sygnał komórek był kiepski, stacjonarne telefony też nie działały najlepiej, ale dzięki AIM miała stały kontakt z Robertem.

Stephanie odszukała na ekranie żółtą ikonkę idącego mężczyzny i kliknęła. Zalogowała się, wpisała swoje imię i hasło, a potem czekała, aż spis jej kontaktów załaduje się do listy adresowej. Wiedziała, że to mało prawdopodobne, by Robert siedział w Internecie w świąteczny poranek.

Zalogowany: robertwalker

Stephanie przesunęła kursor na jego nazwisko, ale nie kliknęła.

Zalogowany od 35 minut.

Cóż, to mówiło wiele o tym, jak mają się związki w rodzinie Walkerów. Uśmiechnęła się, że użyła niefortunnego słowa „związki”. Co Robert robił przy komputerze tak wcześnie rano w Boże Narodzenie?

Stephanie kliknęła na nazwisko i otworzyła okienko komunikatora. Było podzielone na dwie części: wiadomości wychodzące w dolnej, odpowiedzi w górnej. Zwlekała, patrząc na swoje nazwisko, migające czerwonymi literami na białym ekranie: ***stephanieburroughs***, potem palcami uderzyła kilkakrotnie w klawiaturę:

Jestem.

Prawie natychmiast zobaczyła, jak w dolnym ekranie ukazuje się: ***robertwalker odpowiada.*** Chwilę później wiadomość od Roberta pojawiła się w okienku.

Dzięki Bogu. Wszystko w porządku? Strasznie się martwiłem.

Wszystko w porządku.

Gdzie jesteś?

Wszystko dobrze.

Nie zdradzisz mi, gdzie jesteś?

Nie.

Powiedz, że dobrze się czujesz. ***Dobrze.***

Stephanie. Proszę, porozmawiajmy. Mamy tyle do omówienia.

Nie mamy o czym rozmawiać. Oddaj mi mój klucz. Nie zbliżaj się do mojego domu. Nie dzwoń do mojego szefa. Nie chcę cię więcej widzieć.

Ale nie musi tak być.

Tak będzie.

Proszę. Musimy porozmawiać. Muszę z tobą porozmawiać. O dzisiejszym dniu. O przyszłości.

Nie mamy wspólnej przyszłości, Wracaj do żony, Robercie.

Stephanie kliknęła i wylogowała się z AIM. Wiedziała, że Robertowi wyskoczy wiadomość: „stephanieburroughs rozłączyła się”. Jezu, ależ on jest pewny siebie! Arogancja zapierająca dech w piersiach.

- Wszystko w porządku, kochanie?

Stephanie podskoczyła. Podniosła wzrok i zobaczyła, że w drzwiach pokoju stoi ojciec. Zastanawiała się, od kiedy tam jest.

- Przepraszam, tato. Nie mogłam spać. Sprawdzałam pocztę.

- Coś ważnego?

- Same śmieci.

Rozdział 7

W porządku. Naprawdę, już dobrze. Stephanie siedziała w łóżku, trzymając w dłoniach miseczkę gorącej zupy.

- Nie wyglądasz „w porządku”. - Toni Burroughs usiadła na krawędzi łóżka i uważnie przyjrzała się córce.

Wyglądasz na zmęczoną, a worki pod oczami masz takie, że wyglądają jak siniaki.

- Cieszę się, że ci się podobam, mamo.

- Znasz mnie. Mówię, co widzę. To ułatwia życie - matka przyglądała się, jak Stephanie przetyka łyżką zupy.

- Myślałam, że dasz mi trochę rosółu - odezwała się córka. Rosół według przepisu matki był jednym z najlepszych wspomnień z dzieciństwa.

Każda choroba, odra-

czy świnka, każde skaleczenie, zadrapanie i ból zęba -wszystko leczyło się bulionem. Zazwyczaj działał.

- Nie mam kurczaka, więc zrobiłam rosół z indyka. Zupa świąteczna.

- Pyszna.

- Trochę za słona - skromnie odparła Toni. - Jak się czujesz?

Dobrze.

- Billy mówił, że zemdlałaś, kiedy nagle wyszłaś na dwór.

- Nieprawda. Siedziałam na ganku, piłam kawę po śniadaniu. Dzieci szalały przy otwieraniu prezentów, więc wyszłam, żeby było spokojniej. Billy zapalił papierosa. Może to dym sprawił, że zakreśliło mi się w głowie. Plus wczorajsza podróż i to, że wstałam dziś o 3:30.

- Ojciec mówił, że wcześniej rano piliście razem herbatę. Usłyszał hałas na dole. Myślał, że to któreś z dzieci zakrada się po prezenty - jak ty kiedyś - ale znalazł tylko ciebie, siedzącą w jego biurze.

- Sprawdzałam pocztę.

Ale Stephanie wiedziała, że dziś rano naprawdę zemdlała. Była jakaś minuta, która uciekła jej z pamięci: w jednej chwili siedziała na ganku, patrząc na zimowy krajobraz w ogrodzie, a potem nagle zobaczyła pochylającą się nad nią dużą, brzydką twarz brata z papierosem zwisającym z ust i ciemnymi zaniepokojonymi oczami wpatrzonymi w siostrę. Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Chwilę później pojawiły się CJ i Joan, które pomogły jej się położyć. Po ich wyjściu do pokoju wkroczyła Toni Burroughs, niosąc tacę z dużą miseczką zupy i krakersami.

- Policzyłam sobie wcześniej, że w ciągu ostatniej doby spałam jakieś trzy godziny - odezwała się Stephanie -

i to głównie w samolocie. Jestem tylko zmęczona, tak mi się wydaje.
Toni wyciągnęła dłoń, by przyłożyć ją do czoła córki.

- Wydajesz się rozpalona - stwierdziła.
- Jem twoją zupę, mamó - przypomniała Stephanie.

- Jesteś w ciąży, Stephanie?

Pytanie matki zaskoczyło ją całkowicie. Otworzyła szeroko oczy i usta, rozlewając odrobinę zupy na tacę.

- Mamó! Co to za pytanie?

Toni podniosła brwi i przechyliła głowę:

- Jesteś? - nalegała.

- Nie, nie jestem. A poza tym, jak mogę być w ciąży, skoro jestem lesbijką?

Stephanie z przyjemnością ujrzała, jak matka się rumieni.

- Cóż, na okrągło mówi się o les... o parach homoseksualnych, które mają dzieci.

Stephanie odłożyła miseczkę na tacę, którą odsunęła na bok. Wzięła matkę za rękę. Jej dłonie były małe, stawy zaczynały wystawać i puchnąć od artretyzmu, ale na każdym palcu Toni nosiła pierścionek. Złote na lewej dłoni, srebrne na prawej - to było jedyne dziwactwo, na jakie sobie pozwalała. Ściskając delikatnie palce matki, by podkreślić wagę swoich słów, Stephanie powiedziała: - Mamó, nie jestem lesbijką i nie jestem w ciąży. Jestem po prostu wyczerpana. To wszystko. A teraz idź i ciesz się świętami z dziećmi i wnukami. Daj mi trochę odpocząć, a szybko do was dołączę.

Toni Burroughs wstała i zaczęła krzątać się wokół łóżka, wygładzając pościel.

- Wierzę ci... - odezwała się w końcu.

- To dobrze. Cieszę się.

- Ze nie jesteś les... taka.

- Mamo! - Stephanie ucieszyła się, widząc tak rzadki u matki uśmiech.

- Jesteś pewna, że niczego ci nie potrzeba?

- Nie, mamo - odpowiedziała Stephanie, ale nic dodała, że potrzeba jej tylko ciszy i spokoju.

- Zasunę zasłony - odparła Toni, poluzowując sznurek i zaciągając grube story, w ten sposób całkowicie pograżając pokój w ciemności.

- Może to właśnie powinnam zrobić wczoraj - odezwała się Stephanie, patrząc na krzątającą się kobietę i czując się jak dziecko leżące w łóżku, które co wieczór przygląda się matce zasłaniającej okna, zanim usłyszy „kolorowych snów”.

- Pewnie tak.

- Z powodu śniegu było tak jasno, że nie mogłam spać. W Irlandii nie jest tak biało odsunęła tacę. Dzięki mamo, ale nie zjem już więcej. Trochę mi słabo.

Toni pokiwała głową. Zabrała tacę z prawie nietkniętym rosołem i pochyliła się, by pocałować Stephanie w czoło, jak to robiła w dzieciństwie.

- Odpocznij. To najlepsze miejsce dla ciebie - powiedziała i dodała: - Chyba zaproszenie wszystkich wnuków razem nie było najlepszym pomysłem.

Drzwi zamknęły się i Stephanie słyszała, jak matka cicho idzie wzdłuż holu, a potem schodzi po skrzypiących schodach. Leżała w ciemności, gapiąc się w sufit. Kiedy oczy przyzwyczyliły się, znów zobaczyła swój pokój, tym razem mroczny i zacieniony. To, co przedtem wydawało się pocieszające i znajome, teraz wyglądało strasznie i nieswojo. Jet-lag - dlatego źle się czuła, przez tę koszmarną chorobę, która jest kombinacją najgorszego kaca i zupełnego wyczerpania. Kilka godzin snu i będzie w porządku.

Oczywiście, że nie jest w ciąży. Pomysł był po prostu śmieszny.

A może nie?

Stephanie leżała w łóżku, wciąż wpatrując się w sufit i próbując wyobrazić sobie kalendarz. Od zawsze miała nieregularne miesiączki, cykle trwały od dwudziestu pięciu do nawet trzydziestu dwóch dni, a niektóre miesiące były cięższe niż inne. Ostatnio miała okres... zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć.

Ech, nie było sensu się nad tym zastanawiać.

Ale kiedy już zaświtało jej to w głowie, nie mogła przestać rozmyślać. Kiedy miała ostatnią miesiączkę? Zostawiła kalendarz w domu. w Irlandii, ale na pewno było to w listopadzie, pod koniec miesiąca... nic, wcześniej, bo przecież - przypomniała sobie - dostała okres przed świątecznym przyjęciem w firmie. A ono odbyło się w piątek, piętnastego listopada.

Co znaczyło... że teraz miesiączka spóźniała się o osiem do dziesięciu dni. Powoli pokręciła głową. Nie może być w ciąży. Zawsze się zabezpieczali. Właściwie nie zawsze, niestety, wiedziała o tym, taka była gorzka prawda. Na początku, kiedy kochali się regularnie, Robert zaproponował, żeby brała tabletki. Odmówiła. Jej agencja właśnie skończyła kampanię społeczną, ostrzegającą przed powikłaniami związanymi z lekami antykoncepcyjnymi i Stephanie twierdziła, że nie po to odpowiednio się odżywia, nie pali i ogranicza cukier, żeby niszczyć swój organizm antykoncepcją. Robert upierał się przy swoim, powtarzając, jak bezpieczna i skuteczna jest tabletki dla większości kobiet.

Stephanie przypomniała mu, że nie należy do większości i że skoro przestała jeść wołowinę, bo istniała mini-

malna szansa zarażenia BSE, to nie będzie brała tabletek, jeśli istnieje minimalna szansa, że może mieć to zły wpływ na jej organizm.

Patrząc z perspektywy czasu, Stephanie pomyślała, że to chyba była ich pierwsza prawdziwa kłótnia. Dopiero później, dużo później, zdała sobie sprawę, jak bardzo Robert był samolubny.

Narzekając pod nosem, wyszedł wtedy i kupił pierwszą paczkę prezerwatyw od prawie dwudziestu lat. Na początku Stephanie pilnowała, by ich używał, ale z upływem czasu Robert pamiętał o nich tylko w „niebezpieczne” dni. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się kochali... w piątek, w jego biurze. Bez zabezpieczenia. Myślała wtedy, że jest bezpieczna, bo wkrótce miała dostać okres. Przedostatni raz... w jej mieszkaniu, chyba tydzień wcześniej. Zmarszczyła czoło. To była sobota wieczór. Poszli do kina, zjedli sushi w Yamamori's na George's Street, potem wrócili do niej. Wzięła kąpiel... i znów kochali się bez zabezpieczenia. Prezerwatywy skończyły się, a w przypływie namiętności nie mieli zamiaru ubierać się i szukać apteki albo supermarketu.

Teraz serce biło jej już tak mocno, że całe ciało zaczęło drżeć, więc Stephanie objęła się rękami, próbując się uspokoić. Teraz czuła uderzenia pod prawą dłoń i nieświadomie przesunęła rękę na prawie zupełnie płaski brzuch. Oddychała płytko, skórę miała wilgotną od potu, który gromadził się na karku i spływał za ucho.

W ciąży.

Może.

Prawdopodobnie. Ale raczej nie.

Stephanie próbowała znaleźć inną przyczynę braku miesiączki. Było kilka powodów: stres spowodowany ro-

mansem - wiedziała już od kilku tygodni, że związek z Robertem zbliżał się do końca, a jeśli dodać do tego pośpiech w pracy, gdzie trzeba było skończyć zlecenia przed świętami, sytuacja była jasna. Ostatnio dużo też podróżowała - zazwyczaj były to jednodniowe wyjazdy do Londynu, Paryża, Berlina i Rzymu, a przecież latanie zaburza regularność miesiączek. Może dieta? Przeszła na dietę GI - może to wpłynęło na organizm i zmieniło cykle?

Znów zrobiło jej się słabo. Czy to wyobraźnia, czy piersi naprawdę zrobiły się cięższe i bardziej wrażliwe? Czy to jakiś znak?

O Boże. A jeśli jestem w ciąży?

To niemożliwe, była tego zupełnie pewna. Miała trzydzieści pięć lat, znała swoje ciało, jego rytm i cykle. Piersi często stawały się jędrniejsze przed okresem. Stephanie była pewna, że to, co teraz czuje, jest wywołane spóźnioną miesiączką, dodatkowym stresem i przemęczeniem.

A jeśli nie? A jeśli jest w ciąży?

Była zmęczona, wykończona różnicą czasu i podróżą, a przy tym emocjonalnie rozbita. Poczwała, że płacze łzami dezorientacji i współczucia dla samej siebie, pomieszanych ze strachem. Wyobraźnia wymknęła się spod kontroli. Powiedzmy, że jest w ciąży: co z karierą, domem, stylem życia? Albo będzie musiała rzucić pracę, albo pójść na urlop macierzyński, pewnie sprzeda dom i jej życie zmieni się nieodwołalnie. Co ma zrobić?

I co pomyśli Robert?

W jej głowie zaświtała myśl, która sprawiła, że Stephanie podniosła się i usiadła. Czy wróciłby tak chętnie do żony, gdyby wiedział, że kochanka nosi jego dziecko? Czy pozwoliłaby mu odejść, czy popchnęłaby go ku temu, gdyby podejrzewała, że jest w ciąży?

Co pomyśli Kathy? Walkerowie mieli dwoje dzieci - siedemnastoletniego chłopca i piętnastoletnią dziewczynkę. Stephanie ciekawiło, czy Kathy chciała mieć więcej dzieci. Jak będzie się czuła, kiedy dowie się, że jej mąż będzie miał dziecko z kochanką?

Czy powinna mu powiedzieć? Odpowiedź była natychmiastowa i twierdząca. Oczywiście, że mu powie: jeśli jest w ciąży, nie ma zamiaru radzić sobie ze wszystkim sama. Robert ją w to wmanewrował. Musi ją teraz wspierać. Jeśli nosi dziecko Roberta, upewni się, że on o tym wie i finansowo zaopiekuje się maleństwem.

Nie udało mi się zerwanie kontaktów z Robertem, pomyślała gorzko. Ale zanim podejmie jakąś decyzję, musi się kogoś poradzić. Stephanie spojrzała na zegar. Kilka minut po dziesiątej rano na Long Island, w Irlandii jest około trzeciej po południu.

Rozdział 8

- Wesołych Świąt - głos w telefonie miał w sobie świeżość i wesołość, które natychmiast podniosły Stephanie na duchu.

- Brzmisz jak ktoś, kto wczoraj wieczorem się zaręczył - powiedziała cicho.

- Stephanie! Mój Boże, Stephanie! To ty? - głos Sally Wilson zmienił się w wysoki pisk.

Trzymając telefon w bezpiecznej odległości od ucha, Stephanie odpowiedziała. Oczywiście, że to ja. No, mów. Czy Dave się oświadczył?

- Pewnie, że się oświadczył, wielki głupek! Ukłękł na jedno kolano i tak dalej - w słuchawce rozległ się dźwięczą-

cy stukot. - Słyszysz właśnie uderzenia zadziwiająco ładnego pierścionka z kamieniem. Na dodatek to prawdziwy diament, a nie szkło czy cyrkon. Jesteśmy oficjalnie zaręczeni i nie chcemy długo czekać, więc ustaliliśmy wstępnie datę na wrzesień. A ty oczywiście będziesz moją druhną.

Mimo że leżała płasko na łożku, Stephanie wydało się, że wszystko zaczyna się chwiać. Jeśli - a to ciągle jeszcze było wielkie, ogromne, gigantyczne „jeśli” - jest w ciąży, to dziecko urodzi się właśnie we wrześniu.

- Sally, tak się cieszę. Bardzo.

- Wiedziałam, że się ucieszysz. No to opowiadaj, jak tam u rodziny? Dotarłaś cała? Jezu, ale miałaś podróż! Pewnie jesteś wykończona. Stephanie przećwiczyła wcześniej rozmowę z przyjaciółką. Miały pogadać o zaręczynach Sally, o świętach, prezentach i rodzinach - jakie były okropne i zwariowane, a potem, dopiero potem, Stephanie miała zamiar zwierzyć się Sally ze swoich lęków. Taki był plan.

Zamiast tego wyrzuciła z siebie od razu:

- Sally, ja chyba jestem w ciąży.

Zdziwiło ją załamanie we własnym głosie. Miała trzydzieści pięć lat, a czuła się przerażona jak nastolatka.

W słuchawce zapadła długa cisza. W tle Stephanie słyszała wyciszone eksplozje fajerwerków w jakimś świątecznym filmie i głośny, nieco pijany śmiech. Nagle hałasy ucichły, kiedy Sally weszła do innego pokoju i zamknęła drzwi.

- Opowiadaj.

Stephanie zwinęła dłoń i przykryła nią słuchawkę, ścisząc głos do więcej niż szeptu:

- Chyba jestem w ciąży - powtórzyła.

- A ja myślę, że mam szmal, choć go nie mam odparowała Sally.

- Okres mi się spóźnia jakieś dziesięć dni. -- Mnie też się często spóźnia dziesięć dni.
- Wiem. Mnie również. Ale mam też mdłości.
- Może to z powodu stresu? - rozsądnie zauważyła Sally.
- Możliwe. Też o tym myślałam. Albo z powodu jedzenia mojej mamy. Ale nie zapowiada się, żebym miała mieć okres. Nic. Za to mam obolałe i ciężkie piersi, a rano trochę zemdlałam.
- Co? ! Trochę zemdlałam? Co to ma znaczyć?
- To, co powiedziałam. Siedziałam na ganku, pijąc kawę, a potem pamiętam tylko, że mój brat zaniósł mnie do pokoju. Siostry położyły mnie do łóżka. A zresztą matka zapytała mnie wprost. Stephanie słyszała, jak Sally bierze głęboki oddech.
- Spytała, czy jesteś w ciąży?
- Prosto z mostu.
- Matki zawsze to wiedzą - ponuro stwierdziła Sally. - Nasza matka też wiedziała, kiedy moja siostra Rosie zaszła w ciążę. I to jeszcze kilka tygodni przed tym, jak sama Rosie się dowiedziała. I co o tym myślisz? Jest jakaś możliwość, że jesteś w ciąży?
- Myślałam o tym. Jest.
- Nie zabezpieczaliście się?
- Zazwyczaj tak, ale nie zawsze i nie ostatnio.
- Och, Stephanie! Przypomnij mi, ile ty masz lat?
- Wiem, ale ochota...
- Cóż, ochota chyba zwała cię z nóg. Jak się czujesz jako przyszła matka?

Stephanie oblizwała spierzchnięte wargi. Matka. Sally byłaby świetną matką, Joan - najmłodsza siostra - też, ale ona sama, nie. Nie teraz. Może za kilka lat, kiedy trochę zaoszczędzi, spłaci hipotekę i awansuje. Ostatnio,

kiedy rozmawiali z Robertem o dzieciach, zasugerowała, że może za dwa lata...

- Boję się - przyznała w końcu cicho. - Wielu różnych rzeczy, nie wiem, jak się z nimi zmierzyć. Ale boję się, Sally. Co ja mam zrobić?

- Najpierw musisz się upewnić, czy naprawdę jesteś w ciąży. Kup test. W jakiegokolwiek dobrej aptece. Choć pewnie dziś wszystkie są zamknięte, nawet w dwudzie-stocztero godzinnej Ameryce, prawda?

- Pewnie tak. A jeśli jestem w ciąży, co mam robić? Powiedzieć Robertowi? Czy w ogóle dać sobie z nim spokój?

- W żadnym razie. Musisz mu powiedzieć. Powiedz mu także, że oczekujesz, że będzie płacić. Przygotuj jakieś prawnicze papiery i, jeśli będzie się opierał, pozwij go o alimenty.

- Masz rację, oczywiście, że masz rację. Kiedy mam mu to wyjawić, jak myślisz?

Stephanie prawie widziała uśmiech na twarzy Sally.

- Cóż, gdyby chodziło o mnie, już bym do niego dzwoniła, psując świąteczny obiad. Przecież Robert zmarnował twój.

Takiej rady potrzebowała Stephanie.

Rozdział 9

- Halo? - w słuchawce odezwał się wyraźnie niespokojny męski głos.

Gdzieś w tle rozlegały się filmowe eksplozje fajerwerków, więc

Stephanie domyśliła się, że Robert Walker ogląda ten sam film co Sally i Dave.

- Halo? - powtórzył.

- Chyba powinieneś odejść od telewizora i znaleźć jakieś ustronne miejsce, gdzie będziesz mógł rozmawiać - spokojnie powiedziała Stephanie. Siedziała na łóżku z brodą opartą o kolana, prawą ręką obejmując nogi i przyciskając do ucha dużą słuchawkę starego modelu przenośnego telefonu stacjonarnego.

Na linii coś syczało i strzelało, ale wyraźnie usłyszała, jak Robert Walker przełyka ślinę. Uśmiechnęła się. Wyobraziła sobie, jak siedzi w domu, otoczony rodziną, z żoną i dziećmi.

- Tak... jasne... - odparł z udawaną swobodą. - 1 Wesołych Świąt, wzajemnie. Poczekaj sekundę, wyjdę z pokoju, dalej od telewizora. Słyszała, jak odsuwa słuchawkę od ust i tłumaczy się komuś po cichu. Wyłapała dwa słowa: „bożonarodzeniowy... obiad” i nie mogła się nie uśmiechnąć. Sally miała rację: Robert zaraz straci apetyt.

Nastąpiło kliknięcie i dźwięki po drugiej stronie słuchawki zmieniły się, kiedy Robert przeszedł do innego telefonu; Stephanie wyraźnie słyszała urywany, nerwowy oddech.

- Wszystko w porządku? - spytał od razu.

- Tak... Nie... Nie wiem - odpowiedziała szczerze.

- Tak się martwiłem, a kiedy nie mogłem się z tobą skontaktować, nie wiedziałem, co myśleć. Wcześniej, kiedy przez AOL napisałaś, że nie chcesz mnie już więcej widzieć, byłem zrozpaczony...

Stephanie odczekała chwilę, zanim odpowiedziała. On był zrozpaczony. A przecież nic nie stracił. Romans nic go nie kosztował. Ją, wręcz przeciwnie bardzo wiele - a jeśli była w ciąży, zmienił jej życie nieodwracalnie. Mo-

gła mu odpowiedzieć na wiele sposobów - ze smutkiem, z ironią, cynicznie albo złośliwie, ale w końcu zdecydowała się na beznamiętne stwierdzenie:

- Chyba jestem w ciąży, Robercie.

Cisza, która potem nastąpiła, była tak długa, że Stephanie musiała ją przerwać:

- Nie masz nic do powiedzenia? Żadnego gorącego komentarza, uwagi, gratulacji?

-Ja... ja... nie, nie wiem, co powiedzieć.

- No to coś wymyśl.

- Jak to się... To znaczy, kiedy to się stało?

- Kto wie? Kilka razy ostatnio kochaliśmy się bez zabezpieczenia.

- Mówiłem, żebyś zaczęła brać tabletki. Stephanie ugryzła się w język, żeby nie wpaść w złość,

i głośno przełknęła ślinę. Nie czas na słowne potyczki. Czas na decyzje.

- Jesteś pewna? - spytał. - Na sto procent?

- Raczej tak - skłamała. - Kilka godzin temu zdałam sobie sprawę, że okres spóźnia mi się o dziesięć dni.

- Dziesięć dni to jeszcze nie tak dużo, prawda? - spytał z nadzieją.

- Wystarczająco dużo.

- Zrobiłaś test? Potwierdziłaś to?

- Jest Boże Narodzenie, Robercie, jakbyś zapomniał. Gdzie ja kupię dzisiaj test ciążowy?

Słyszała, jak znów oblizuje usta.

- Naprawdę myślisz, że możesz być w ciąży? -Tak.

Wydał dźwięk, który równie dobrze mógł być westchnieniem, jak jęknięciem.

- Zdecydowałaś już, co zrobić z... z dzieckiem?

- Nie. Ale jesteś jego ojcem. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą. Podjąć jakąś decyzję. Poważną decyzję.

- Tak, tak, oczywiście. Słuchaj, może się spotkamy? Oczywiście nie dzisiaj...

Nie, nie dzisiaj, bo on spędza sobie szczęśliwe, rodzinne święta i nie będzie w stanie wymyślić dobrej wymówki, żeby wyrwać się z domu.

- Jutro. Możemy się spotkać jutro? Gdzie jesteś? Stephanie uśmiechnęła się.

- Jutro wieczorem raczej mi się nie uda...

- Naprawdę muszę się z tobą spotkać i porozmawiać - zażądał Robert. - Spotkajmy się. Gdziekolwiek - dodał.

- Gdziekolwiek?

- Pojadę, gdzie trzeba - nalegał.

- Dobrze. Jestem u rodziców. Milczenie.

- Na Long Island? -Tak.

- Co tam robisz?

- Spędzam rodzinne Boże Narodzenie - powiedziała, nie potrafiąc ukryć goryczy. - Robert - syknęła - co według ciebie powinnam zrobić?

Siedzieć w pustym domu w święta i wyrzucać sobie, jaka byłam głupia?

- Jeśli chodzi o wczoraj...

- Nie teraz - przerwała mu. - Nie o tym chcę rozmawiać. Chcę porozmawiać o naszym dziecku.

Kiedy Stephanie wymawiała słowa „nasze dziecko”, coś się w niej zmieniło, pękło. Wzięła głęboki oddech.

- Słuchaj, nie miałam zamiaru więcej się z tobą spotykać i nie chciałam mieć z tobą nic wspólnego. Ale wszystko się zmieniło. Jeśli jestem w ciąży, musimy się spotkać.

Tak, tak, oczywiście, musimy. Po kolejnej długiej pauzie Stephanie usłyszała, jak Robert wzdycha głęboko, by chwilę później zapytać:

- Jak bardzo jesteś pewna? To znaczy, na ile jesteś pewna, że jesteś w ciąży?

Słyszała panikę w jego głosie, ponosiły go nerwy.

- Już mnie o to pytałeś, ale odpowiem raz jeszcze: jestem raczej pewna.

- Kiedy będziesz wiedziała na sto procent?

- Jutro odparła, zastanawiając się, czy Target albo Wal-Mart będą otwarte pewnie tak.

- Kiedy wracasz do domu? - spytał Robert.

Nie wiem. Nie miałam zamiaru pojawić się przed Nowym Rokiem, ale to chyba zmienia postać rzeczy. Sprawdzę, czy uda mi się wrócić przed weekendem. Później poszukam lotu.

- Daj mi znać, kiedy przylatujesz. Odbiorę cię. Porozmawiamy.

Zdecydujemy co zrobisz z dzieckiem.

Stephanie nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała ich rozmowa.

- Robercie, nie co ja zrobię - to nasze dziecko. Co my zrobimy.

- Cóż, przedyskutujemy różne rozwiązania... Stephanie zmarszczyła czoło, czując gorycz w gardle.

- Co masz na myśli, mówiąc „rozwiązania”?

Coś w głosie Stephanie musiało zaniepokoić Roberta, bo natychmiast zmienił ton.

- Miałem na myśli to, co będzie najlepsze dla ciebie i dla dziecka.

Po chwili ciszy kontynuował:

- Słuchaj, muszę kończyć. Dobrze było cię usłyszeć, cieszę się, że wszystko w porządku.

Spróbował się zaśmiać, ale kiepsko mu to wyszło.

- Choć nigdy nie zgadnę, jak udało ci się dostać do Nowego Jorku w Wigilię. Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

- Nie pomyślałam. Tak jak wtedy, kiedy zaczynałam nasz związek, Robercie. Po prostu nie myślałam o konsekwencjach.

Odłożyła słuchawkę, położyła telefon na łóżku i opadła na poduszki.

Potem uśmiechnęła się. Czuła satysfakcję, że zepsuła mu święta.

Chciałaby być teraz muchą na ścianie w jego domu.

W Stephanie odezwała się pragmatyczna strona jej natury. Może jest w ciąży, może nie: najpierw musi to potwierdzić. Jeśli jest w ciąży, powinna wrócić do Irlandii, porozmawiać z Robertem. Ani przez chwilę nie wątpiła, że chce urodzić. Usunięcie nie wchodziło w grę. Nawet gdyby Stephanie nie urodziła się i nie wychowała w bardzo katolickiej rodzinie, widziała zdjęcia najnowszych, trójwymiarowych badań prenatalnych i wiedziała, że życie dziecka zaczyna się niemal natychmiast po poczęciu. Teoretycznie była katoliczką, choć niezbyt gorliwą, i nie chciała być odpowiedzialna za śmierć żadnej ludzkiej istoty. Jednak podczas rozmowy z Robertem przez chwilę wydawało się, że mężczyzna zasugeruje aborcję.

A problemy z pracą? Jeśli kiedykolwiek miała pierwszą miłość - była to jej zawodowa kariera. Jak wpłynie na nią urodzenie dziecka? Na pewno ograniczy wolny czas i zminimalizuje szanse na awans. Jej pozycja w firmie wymagała częstych podróży - będzie musiała zmniejszyć ich liczbę i znaleźć dobrą opiekunkę.

Właściwie Stephanie wcale nie myślała o dzieciach, dopóki Robert nie oświadczył się jej w sobotę. Mój Boże,

czy to naprawdę byto tylko cztery dni temu? Wydaje się, że minęły całe wieki. Niektóre z jej koleżanek zdecydowały się wychowywać dzieci bez pomocy mężczyzny i Stephanie bardzo je podziwiała. Ale wiedziała, że sama nie chce mieć dziecka, dopóki nie znajdzie partnera, z którym będzie mogła dzielić obowiązki... i trudności.

Wzięła głęboki oddech, policzyła do dwudziestu i wypuściła powietrze. Mniej niż pół godziny temu nawet nie przyszło jej to do głowy, a teraz zastanawiała się, jak pogodzić wychowanie dziecka z karierą.

Po kolei: najpierw musi się upewnić, że jest w ciąży.

Rozdział 10

Bożonarodzeniowy obiad w domu Burroughs'ów skończył się wyjątkową modlitwą: odmówioną po posiłku.

- Dobry Boże, dziękujemy Ci za to, co dane nam było otrzymać i spożywać przy tym stole... zaczął Matt.

Stephanie, siedząca w połowie długiego stołu, zapytała kiedyś ojca, dlaczego nie *mówią* modlitwy dziękczynnej tak jak wszyscy, przed posiłkiem. Matt odpowiedział, że dziękowanie za coś, czego jeszcze się nie otrzymało, wydawało mu się aroganckie, podczas gdy dziękczynienie za spożyte dary było znacznie bardziej sensowne.

Siedzenie przy świątecznym stole wraz z czterema braćmi i dwiema siostrami - z których tylko ona i Joan były samotne - to pewnego rodzaju katorga. Dzieci, co prawda, jadły w kuchni, ale i tak co pięć minut przybiegały do jadalni albo któreś z rodziców wyskakiwało, żeby

sprawdzić pochodzenie wyjątkowo głośnego wrzasku bądź uderzenia, dochodzących z drugiego pomieszczenia. Stephanie była mniej więcej środkową z rodzeństwa, ale między najstarszym Billym i najmłodszą Joan było tylko dwanaście lat różnicy. Rodzina pozostawała z sobą blisko, z wyjątkiem Stephanie, która szybko opuściła dom i rzadko do niego wracała. Może dlatego nawet otoczona bliskimi czuła się tu trochę nie na miejscu jak obca osoba. Ale to i tak jest lepsze, znacznie lepsze niż siedzenie w pustym mieszkaniu w Dublinie, powtarzała sobie.

Po obiedzie Stephanie i Joan poszły do kuchni, by włożyć naczynia do zmywarki. Cztery bracia i CJ, która zawsze była chłopczycą, przynosili brudne talerze z jadalni, a Toni i Matt bawili się z wnukami. Kuchnia wciąż pięknie pachniała, wypełniona aromatami pieczonych mięs, przypraw korzennych, ziół i alkoholi.

- Jezu, znów czuję się, jakbym miała dziesięć lat - odezwała się Stephanie. Westchnęła głęboko i dodała: - Te świąteczne zapachy to dla mnie synonim dzieciństwa.

- A dla mnie dzieciństwo to aromat żywicy - odparła Joan. - Pamiętasz, jak ojciec odcinał czubki drzew na podwórku, a chłopcy ciągnęli gałęzie przez cały ogród?

- I jeszcze zapach palonych liści - dodała Stephanie.

- Czyli jesieni - Joan wyjrzała przez kuchenne okno. Większości drzew już od dawna nie było. Były zbyt potężne, by Matt mógł sam o nie dbać. Pięć lat temu, późnym latem, bracia przynieśli piły i ścięli najwyższe drzewa. Potem pocięli pnie na drwa do kominka i szopa za podwójnym garażem ciągle była pełna okrągłych i półokrągłych pieńków. Wystarczy ich przynajmniej na kolejne trzy lata.

- Myślałam, czy nie przenieść się tu na stałe - nagle odezwała się Joan.

- Rozmawiałaś z Eddiem?

Prosiłam, żeby CJ do niego zadzwoniła i powiedziała, gdzie jestem.

- Pewnie był samotny bez ciebie w święta - zasugerowała Stephanie, uważnie układając talerze w zmywarce.

- Ja też za nim tęskniłam. Ale okłamał mnie, Stef. A kiedy facet raz skłamię - to koniec. A jeśli koniec, to koniec.

- Może tak, może nie. Czasem okoliczności sprawiają, że nagle znajdujesz się w punkcie wyjścia - ponuro odparła Stephanie. Podniosła wzrok i zobaczyła, że siostra wpatruje się w nią pytająco. - Przede wszystkim, czy spytałaś Eddiego, dlaczego cię okłamał? - zapytała szybko, próbując powstrzymać Joan przez zadaniem oczywistego pytania.

- Wstydział się, że stracił pracę i nie chciał mnie martwić.

- To rozsądne.

Joan zamrugła, zdziwiona.

- Bierzesz jego stronę.

- Nie biorę niczyjej strony, tylko komentuję. Był głupi, stracił pracę. Ale nie chciał cię martwić, więc co rano wstawał - a mógł przecież wylegiwać się w łóżku - ubierał się i wychodził, spędzając dzień na... czym?

- Na chodzeniu po ulicach. Twierdził, że szukał pracy.

- Więc spędzał dzień, chodząc po ulicach, szukając pracy, bo cię kocha.

- A ja mu to wybaczyłam - zaprotestowała Joan. - Kiedy w końcu odkryłam prawdę, strasznie się pokłóciliśmy... no dobra, ja się wściekłam, a on tylko słuchał i w końcu przyznał się, że stracił pracę, bo zrobili redukcję kadr. Ale to było kolejne kłamstwo. Dowiedziałam

się wczoraj. Zwolnili go, bo dodawał sobie nadgodziny, których wcale nie przepracował.

- A ty nigdy tego nie zrobiłaś? - zastanawiała się Stephanie. - Nigdy nie sfalszowałaś rachunku, nie dodałaś sobie godziny pracy albo kilku służbowych wydatków? - zanim siostra zdążyła odpowiedzieć, Stephanie rzuciła jeszcze: - A co zrobił z pieniędzmi za te nadgodziny?

- Szły na wspólne konto, jak wszystkie inne. - Joan schyliła się nad zmywarką i włożyła noże oraz widelce do małego pojemnika. - Wiem, co chcesz powiedzieć. Nigdy tak o tym nie myślałam. Wszyscy tutaj mówią, że bym go zostawiła.

- Nie mówię ci, co masz zrobić. Pokazuję ci tylko drugą stronę medalu.

- Zawsze byłaś taka mądra - powiedziała Joan. - Boże, przyglądam się tej rodzinie i zastanawiam, co się z nami porobiło. Mama i tato są razem od zawsze, ale spójrz... Bill przyszedł ze swoją trzecią żoną, Mały Matt z tą dziwną starszą kobietą - ona śmierdzi, czułaś? Jim, który wygląda, jakby miał się nigdy nie ożenić, ma dwoje dzieci z dwiema różnymi kobietami, a dziś pojawił się z narzeczoną, której nigdy nie widzieliśmy. Chris ze swoją żoną - Tajką, której imienia nie potrafię wymówić, i CJ, która nie może się zdecydować, czy woli facetów, czy babki, choć dziś na szczęście przyprowadziła z sobą mężczyznę. Przynajmniej wydaje mi się, że to mężczyzna - dodała jeszcze Joan, a potem umilkła, kiedy bardzo zniechęcały facet CJ pojawił się w drzwiach kuchni, niosąc ostatnie talerze. Kiwnął głową, uśmiechnął się i wyszedł bez słowa. - Zostajemy ja i ty - ciągnęła Joan. - A ja jestem żoną faceta, który mnie okłamuje.

- Ponieważ cię kocha i nie chciał cię zdenerwować.

- No i ty. Cóż, dzięki Bogu, przynajmniej ty nie dałaś plamy. Facet, który cię dostanie, będzie szczęściarzem.

- Pewnie. Jestem prawdziwym skarbem - powiedziała pod nosem Stephanie.

Joan spojrzała na starszą siostrę spomiędzy naczyń.

- Myślisz, że powinnam dać mu jeszcze jedną szansę?

- Tak - odparła Stephanie bez wahania. - Myślę, że facet, który kłamie, bo kocha i chce cię ochronić, nie jest taki zły.

A co z facetem, który ma romans i okłamuje żonę: czy robi to dlatego, żeby ją chronić, bo wciąż ją kocha? Stephanie odgoniła tę myśl, nie znajdując - lub nie chcąc znaleźć - logicznej odpowiedzi na to pytanie.

Joan pochyliła się i przelotnie pocałowała Stephanie w policzek.

- Cieszę się, że przyjechałaś. Gdyby cię nie było, na pewno bym go zostawiła. Ale dam mu kolejną szansę.

- Tylko powiedz jasno: żadnych więcej kłamstw.

Stephanie przestraszyła się, kiedy na jej ramiona opadł ciężki wełniany koc. Siedziała na schodkach z tyłu domu, patrząc beznamiętnie na pokryte śniegiem pola. Podniosła wzrok i zobaczyła, że obok stoi ojciec. Napychał tytoniem swoją starą fajkę. Drobinki brązowych liści spadały na biały śnieg; wyglądały jak małe znaki zapytania.

Kiedy byłaś dzieckiem, to było twoje ulubione miejsce - odezwał się Matt Burroughs. - Zawsze, kiedy miałaś kłopoty, wiedziałem, że cię tu znajdę.

- Pochylił się powoli i usiadł obok córki. Podniósł koc z jej ramion i przykrył swoje. Siedzieli tak w milczeniu, podczas gdy Matt wsadzał tytoń do fajki, ale oboje wiedzieli, że i tak nie zapali w obecności Stephanie. - Masz kłopoty? - zapytał delikatnie.

Stephanie rozejrzała się dokoła. Zobaczyła drzewo, z którego kiedyś zwisała stara opona, rozwaloną szopę, w której bawili się, kiedy była kiepska pogoda, a na końcu wąskiej ścieżki między drzewami - staw, gdzie uczyła się pływać. Miejsce niewinności, w którym zawsze była szczęśliwa. Z tą myślą przyszła kolejna - że w tej chwili nie czuje się szczęśliwa. Stephanie zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze kiedyś będzie inaczej.

- Mam nadzieję, że się mną nie rozczarujesz, tato - wyszeptła, czerwieniąc się jak nastolatka. - Ale chyba jestem w ciąży.

Matt włożył niezapaloną fajkę do ust i pokiwał głową.

- Mama ci powiedziała?

- Twoja matka ma wiele wspaniałych przymiotów, ale małomówność nie jest jedną z nich - odparł. - I nie waż się jej mówić, że to powiedziałem. - Spojrzał z boku na córkę. - Masz trzydzieści pięć lat, ale dla mnie zawsze będziesz siedmioletnią dziewczynką, biegającą po ogrodzie, ścigającą skunksa tylko po to, żeby zaśmierdział, bo byłaś jedyną osobą na świecie, która uwielbiała jego zapach. Będiesz wciąż dziesięciolatką, która przychodzi do mnie z rannym ptaszkiem w stulonych dłoniach. Zawsze będę cię pamiętał w sukience z pierwszej komunii, w sukience z balu maturalnego i todze z zakończenia college'^ Nigdy nie poczuję się rozczarowany z twojego powodu. Jestem z ciebie dumny, Stephanie. Zawsze byłem.

Stephanie oparła głowę na ramieniu ojca i milczała, nie mogąc zmusić się do mówienia.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Stephanie odetchnęła głęboko lodowatym grudniowym powietrzem i odparła:

- Nie jestem pewna, czy jestem w ciąży, ale to bardzo prawdopodobne. Ojciec dziecka nazywa się Robert Wal-

ker. Jest pięć lat starszy ode mnie, prowadzi matą firmę producencką w Irlandii. 1 jest żonaty. Ma dwójkę dzieci -dodała.

- Ciągłe żonaty? - cicho zapytał Matt.

- Ciągłe.

- Aha.

Wiem, że to wbrew wszystkiemu, czego nas uczyliście i w co wierzycie, tato. Ale ja go kocham. Zakochałam się, bo powiedział mi - i chyba wtedy sam w to wierzył - że żona już się nim nie interesuje.

- Jednak nie odszedł od niej?

- Nie. Nie odszedł - westchnęła. - Ale tydzień temu zmądrzałam. Kazałam mu wybierać.

Wzruszyła ramionami.

- Wybrał mnie. Powiedział, że po świętach odejdzie od żony i będziemy razem. To było najszcześniejszych czterdzieści osiem godzin w moim życiu.

Pozwól, że zgadnę - odezwał się Matt, nie patrząc na córkę i wpatrując się w pokryte śniegiem pole, powoli znikające w mroku. - Pojawiła się żona?

Tak - Stephanie odwróciła się, by spojrzeć na ojca. - Skąd wiedziałeś?

- Musiało się zdarzyć coś naprawdę dramatycznego, jeśli tak nagle wyjechałaś z Irlandii w Wigilię. Nie wyobrażam sobie niczego gorszego.

- Masz rację, oczywiście. Pojawiła się wczoraj. A chwilę później przyszedł Robert.

Usta Matla Burroughsa wygięły się w delikatny uśmiech.

Musiało być dziwacznie.

I to jak. Ale między przybyciem Kathy - jego żony -a przyjazdem Roberta, dowiedziałam się czegoś ciekawego. Okazało się, że ona wciąż go kocha. A rozmowa z nią

pozwoili mi zrozumieć, jak naprawdę będzie wygladała moja przyszłość z Robertem. Więc kazałam mu wrócić do żony.

Jak on na to zareagował? Stephanie zamruęala, zdziwiona.

- Nie wiem. Nie pytałam go. Pewnie myślałam, że skoro oboje wiedzą, że mają problem, mogą razem go rozwiązać iść do poradni małżeńskiej, czy coś takiego.

- A teraz?

- A teraz nic wiem, co robić. Jeśli jestem w ciąży, będę musiała pozostać w kontakcie z Robertem.

- Dlaczego? - poważnie spytał Matt.

- Bo... - zaczęła Stephanie, ale nagle zamilkła. Nie znała odpowiedzi na pytanie ojca. - Wydaje mi się, że tak trzeba. Dla mnie samej, dla niego... i dla dziecka.

Matt pokiwał głową. Potem zadał pytanie, którym Stephanie zadreęzała się od kilku miesięcy:

- Czy Robert cię kocha?

- Tak myślę - powiedziała po chwili.

Matt wstał i znów owinął kocem ramiona córki. Potem pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Niektóre problemy są jak działania matematyczne. Nie powinno być w nich żadnych dwuznaczności, tylko jedna odpowiedź - twierdząca lub przecząca. Zapytam więc raz jeszcze: czy on cię kocha?

Zmrok sprawił, że na śniegu pojawiły się długie cienie, zmieniając biel w szarości. Znajomy wyęład podwórka zniknął w ciemności. W zimnym powietrzu Stephanie usłyszała wysoki dziecięcy głos, roześmiany, czysty i niewinny. Dla dzieci wszystko jest takie proste, takie łatwe. Dziecko wierzy w to, o czym opowiadają mu inni: w Świętego Mikołaja, Wielkanocnego Króliczka i Dobrą Wrózkę. Wszystko to kłamstwa. Oszukiwanie dziecię-

cych marzeń. A w świecie dorosłych? Kiedy mężczyzna stoi przy ołtarzu i w obecności świadków obiecuje, że będzie kochał i szanował kobietę u swego boku do końca swoich dni, wszyscy wiedzą, że prawdopodobnie kłamie.

Tak więc w ostatnią sobotę, kiedy Robert stał na ulicy i powiedział: Kocham cię. Chcę z tobą być. Ożenić się z tobą. Wyjdiesz za mnie? - czy kłamał? Chyba nie.

Skinęła głową.

- Tak. Wierzę, że mnie kocha.

- Więc zadam ci to samo pytanie w inny sposób - ciągnął ojciec. - Czy ty kochasz jego?

Jeszcze wczoraj odpowiedziałyby przecząco. Wczoraj nienawidziła Roberta, pogardzała nim. Ale to było wczoraj. Przedwczoraj odpowiedź byłaby inna. A dziś - cóż, nie była zupełnie pewna, co dziś czuje do niego.

- Pozwoliłam mu odejść także dlatego, że go kocham - przyznała powoli i z rozmysłem. - Byłam na niego zła, że tak chętnie wrócił do żony.

- Powiedziałaś, że sama go do tego popchnęłaś.

- Tato, on o mnie nie walczył.

- A ty o niego walczyłaś? - spytał Matt, zaskakując córkę.

- Nie - odparła Stephanie, patrząc na ojca. - Myślałam, że będziesz na mnie zły. Zły, bo byłam głupia, że zaszłam w ciążę i wdałam się w romans z żonatym mężczyzną.

- Nie jestem zadowolony, Stephanie, nie będę cię okłamywał. A kto wie, jak bym się czuł dziesięć albo choćby pięć lat temu. Jednak w miarę jak człowiek robi się starszy, zaczyna rozumieć niektóre oczywiste prawdy: miłość jest jedyną rzeczą, o którą warto walczyć. - Odwrócił się i odszedł w stronę domu, dodając: Nie siedź tutaj za długo, przeziębisz się...

Rozdział 11

Czwartek, 26 grudnia

Na czterech sklepowych półkach leżały wyłącznie testy ciążowe, wszystkie w dyskretnych opakowaniach, prawie wszystkie ze słowem „niezawodny” na pudełku, obiecywały natychmiastowy wynik. Dużym drukiem napisano na nich „99% skuteczność”, a małym - że wynik może różnić się w zależności od osoby badanej i zawsze należy skonsultować się z lekarzem.

Stephanie chodziła w tę i z powrotem wzdłuż półek. Zanim w końcu wzięła pierwsze z brzegu pudełko z testem, zdążyła już wybrać pastę do zębów i szampon, które nie były jej zupełnie potrzebne. Podeszła do lady. Mały sklep wielobranżowy był prawie pusty, a ona sama opatulila się w gruby płaszcz pożyczony od CJ, który prawie całkiem zakrywał twarz. Ale i tak czuła się jak nastolatka kupująca prezerwatywy przed balem maturalnym. Gdzieś podświadomie Stephanie wiedziała, że jej zażenowanie jest nawet zabawne: gdzie się podziała stanowcza bizneswoman z jajami, prowadząca kampanie reklamowe warte miliony dolarów?

Latynoska za ladą przesunęła pastę do zębów i szampon pod skanerem, nawet nie patrząc na Stephanie, ale kiedy wzięła do ręki pudełko z testem, zatrzymała się na chwilę. Stephanie zauważyła, że na każdym paznokciu sprzedawczyni przyklejony był świecący wzorek. Po chwili usłyszała:
- Och, ten jest bardzo dobry. Sama go wypróbowałam. Stephanie poczuła, że się rumieni.

- Wiarygodny? - spytała. Język stanął jej kołkiem.

- Robiłam go tydzień po tym, jak powinnam dostać okres i okazało się, że jestem w ciąży.

- Ach. To dobrze. Gratuluje - Stephanie wydało się, że dziewczyna ma nie więcej niż siedemnaście lat, może nawet mniej, choć trudno to było stwierdzić.

- Dzięki. Mam chłopca. Nazwałam go Chavez, po tatusiu.

Dziewczyna zapakowała zakupy do torby, przyjęła gotówkę i wydała resztę jednym, wypracowanym ruchem.

- Miłego dnia - dodała, uśmiechając się szeroko.

- Wzajemnie - odpowiedziała Stephanie, odchodząc od lady.

Zastanawiała się, czy sprzedawczyni nie była przypadkiem złośliwa. Test ciążowy na „dzień dobry” raczej nie był wymarzoną początkiem miłego dnia.

Kiedy tylko wsiadła do samochodu, otworzyła pudełko i wyjęła instrukcję. Była w miarę jasna, więc Stephanie spojrzała na sklep, zastanawiając się, czy jest tam toaleta. Szybko potrząsnęła głową na absurdalną myśl, że mogłaby dowiedzieć się o swojej ciąży w sklepowej toalecie. Nie takie wspomnienie chciała zachować. Przekreśliła kluczyk w stacyjce i powoli wyprowadziła buicką ojca na drogę. Przestało już padać i drogi były posypane, jednak nie czuła się pewnie, jadąc po prawej stronie drogi, więc dotarła do domu, nie przekraczając ani razu trzydziestki. Co prawda miała do przebycia tylko dwie mile, ale i tak podróż wydawała się trwać w nieskończoność.

Opcja pierwsza: jeśli jest w ciąży, musi wrócić do Irlandii, spotkać się z Robertem i porozmawiać o przyszłości. Ale mimo że się starała, Stephanie nie potrafiła sobie wyobrazić, co zrobi potem.

Opcja druga: jeśli nie jest w ciąży, zostanie tu do Nowego Jorku, nacieszy się rodziną i wróci do Irlandii, żeby

zacząć od nowa. Skupi się na pracy i odzyskaniu zaufania swojego szefa, Charlesa Flintoffa. Ł upewni się, że Robert Walker zniknął z jej życia. Stephanie Burroughs siedziała na krawędzi wanny, trzymając delikatnie w dłoniach wąski kawałek plastiku. Czekwała, czy zmieni kolor. Bardzo mocno odczuwała wagę tej chwili. Gdzieś przeczytała, że w życiu jest tylko kilka chwil, które zapamiętuje się na zawsze - nie więcej niż pięć lub sześć. Zastanawiała się, czy zaliczyć do nich tę obecną... a może to dzień, kiedy kochała się z Robertem, był wyjątkowy, bo sprawił, że znalazła się w obecnej sytuacji?

W domu panowała cisza. Chyba wszyscy wyszli na spacer. Słyszała, jak na górze skrzypi podłoga, jak napełnia się zbiornik z wodą, jak śnieg spada z dachu i uderza o ziemię. Łazienka była ciepła, pachniała miętowym szamponem, a pod udami Stephanie czuła zimną i twardą krawędź wanny.

Jeśli jest w ciąży, pójdzie na dół, siądzie do komputera ojca i zarezerwuje lot - nieważne, ile to będzie kosztować i jak długa będzie trasa - wróci do Irlandii.

Jeśli nie jest w ciąży, pożyczyc najgrubszy płaszcz, jaki znajdzie, założy kozaki i pobiegnie przez śnieg. Potem położy się na plecach i będzie machała rękami i nogami, żeby zrobić orzełka na śniegu.

Kreska zmieniła kolor.

Stephanie długo się w nią wpatrywała, aż w końcu nagle wypuściła powietrze. Nie zdawała sobie sprawy, że tak długo wstrzymywała oddech. Ogarnęło ją tylko jedno, przytłaczające uczucie: ulgi.

Przynajmniej już wie.

Potem poszła na dół, zalogowała się do komputera ojca i zarezerwowała lot do Dublinu.

Rozdział 12

OD: stephanieburroughs@onlinemail.com DO:

robert.walker@RandKProductions.com TEMAT: Wracam do Irlandii.

Robercie,

Właśnie zarezerwowałam lot do domu. Nie ma bezpośredniego do Dublina, więc przylatuję do Europy Air France. Wyjeżdżam 27, w piątek (jutro), w Paryżu będę w sobotę rano, potem mam lot Aer Lingus do Dublina, na miejscu około 1:30.

Mówiłeś, że zdołasz mnie odebrać. To nadal aktualne'/'

Jeśli nie możesz się ze mną spotkać w sobotę, znajdź czas w niedzielę. To ważne.

Odpowiedź wyślij na ten adres. Mogę sprawdzić pocztę na lotnisku.

Stephanie

Rozdział 13

Piątek, 27 grudnia

Toni i Matt odwozili córkę na lotnisko.

Pogoda nagle poprawiła się, zrobiło się bardzo ciepło jak na tę porę roku i śnieżnobiały śnieg natychmiast stopniał, a świat dokoła zrobił się szary i brudny. Bajkowy dom rodziców nagle znów wygląda! na zaniedbany i zwy-

czajny, a cudowny ogród okazał się jedynie niewielkim kwadratem zmarniałej, pożółkłej trawy. Pnie ściętych drzew, które wydawały się tak tajemnicze pod zwałami śniegu, teraz jawiły się wyłącznie jako brzydkie kikuty. Stephanie siedziała na tylnym siedzeniu samochodu i patrzyła na mijane błotniste pola i wysepki białego śniegu, otoczone kawałkami zieleni i brązową ziemią. Cieszyła się, że stąd wyjeżdża. To, co teraz widziała - szare, smutne, pokryte pośniegowym błotem, lodem i brudnym śniegiem miejsce - pozwoliło jej zrozumieć, dlaczego się wyprowadziła. Było brzydko i ponuro. Przygnębiająco.

Zobaczyła, że matka odwraca głowę do tyłu i, zanim jeszcze doszło do niej choćby słowo, Stephanie domyśliła się, co usłyszy:

- Jesteś pewna, że chcesz wracać, Stephanie?

- Tak, mamó.

- Dopiero przyjechałaś.

- Mówiłam, że to ekspresowa wizyta. Lecz i tak udało nam się spędzić wspólnie Boże Narodzenie.

- Zostaw ją. Toni - odezwał się Matt.

Stephanie napotkała spojrzenie ojca we wstecznym lusterku. Uważnie przyglądał się córce: tylko on wiedział, dlaczego tak naprawdę wracała do Irlandii.

Matka odwróciła się, by rzucić okiem na kończący się polny krajobraz; przy drodze zaczynały już wyrastać domy. Pozornie niedostrzegalnie, a w rzeczywistości bardzo ostentacyjnie, otarła łzy z policzków.

- Jak się czujesz? - spytała, podkreślając ostatnie słowo.

- Dobrze, mamó - Stephanie długo zastanawiała się, czy powiedzieć matce prawdę o teście, ale w końcu zdecydowała, że przez jakiś czas zachowa to w tajemnicy. Bez

wątpienia Toni i tak zdążyła już powiedzieć całej rodzinie, że córka prawdopodobnie jest w ciąży. Stephanie wiedziała, że jej nagłe pojawienie się w domu na święta było głównym tematem rodzinnych rozmów. Musiała się stąd wyrwać, porozmawiać z Robertem, coś zdecydować. Dopiero kiedy będzie znała fakty, powie o wszystkim matce.

- Szkoda, że nie zostaniesz jeszcze parę dni - narzekała Toni. - Myślałam, że spędzimy razem Nowy Rok.

- Kupiłam już bilety, mam - delikatnie odparła Stephanie, nie chcąc wdawać się w kłótnie.

- Nie możesz ich przebukować?

- Ona jedzie do domu, Toni - cicho wtrącił się Matt. - Jej dom jest tutaj.

- Ma trzydzieści pięć lat, mieszka sama dłużej, niż przedtem mieszkała z nami. W tej chwili to Irlandia jest jej domem. Ale wie, że zawsze może tutaj wrócić. Zawsze.

Stephanie znów spojrzała w oczy ojca we wstecznym lusterku i pokiwała głową. Matt mówił do żony, ale tak naprawdę zwracał się do córki.

- Może wy przyjedziecie do mnie w lecie? - zasugerowała Stephanie.

- A niby za co? - natychmiast odpowiedziała Toni.

- Zapłacę za bilety.

- Jeśli przyjedziemy, sami sobie kupimy bilety - twardo powiedział Matt.

- Można znaleźć dobre oferty na przeloty do Irlandii.

Znów spojrzał w lusterko.

- Powinnaś oszczędzać te swoje dolary... to znaczy, euro - dodał. - Kto wic, co przyniesie przyszłość?

Stephanie oparła głowę na dłoni i patrzyła na zbliżające się miasto.

Dobrze wiedziała, co przyniesie przyszłość.

Mimo że prosiła rodziców, by tylko wysadzili ją na JFK, oni uparli się, żeby zaparkować i odprowadzić córkę. Kontrole były dokładne, a kolejka do odprawy Air France ciągnęła się przez cały terminal. Na szczęście Stephanie zaszalała i kupiła bilet na pierwszą klasę, więc teraz z przyjemnym poczuciem winy ominęła kolejkę i podeszła prosto do stanowiska odpraw. Miała tylko podręczny bagaż, więc po kilku minutach była wolna.

- Mamy kilka godzin - odezwała się Toni, patrząc na zegarek. - Może napijemy się kawy.

- Chyba będzie lepiej, jak przejdę od razu - Stephanie skinęła głową w stronę bramek odprawy celnej. - Tam zawsze jest ogromna kolejka.

Tak, lepiej idź - poparł ją ojciec. Odwrócił się i podał żonie kluczyki do auta. - Wróc do samochodu, a ja odprowadzę Stephanie.

Toni szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

- Zawsze histeryzujesz przed samym odlotem, więc lepiej pożegnajcie się teraz i poczekaj na mnie w aucie. Nie chcesz teraz denerwować Stephanie, prawda?

Toni Burroughs obdarzyła męża spojrzeniem, które oznaczało, że wkrótce zażąda wyjaśnień, ale posłusznie podeszła, by uściskać córkę.

- Uważaj na siebie i szczęśliwej podróży - powiedziała. Łzy pojawiły się w kącikach oczu, powiększając je. - Ł dzwoń często, nawet na nasz koszt. Tylko dzwoń.

Zadzwoń, mamó. Obiecuję - wyszeptała Stephanie i pocałowała matkę w policzek. Przytulając ją, zauważyła, jak bardzo jest krucha i przez chwilę poczuła irracjonalną obawę, że może widzą się ostatni raz.

Również w jej oczach błyszczały łzy. - Zadzwoń, jak tylko dotrę do domu.

Trzymając ojca za rękę, patrzyła, jak Toni przeciska się przez zatłoczony terminal i szybko znika w tłumie. Potem Matt odwrócił się do córki.

- Cieszę się, że wracasz - powiedział, zaskakując Stephanie.

- Chyba dobrze robię - skinęła głową.

- Nie spiesz się. Nie warto podejmować pochopnych decyzji.

- Tak - westchnęła głęboko i rozejrzała się po lotnisku. - Ale wiesz co?

Chcę - muszę ułożyć sobie wszystko przed następną środą.

- Przed Nowym Rokiem?

- Chcę zacząć nowy rok z poczuciem, że zmierzam w jakimś kierunku.

Przez ostatnich kilka lat życie przeciekało mi przez palce. A od kiedy jestem z Robertem, pozwalalam, żeby rzeczy toczyły się własnym torem. Uśmiechnęła się ponuro i dodała: - Nigdy nie przypuszczałam, że odbędę taką rozmowę ze swoim ojcem.

- Zawsze podziwiałem cię za odwagę, Stephanie. W twoim wieku byłem taki sam. Odważyłaś się wyjechać

- najpierw z domu, potem ze Stanów. Nigdy nie pozwalałaś, żeby coś ci przeszkodziło.

Matt przytulił córkę i pocałował ją w czoło.

- Od ponad trzydziestu lat uczę w college'u - ciągnął.

- Przez cały ten czas byłem już dla moich studentów i studentek nauczycielem, mentorem, spowiednikiem i doradcą. Nic mnie nic dziwi, a jeszcze mniej szokuje. Pewnie moi studenci myśleli, że im pomagam, ale w gruncie rzeczy to oni pomagali mi lepiej zrozumieć samego siebie.

Nauczyłem się, że trzeba zmierzyć się z problemami -działanie przynosi lepszy efekt niż ignorowanie ich i nic-nierobienie.

Stephanie skinęła głową:

- Nie robiłam nic od półtora roku.
 - Idź naprzód. Działaj. Jeśli jesteś w ciąży, będziesz iść naprzód razem z dzieckiem. Zaakceptuj ten fakt i planuj wszystko podług niego.
- Znów uściskał córkę i dodał:
- A teraz lepiej idź, zanim twoja matka wróci, by sprawdzić, co mnie zatrzymało. I, Stephanie, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.
 - Oczywiście.
 - Chcę, żebyś była egoistką. Żebyś myślała o tym, co dla ciebie najlepsze. I dla dziecka.
- Pokiwała głową.
- Przez ostatnie półtora roku nic się nie działo, bo myślałaś o tym mężczyźnie, świadoma sytuacji, w jakiej się znajduje. Teraz on musi uwzględnić sytuację i świat, w którym żyjesz ty.
- Znów twierdząco skinęła głową. Wiedziała, że płacze, ale nie miała zamiaru ścierać z twarzy łez.
- Kocham cię - powiedział Matt Burroughs. Pocałował córkę w policzek, odwrócił się i odszedł.
 - A teraz idź i bądź egoistką! - zawołał jeszcze.

Rozdział 14

Sobota, 28 grudnia

Jak się wita byłego kochanka?

Szczególnie wtedy, kiedy ma się zamiar oznajmić mu coś, co zmieni jego życie?

Stephanie Burroughs wyszła z samolotu, ciągnąc za sobą małą walizkę.
W czasie krótkiego postoju w Paryżu

kupiła parę kosmetyków, potem wzięła prysznic i przebrała się w saloniku pierwszej klasy na lotnisku de Gaul-le'a. Zdjęła czarny golf, włożyła kremową jedwabną bluzkę, platynowe kolczyki i prosty naszyjnik. Jak zwykle nie miała żadnych pierścionków. Zaraz po wejściu samolotu Aer Lingus w irlandzką strefę powietrzną, wzięła swoją kosmetyczkę i spędziła kwadrans w małej toalecie, robiąc staranny makijaż: zakryła cienie pod oczami korektorem, pomalowała usta szminką zwiększającą ich objętość i wmasowała odżywczy krem w drobne zmarszczki, które pojawiły się w kącikach oczu i między brwiami. W końcu wpuściła krople do oczu, by je rozjaśnić i odświeżyć, ale mimo to czerwone popękane naczynka nie zniknęły, nic nie można było na to poradzić. Kiedy skończyła, zrobiła krok do tyłu i spojrzała na siebie w lusterku: nieźle, całkiem nieźle.

Właśnie tak powita swojego byłego kochanka.

Stephanie powoli przeszła przez bramkę w terminalu przylotów na dublińskim lotnisku i przebiegła wzrokiem tłum oczekujących. Ani w Nowym Jorku, ani w Paryżu nie miała czasu, żeby sprawdzić pocztę, więc nie była pewna, czy Robert odpowiedział.

Nie było go.

Stephanie ruszyła naprzód, oddalając się od ludzkiej masy wylewającej się z hali odlotów. Zatrzymała się przy rzędzie siedzeń, wyjęła komórkę i włączyła ją, nie przestając szukać w tłumie Roberta.

Telefon zadzwonił, sygnalizując gotowość do pracy, więc wcisnęła 171, by odsłuchać pocztę głosową. ***Masz osiem nowych wiadomości.***

Stephanie szybko je odsłuchiwała. Siedem nagrał Robert jeszcze w Wigilię i poranek Bożego Narodzenia, każda by-

ła bardziej histeryczna od poprzedniej, a wszystkie brzmiały podobnie: pytał, gdzie jest, czy wszystko w porządku i prosił, żeby się z nim skontaktowała. Stephanie wykasowała je po kolei. Ostatnia wiadomość była od Sally.

Nie wiem, kiedy wracasz, ale chciałam ci nagrać wiadomość powitalną. Mam nadzieje, że dobrze się bawiłaś. Kocham cię.

Stephanie uśmiechnęła się, jej przyjaciółka zawsze potrafiła się zachować. Dziwne, że dzisiaj Robert nic zostawił żadnej wiadomości. Prawdopodobnie nie odebrał e-maila. Ale to było mało prawdopodobne. Stephanie już miała wcisnąć klawisz szybkiego wybierania, kiedy dostrzegła internetową budkę Vodafone naprzeciw wyjścia. Do lady podłączonych było kilka komputerów, do których bez przerwy podchodzili ludzie, najwyraźniej po to, by sprawdzić pocztę elektroniczną. Odczekała chwilę, aż wyraźnie wymęczony podróżą student-Azjata sprawdzi swoje maile na egzotycznym serwerze, a potem szybko zajęła jego miejsce. Załogowanie się zajęło kilka chwil. Może wiadomość nie dotarła do Roberta i wróciła na jej konto.

Nie było zwrotu. Ani odpowiedzi od Roberta.

Stephanie upewniła się, że wylogowała się z serwera. Nie lubiła korzystać z publicznych komputerów - zdawała sobie sprawę, że ktoś może odszyfrować jej hasło albo że jakiś zainstalowany program wyśledzi każde naciśnięcie klawisza. Dlatego nie trzymała ważnych informacji na prywatnym koncie i nigdy nie załatwiała za jego pośrednictwem interesów.

Ciągnąc za sobą walizkę, skierowała się w stronę postojów taksówek. Być może przestraszył się, kiedy zadzwoniła do niego w środę. Ale przecież z takim właśnie zamiarem telefonowała. Może nie chciał już mieć z nią nic wspólnego. Za-

bawne, myślała, że stać go na więcej, ale myliła się już tyle razy, teraz też nie powinno ją nic dziwić.

Stephanie wyszła prosto na zimne, wczesnopołu-dniowe powietrze. Grudniowe niebo było bezchmurne, pomalowane w blade odcienie błękitu, a niemrawe słońce nie dawało żadnego ciepła. Na postoju nie było taksówki, ale kiedy szykowała się na długie czekanie, podjechał samochód. Otworzyła tylne drzwi i położyła walizkę na siedzeniu, po czym wślizgnęła się do środka.

- W sam czas - uśmiechnęła się.

- Miała pani szczęście, złotko - według radia w mieście nie ma wolnej taksówki.

Podawała mu adres i usadowiła się wygodniej.

Ktoś mnie wystawił - odparła. Zresztą nie pierwszy raz.

Mimo że nie było jej w Dublinie tylko kilka dni, miasto wydawało się inne. Świeższe, jaśniejsze, czystsze. Jeśli się tu mieszkało, łatwo można było zapomnieć, jak dobrze powodziło się tutaj mieszkającym.

Niedawno Stephanie czytała artykuł o tym, że Irlandia jest aktualnie najlepszym krajem do życia w Europie, a stolica - jednym z najciekawszych miast. Drogi były zapchane samochodami, ale taksówka szybko posuwała się naprzód pasem dla autobusów.

Pojechała pani na kilka dni do rodziny? - zapytał kierowca. Był potężnym mężczyzną, z policzkami pokrytymi siecią popekanych żył, ale dłonie trzymające kierownicę były malutkie.

- Skąd pan wiedział?

- Jedna walizka - znaczy się, nie robiła pani zakupów. Słyszę delikatny amerykański akcent. Ale adres podaje pani jak tutejsza, więc rozumiem, że tu pani mieszka.

- Wszystko się zgadza - przyznała.

- Dobrze się pani bawia?

- Tak - potwierdziła, zdziwiona, że może mówić szczerze. - Dobrze było znów zobaczyć staruszków, no i braci i siostry.

- Ja widziałem moich w Boże Narodzenie. Raz na rok wystarczy. Nie mamy już z sobą nic wspólnego. Kiedy człowiek się starzeje, tworzy swoją własną rodzinę, niekoniecznie biologiczną.

- To prawda.

Jeśli naprawdę jest w ciąży - a musi to potwierdzić - do kogo mogłaby pójść po radę? Zdziwiła się, a nawet rozczarowała, kiedy zdała sobie sprawę, jak niewielu przyjaciół ma w Irlandii. Oczywiście Sally Wilson, ale poza nią... Miała koleżanki, oczywiście, ale nie przyjaciółki. A jeśli Robert odwróci się od niej, będzie mogła polegać wyłącznie na sobie.

- Przepraszam - powiedziała i wyjęła telefon. - Muszę zadzwonić.

- Nie ma sprawy, złociutka.

Wcisnęła szybkie wybieranie komórki Roberta. Telefon dzwonił i dzwonił, ale w końcu włączyła się sekretarka.

- Robert Walker, R&K Productions. Proszę zostawić wiadomość, podać godzinę i numer, a oddzwonię. Miłego dnia.

- To ja. Jestem w Dublinie. Może nie dostałeś mojego e-maila, a może dostałeś. Zadzwon.

Stephanie rozłączyła się, a potem, pod wpływem impulsu, weszła do ustawień swojej małej komórki i wyłączyła opcję „Wysyłaj swój numer”. Potem jeszcze raz zadzwoniła.

Robert odebrał po czterech sygnałach. Miał przytłumiony, cichy głos.

- Słucham?

- Dlaczego nie odebrałaś przed chwilą? - warknęła.
- Przepraszam - wyszeptał. - Miałem komórkę w wewnętrznej kieszeni marynarki i żeby ją wyjąć, musiałem zdjąć rękawiczkę i rozpiąć płaszcz. Zanim zdążyłem to zrobić, rozłączyłaś się. Wkładałem go z powrotem do kieszeni, kiedy zadzwoniłaś ponownie. Przepraszam.
- Stephanie nie wiedziała, czy wierzyć mu, czy nie. Wymówka była przekonująca, ale Robert był świetnym kłamcą: wystarczy spojrzeć, jak długo zwodził swoją żonę.
- Dostałaś mój e-mail, w którym pisałam, że wracam?
- Nie, nie. Nie miałem dostępu do komputera.
- Jakoś ci nie wierzę - burknęła.
- Naprawdę - westchnął. - To jakieś wariactwo. Nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię później.
- Mam nadzieję! - Stephanie zastanawiała się, gdzie mógł teraz być. Szeptał, mówił niewyraźnie, w tle słyszała jakieś hałasy, więc dokoła musieli być ludzie.
- Pogadamy później. Muszę kończyć. Jestem na wyprowadzeniu Jimmy'ego Mo rana.
- Stephanie zmarszczyła czoło,
- Co? Nie słyszę cię. Co mówiłaś?
- Powiedziałem, że jestem na wyprowadzeniu zwłok Jimmy'ego Morana. Zmarł w Boże Narodzenie.

Rozdział 15

Nie było jej tylko cztery dni, ale dom śmierdział stę-chlizną i pustką. Stephanie zdziwiła się, że w środku jest tak ciepło - najwyraźniej zapomniała wyłączyć ogrzewanie. Zostawiła walizkę w holu, weszła do kuchni i napeł-

niła czajnik. Otworzyła lodówkę i zajrzała do środka: jak zwykle była prawie pusta, poza półlitrowym kartonem odtłuszczonego mleka, prawie pustym opakowaniem soku pomarańczowego i butelką szampana, którego zamierzała wypić z Robertem, gdy nadarzy się okazja do świętowania. Stał tu od pół roku. Stephanie wyjęła mleko i ostrożnie powąchała: pachniało normalnie.

Wróciła do holu, z rozmysłem nie zaglądając do salonu. Wiedziała, co tam znajdzie. Włączyła automatyczną sekretarkę stojącą na małym stoliku. Na cyfrowym wyświetlaczu widniała wyraźna cyfra 4. Ciekawe, ile z tych wiadomości jest od Roberta, pomyślała, wciskając „Play”.

- Masz cztery nowe wiadomości. Nowa wiadomość. Otrzymano we wtorek, 24 grudnia.

Stephanie... Stephanie, jesteś tam? To ja. Chciałbym z tobą porozmawiać. Muszę z tobą porozmawiać... Proszę, oddzwoń. Jestem w samochodzie.

Stephanie zauważyła, że prawie taką samą wiadomość zostawił jej na komórce.

- Nowa wiadomość. Otrzymano we wtorek, 24 grudnia. Stephanie? To ja. Ja... muszę z tobą porozmawiać.

O dzisiejszym dniu. O nas. O przyszłości. Wiem, że jesteś zła, ale proszę, zadzwoń do mnie, daj znać, że wszystko w porządku.

- Nowa wiadomość. Otrzymano w środę, 25 grudnia.

Stephanie. Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, gdzie jesteś. Jest 3 w nocy. Właśnie wychodzę od ciebie z domu. Nie ma śladu po tobie. Zostawiam tę wiadomość w nadziei, że kiedy wrócisz, odsluchasz ją i oddzwonisz. Mam nadzieję, że jesteś z Saliy. Pamiętam, jak opowiadałaś, że dzisiaj mają się odbyć jej zaręczyny... nie, wczoraj wieczorem.

Mój Boże, właśnie zdałem sobie sprawę, że jest już Boże Narodzenie.

- Nowa wiadomość. Otrzymało dzisiaj, w środę, 28 grudnia.

Stef, tu mama. Chciałam się tylko upewnić, że dotarłaś bezpiecznie do domu i sprawdzić, jak się czujesz. Zadzwoń, jak przyjedziesz. Cudownie było cię zobaczyć, choćby tak krótko. A z dobrych wiadomości - mąż Joan, Eddie, przychodzi do nas w Sylwestra. Joan powiedziała mi, że dobrze jej poradziłaś. Jak widzisz, musisz częściej przyjeżdżać do domu. Ojciec przesyła uściski.

- Nie masz więcej nowych wiadomości.

Czajnik zagwizdał, wyrrywając Stephanie z zamyślenia, wróciła więc do kuchni, żeby zrobić herbatę. Cóż, w obronie Roberta przemawiało to, że wydawał się szczerze zmartwiony. Przejrzała pudełka z herbatą, szukając czegoś uspokajającego. W końcu wybrała bezkofeinową „Egipską lukrecję”. Nie bardzo lubiła jej smak, ale uwielbiała zapach. Ściskając w dłoniach filizankę, wdychała korzenny aromat. Wyszła z kuchni i powędrowała do salonu, który ciągle przypominał jej o okropnym spotkaniu z obojgiem Walkerów. Świąteczne prezenty, które przyniósł Robert, leżały nieotwarte na podłodze. Kwiaty zwiędły w ciepłe, wszędzie leżały ich płatki, a balon, z którego zeszło powietrze, zawisł pusty na krześle.

Stephanie usiadła w swoim ulubionym fotelu i siorba-ta herbatę. Patrzyła na pudełka i ani trochę nie była ciekawa ich zawartości. Odda je Robertowi przy pierwszej okazji.

Zastanawiała się, czy Kathy Walker, kiedy wchodziła do pokoju we wtorek, zauważyła srebrne i złote paczki ułożone za kanapą. To były prezenty od Stephanie dla

Roberta - teraz zastanawiała się, co z nimi zrobić. Na pewno on ich nie dostanie, może uda się je zwrócić.

Spojrzała na zegarek, zastanawiając się, o której skończy się ceremonia. Czy Robert przyjedzie prosto do niej, czy może wstąpi najpierw do domu, do żony? A skoro wyprowadzenie ciała odbywa się dzisiaj, to czy pogrzeb będzie jutro, czy w poniedziałek?

Czy powinna pójść?

Nie znosiła Jimmy'ego Morana, choć starała się z tym nie zdradzać w obecności Roberta, bo obaj mężczyźni, mimo różnicy wieku, byli bardzo dobrymi przyjaciółmi. Jimmy Moran zasłużył sobie na swoją reputację, mieszając wyjątkową arogancję z zupełnym brakiem talentu.

Ostatnia rozmowa, jaką Stephanie odbyła z Robertem na temat Jimmy'ego, miała miejsce tydzień przed świętami. Żona Jimmy'ego, Angela, w końcu zdecydowała się odejść, ponieważ odkryła, że mąż ma dziecko ze swoją długoletnią i dużo młodszą kochanką, Frances. Angela i tak znosiła wiele przez lata spędzone z Jimmym - ciągłe picie, niezbyt dyskretne romanse, problemy finansowe -ale to przeważało szalę. Miała zamiar rozwieść się i zażądać swojej części majątku. Robert był oburzony, postrzegał to jako chęć zemsty Angeli na mężu. Nie potrafił zrozumieć, że Stephanie popiera żonę Jimmy'ego. A ona była zdziwiona, nawet rozczarowana reakcją Roberta. Czyżby nie rozumiał, że Jimmy paskudnie potraktował swoją żonę i, mimo że miał obowiązki wobec kochanki i jej dziecka, był także moralnie i prawnie zobligowany do utrzymywania Angeli? Stephanie popijała słodką, aromatyczną herbatę i zastanawiała się, jak tamta rozmowa ma się do obecnej sytuacji. Nagle wpadło jej coś do głowy, więc odstawiła herbatę i poszła z powrotem do holu po telefon. Idąc po scho-

dach na górę, wykręciła z pamięci numer. Czekala tylko jeden sygnał, kiedy rozległ się szorstki, kulturalny i bardzo brytyjski głos:

- Flintoff.

- Dzień dobry, Charles. Tu Stephanie... Stephanie Burroughs.

- Stephanie, jak miło cię słyszeć!

Jeśli szef był zaskoczony, świetnie udało mu się to ukryć.

- Przepraszam, że dzwonię w sobotę... - zaczęła. Rzuciła walizkę na łóżko i otworzyła zamki. Nie chodziła nawet w połowie ubrań, które spakowała. Poza Bożym Narodzeniem, kiedy się wystroiła, ubierata się tylko w ciuchy, które kiedyś zostawiła w Stanach. Teraz podniosła nienoszona małą czarną i zobaczyła, że powinna ją uprasować, zanim znowu założy.

- Możesz do mnie dzwonić o każdej porze. Dlatego dałem ci mój domowy numer.

Charles Flintoff odkrył Stephanie, kiedy pracowała jako researcherka przy porannym programie telewizyjnym w Anglii i zaproponował jej pracę w swojej agencji. Zawsze traktował Stephanie jak swoją protegowaną, ale wiedziała, że zawiodła jego zaufanie, kiedy odkrył, że nic tylko ma romans z Robertem - zleceniobiorcą - ale jeszcze nagrodziła R&K trzema lukratywnymi kontraktami. Upłynie dużo czasu, zanim odbuduje utracone zaufanie.

- Dzięki. Właśnie wróciłam do kraju, byłam na święta u rodziców - wyjaśniła, dając mu jasno do zrozumienia, że nie spędziła Bożego Narodzenia z Robertem. - I właśnie dowiedziałam się, że Jimmy Moran zmarł w pierwszy dzień świąt. Nie byłam pewna, czy wiesz.

Przez chwilę milczał. Potem Charles Flintoff odchrząknął i odpowiedział:

- Nie, nie wiedziałem. Dzięki, że mi powiedziałaś. Jimmy Moran... Poznałem go, kiedy otwierałem agencję w Irlandii. Pracowaliśmy nawet wspólnie przy kilku kampaniach i oczywiście spotykaliśmy się na różnych imprezach biznesowych, ale nigdy bliżej go nie poznałem. Biedny Jimmy. Taki talent i kreatywna energia. Zmarnowane. Wiesz coś o pogrzebie?

- Wiem, że wyprowadzenie ciała odbyło się dzisiaj, ale nie mam pojęcia, kiedy będzie pogrzeb.

- Zapewne nie jutro.

Słyszała, jak przewraca strony; najpewniej przeglądał kalendarz.

- Poniedziałek lub wtorek - westchnął. - Powinienem tam pójść i reprezentować firmę. Pewnie będzie dużo ludzi. Mimo swoich wad, a może z ich powodu, Jimmy miał wielu przyjaciół. Pewnie przyjdą też jego wrogowie - upewnić się, że ich przeciwnik naprawdę wyciągnął kopyta.

Flintoff zamilkł i po chwili dodał:

- Jeśli nie masz innych planów, może zgodzisz się wraz ze mną reprezentować firmę?

- Tak... tak, pójdę. Dziękuję - zgodziła się, zdziwiona, ale też przyjemnie zaskoczona propozycją.

- Zadzwoń, jak będziesz znała szczegóły. A teraz, skoro właśnie przeleciałaś Atlantyk, lepiej odpocznij.

- Taki mam zamiar. Dziękuję.

Charles Flintoff rozłączył się, a Stephanie siedziała na krawędzi łóżka, zastanawiając się, co by powiedział, gdyby oznajmiła mu, że jest w ciąży. A to przypomniało jej...

Musiała pójść do lekarza. Czy któryś przyjmuje w weekendy? Pewnie nie. Może Klinika Zdrowia Kobiety jest otwarta? Stephanie właśnie zbierała się, żeby zejść na dół i poszukać numeru w książce telefonicznej, kiedy zo-

baczyła, jak promień popołudniowego słońca odbija się od szyby samochodu, który przejechał podwórko i zaparkował pod domem. Stephanie pobiegła na dół. Wpadła do salonu, zebrała zwiędnięte kwiaty, zgarnęła opadłe płatki, zaniosiła do kuchni i wrzuciła do śmieci. Potem uśmiechnęła się na myśl o symbolice tego gestu. Zastanawiała się, czy Robert skorzysta ze swojego klucza, czy...
Zadzwonił dzwonek.

Rozdział 16

- Witaj, Stephanie.

Pojawienie się Roberta Walkera zaszokowało ją. Wyglądał jak upiór, był trupio blady i spocony. Miał tłuste włosy i okropne worki pod przekrwionymi oczami. Ciemny garnitur był wymięty i pognieciony, na kołnierzyku jasnoniebieskiej koszuli widniała spora plama, a węzeł złotego jedwabnego krawata - który dostał od niej był szary od zawiązywania brudnymi palcami. Kiedy Robert mijął ją, poczuła zapach starego potu. To zaskoczyło ją najbardziej: Robert był poza wszystkim fanatycznym czyściochem.

Stephanie zamknęła za nim drzwi, odetchnęła głęboko, by uspokoić bijące serce i podążyła do salonu. Stał obok krzesła, patrząc na świąteczne prezenty, które przyniósł tutaj w zeszły wtorek.

- Dobrze znów cię widzieć - powiedział tonem bez śladu emocji.

Stephanie skinęła głową, nie wiedząc, jak zareagować. W końcu zdała się na niezawodne:

- Masz ochotę na herbatę?
- Herbata. Tak, byłoby miło, dziękuję.

Stephanie weszła do kuchni, a Robert starym zwyczajem stanął w drzwiach, opierając się o framugę, z założonymi rękami. Wyglądał, jakby miał trudności z utrzymaniem się prosto. Kiedy Stephanie napełniała czajnik wodą z dzbanka, poczuła, że jej się przygląda.

- Wróciłaś dziś rano? - odezwał się w końcu.
- Kilka godzin temu - odparła krótko.
- Przepraszam, że po ciebie nie wyszedłem. Nie miałem głowy, żeby sprawdzać pocztę.
- To najzupełniej zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności.
- Lot w porządku?
- Tak. Leciałam przez Paryż, trochę naokoło, ale kupiłam bilet na pierwszą klasę, więc udało mi się zasnąć, a to pomaga.
- Świetnie.

Stephanie wyjęła filiżankę dla siebie i kubek dla Roberta - wolał kubki - i zastanowiła się, czy ma dość mleka do herbaty. Co prawda było odtłuszczone, którego on nie znosił, ale będzie musiał jakoś to przeżyć. Zglądając do lodówki i zerkając na Roberta, spytała:

- Jak było na wyprowadzeniu ciała? Dużo ludzi?
- Tak - wzruszył ramionami i westchnął. - Byłem zaskoczony, że pojawiło się tak wiele osób. Pewnie Jimmy też by był. W ostatnich latach narobił sobie wielu wrogów, ale chyba miał jeszcze więcej przyjaciół. Wszyscy dzisiaj przyszli. - Głos mu się załamał i zobaczyła, że przeszukuje kieszenie w poszukiwaniu chusteczki.

Woda zaczęła się gotować, więc Stephanie skupiła się na przygotowaniu herbaty, nie odwracając się, by nie patrzeć

na lzy na twarzy Roberta. Odkąd zdecydowała się wrócić do Irlandii, wyobrażała sobie ten moment wiele razy - ćwiczyła swoje przemówienie najpierw na Long Island, potem w samolocie do Paryża i w czasie lotu do Dublina. Wiedziała dokładnie, jak chce przeprowadzić rozmowę z Robertem. Zamierzała być chłodna, opanowana, zupełnie beznamiętna. Nie będzie wzajemnego obwiniania się. Oboje - ona i Robert - mieli problem do rozwiązania, musieli znaleźć najbardziej praktyczne i logiczne jego rozwiązanie. Taki miała plan. Ale kiedy zobaczyła go na progu, tak piekielnie zmęczonego, poczuła, jak mięknie. A teraz, kiedy słuchała, jak z kiepskim skutkiem próbuje się wysłowić (typowo męska przypadłość), pomyślała, że jej misternie ułożony plan rozsypuje się w kawałki. I nagle podświadomie poczuła się winna, że wcześniej potraktowała go tak ostro.

- Herbata gotowa.

W końcu uspokoił się, a ona odwróciła się i podała mu kubek parującego płynu.

- Dałam dwie kostki cukru.

- Przepraszam - wyszeptał. - Ostatnich kilka dni to był koszmar, nie spałem zbyt dużo.

Podążył za nią do salonu, siadając jak zwykle na kanapie, naprzeciw Stephanie.

Ona zrobiła sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty z lukrecją. Trzymała maleńką porcelanową filiżankę w dłoniach i powoli piła.

- Opowiedz mi, co się stało - poprosiła.

Chociaż tak naprawdę chciała rozmawiać o swoich problemach, widziała, że Robert musi się wygadać. Podniosła filiżankę, żeby ukryć gorzki uśmiech. Tak samo zaczął się półtora roku temu ich romans. Najpierw Robert chciał tylko się wygadać. „Kathy już się nie interesu-

je mną ani tym, co robię" - mówił wtedy - „bo wychowuje dzieci i prowadzi dom”.

Robert odczekał chwilę, zanim odpowiedział:

- W Boże Narodzenie, niedługo po twoim telefonie, zadzwonili do mnie, że Jimmy'ego Morana zabrano do szpitala z podejrzeniem ataku serca.

Pojechałem tam od razu. Och, Stephanie, on wyglądał potwornie...

Westchnął głęboko i upił spory łyk herbaty.

- Powiedział, że na początku zlekceważył te bóle, myśląc, że to niestrawność. Sam ugotował sobie świąteczny obiad i nadział indyka. Doszedł do wniosku, że może nie dopiekł mięsa. Wtedy poczuł ból w lewym ręku i zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, więc zadzwonił na pogotowie. Ale było Boże Narodzenie, więc bardzo długo czekał na karetkę.

Oczy Roberta błyszczały, a Stephanie wiedziała, że po raz kolejny przeżywa środowe wydarzenia.

Położyli go w jednoosobowym pokoju. Wyglądał staro. Tak staro i krucho... Kiedy na niego spojrzałem, wiedziałem, że nic przeżyje. Jakby już wcześniej się poddał. Zniknęła jego iskra. Okazało się, że próbował dzwonić do Angeli, lecz ona nieodbierała jego telefonów. Frances też nie. Poprosił mnie, żebym skontaktował się z Angelą. Rozmawiała ze mną, ale nie chciała przyjechać. Powiedziała, że skończyła z Jimmym. Złamał jej serce swoimi kłamstwami i romansami, więc bała się, że to kolejny numer.

Robert zamilkł. Stephanie dostrzegł drgający kącik jego ust i oczy zachodzące łzami.

- Zadzwoniłem do Frances - ciągnął słabym głosem. - Także nie chciała przyjechać. Pokłócili się i wyrzuciła go z domu. Ona również pomyślała, że to jakiś żart. Myślę, że często je obie oszukiwał.

- Zostałeś z nim? - spytała Stephanie.

- Siedziałem przy nim cały dzień i noc, aż... aż umarł - dokończył. Umarł. Po policzkach Roberta płynęły łzy, ale zdawał się ich nie widzieć.

- Ścisnął moją dłoń i... - zaczął łkać.

- Przykro mi, Robercie. Tak mi przykro. Stephanie trudno było usiedzieć na krześle. Chciała podejść, objąć go i pocieszyć, ale wiedziała, że to byłby błąd.

- Wiem, że byliście z Jimmym blisko.

Nagle zdała sobie sprawę, dlaczego śmierć Jimmy'ego tak bardzo zasmuciła Roberta. Mimo że miał trzech braci, wszyscy mieszkali za granicą i nie kontaktowali się z sobą. Rodzice Roberta rozeszli się, kiedy miał czternaście lat, więc zamieszkał z matką. Rzadko wspominał ojca, który zmarł piętnaście lat wcześniej. A jeśli już o nim napomknął, były to zawsze gorzkie i pełne żalu uwagi. Jimmy Moran był dla Roberta mistrzem, przyjacielem i -zdała sobie sprawę - zastępczym ojcem.

- Umarł w samotności, Stephanie - cicho powiedział Robert.

- Nie całkiem. Byłeś przy nim.

- Ale jego żona... jego koch... jego kobieta powinna przy nim być. Ktoś bardziej... bardziej znaczący niż ja. Ktoś, kto go kochał.

- Ty go kochałeś, Robercie - zdecydowanie odparła Stephanie. - Jeśli on znaczył tak wiele dla ciebie, to ty także musiałeś być ważny dla niego.

Inaczej nie skontaktowałyby się z tobą, będąc w szpitalu.

Robert pokiwał głową.

- Tak, tak, masz rację. Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś.

Dopił herbatę jednym, szybkim haustem i odstawił kubek na podłogę.

- Przepraszam, jestem zupełnie rozbity. Odkąd to wszystko wydarzyło się tutaj we wtorek... - ogarnął pokój nerwowym machnięciem ręki - później historyczne szukanie ciebie, twój telefon w środę, a potem jeszcze śmierć Jimmy'ego. To dla mnie ciężki tydzień.
- Wiem, rozumiem. A święta to i tak najbardziej stresujący czas w roku. Spróbował się uśmiechnąć:
- Chwilami myślałem, że sam dostanę zawału. - Przycisnął prawą dłoń do klatki piersiowej i dodał: - To chyba jednak tylko napięcie.
- Na wszelki wypadek powinieneś się zbadać - natychmiast zareagowała Stephanie. Potem zamilkła, zdając sobie sprawę, że znów bierze za niego odpowiedzialność.
- Zrobię to, obiecuję. Jimmy miał pięćdziesiąt dwa lata - tylko dziesięć więcej ode mnie.
- Wiódł kompletnie inne życie - przypomniała mu.
- Nie aż tak - szybko odparł Robert, nieumiejętnie próbując ukryć nutkę goryczy w swoim głosie.
- Ale palił.
- Palił. I lubił tłuste jedzenie.
- **1** pił - dodała Stephanie - znacznie więcej niż ty.
- Tak, to prawda. Teraz żałuję tylko, że nie udało nam się spotkać na kolacji u Shanahana na Green przed świętami. Byliśmy na drinku w Market Bar - ty mi poleciłaś to miejsce, pamiętasz? Wtedy widziałem go ostatni raz, zanim... zanim zobaczyłem go w szpitalu w Boże Narodzenie.
- Przynajmniej udało ci się go zobaczyć. Robert kiwnął głową.
- Tak, cieszę się.
- Chcesz jeszcze herbaty? spytała, chcąc wypełnić ciszę, która nagle zapadła.

- Tak, poproszę.

Podniósł kubek z podłogi, podał go Stephanie i usiadł z powrotem na kanapie, opierając głowę na oparciu i zamykając oczy.

Stephanie wróciła do kuchni. Nie była pewna, co robić: pozwolić mu opowiadać o Jimmym, czy poruszyć temat swojej ciąży. Jednak chciała, żeby miał spokojną głowę, kiedy zaczną o tym rozmawiać, a w tej chwili był zbyt roztrzęsiony. Nalała wody do czajnika i zawołała:

- Jimmy żył w strasznym napięciu i raczej niezbyt dużo ćwiczył.

Chyba że w łóżku, pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Wydało jej się, że słyszy, jak Robert chrząka potakująco, więc mówiła dalej:

- A sprawa z Angellą i Frances także musiała na niego wpłynąć:

perspektywa trudnego rozwodu jeszcze bardziej go zestresowała.

Milczał.

Stephanie odwróciła się i zajrzała do salonu. Robert siedział bezwładnie na kanapie z głową opartą na ramieniu. Zasnął na siedząco. Odstawiła czajnik, ale nie włączyła go, tylko wróciła do salonu i usiadła.

Przyglądała się Robertowi. Nawet we śnie zmarszczki wokół oczu i ust nie zniknęły. Widziała, jak oczy poruszają się bezwiednie pod zamkniętymi powiekami. Ciekawe, jakie koszmary go dręczą.

Wydarzenia ostatnich kilku dni niczym sny przepływały także przed jej oczami. Od chwili kiedy Kathy Walker pojawiła się w Wigilię i wymierzyła Stephanie policzek, wszystko wymknęło się spod kontroli.

Mimo że była w domu zaledwie od kilku godzin, pobyt w Nowym Jorku zamazywał się w pamięci i Stephanie wydawało się, że w ogóle nie wyjeżdżała. Martwiła się też o Roberta:

wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć, wyczerpany ostatnimi dniami, brakiem snu i, jak przypuszczała, kiepskim odżywianiem się albo wręcz głodówką.

Przestraszyła się, kiedy jakiś cień przemknął pod oknem. To pani Moore, wścibska sąsiadka z naprzeciwka. Na pewno nie mogła się oprzeć i zajrzała do środka. Stéphanie pomyślała, jak ta scena wygląda z zewnątrz: kobieta zwinięta na krześle i zadowolony mężczyzna drzemiący na kanapie.

Jak na ironię, kiedyś wyobrażała sobie podobną scenę, która miała zaistnieć w przyszłości, kiedy Robert odejdzie od żony Í zamieszka tutaj. Wróciłby z pracy do domu, usiadł i drzemał, podczas gdy ona przygotowywałaby jedzenie. W tym marzeniu dom był ciepły i przytulny, pachniał domowym chlebem albo pieczonym mięsem. Łagodna muzyka - David Arkenstone albo Yanni mruczałaby z odtwarzacza. Zjedliby razem, rozmawiali, on opowiedziałby o swoim dniu, a ona o tym, co robiła. Potem poszliby na górę, wykapali się, poszli do łóżka, kochali się Í zasnęli wtuleni w siebie.

Rzeczywistość okazała się być zupełnie inna: dom był ciepły, ale pachniał stęchlizną, goryczą zwiędłych kwiatów i potem Roberta. Nie grała muzyka, żaden dźwięk nie dochodził nawet z sąsiednich domów.

Pochyliła się, oparła łokcie na kolanach, a brodę na dłoniach i spojrzała na twarz Roberta. Wyglądał na starego i zmęczonego, wyczerpanego. Jeśli będzie pracował tak jak teraz, za dziesięć lat będzie już w trumnie. Jak Jimmy. Stéphanie zdała sobie sprawę, że tego nie chce. W zeszłym tygodniu pozwoliła mu iść, wrócić do żony. Ale nic znaczy to, że go nie kochała.

Wciąż kocha Roberta... Kathy także. A sam Robert? Cóż, tylko on wiedział, kogo kocha. Powtarzał to Ste-

phanie, nawet się jej oświadczył. Ale w tym pokoju, w zeszły wtorek, kiedy Kathy spytała męża, czy kocha ją, odpowiedział „tak”.

Od tamtej pory nic się nie zmieniło.

Robert kręcił się i jęczał, śpiąc niespokojnie, a Stephanie nagle zobaczyła, że nieświadomie położyła sobie dłoń na brzuchu.

Nie: wszystko się zmieniło.

W zeszły wtorek nie wiedziała, że prawdopodobnie jest w ciąży. Nie należała zresztą do tych kobiet, które mogą wykorzystać dziecko, żeby usidlić faceta. Ale Robert był ojcem i chciała, żeby pomagał jej w wychowaniu. Jeśli zaś był taki, za jakiego go uważała, powinien zrobić więcej, niż tylko zapewnić pomoc finansową. Miała nadzieję, że będzie spędzał czas z nią i dzieckiem. Syn i córka jego oraz Kathy są już prawie dorośli: Brendan ma siedemnaście, a Theresa piętnaście lat. Czy potrzebują go tak, jak niemowlę? A nawet jeśli Robert oszczędłby od Kathy i zamieszkał tutaj, to przecież nie przestanie widywać swoich dzieci.

Zamarła.

Po raz pierwszy od wtorkowej awantury pozwoliła sobie choćby rozważać możliwość, że Robert odejdzie od Kathy.

A czy ona będzie go chciała? Po tym wszystkim, co się stało?

Zanim zdążyła sobie odpowiedzieć, rozdzwoniła się komórka Roberta.

Głośny dźwięk sprawił, że Stephanie podskoczyła. Robert zaczął mamrotać i powoli, z trudem obudził się. Zamrugał oczami, próbując się skupić, nie wiedząc, gdzie jest. Potem sięgnął po przzerośnięty XDA2.

- Halo... - zaczął, po czym obliznął spierzchnięte wargi i powtórzył. -

Halo...

Zanim wymówił kolejne słowo, Stephanie wiedziała już, kto dzwoni. Dostrzegła to w jego oczach - mieszaninę poczucia winy i strachu, która sprawiła, że cały zeszywniał.

- Kathy... tak, wszystko dobrze. Jestem w biurze. Napotkał spojrzenie Stephanie i odwrócił wzrok.

- Niedługo będę w domu - dodał i rozłączył się.

- Dlaczego skłamałeś? - głośno spytała Stephanie. Robert wyprostował się i zakaszłał.

- Cóż, raczej nie mogłem wyjawić, gdzie jestem, prawda?

- Mogłeś powiedzieć, że mamy do obgadania zaległe sprawy - uśmiechnęła się bez przekonania.

- Obiecałem Kathy, że więcej się z tobą nie spotkam.

- I już złamałeś tę obietnicę - rzuciła ze złością.

- Obiecałem jej to, zanim... zanim dowiedziałem się o... o tobie i.,, i...

- Dziecku?

- Tak. O tym. Stephanie podniosła się.

- Idę zaparzyć herbatę. Może pójdziesz na górę, weźmiesz prysznic i odświeżysz się? Powinieneś być przytomny i uważny, jeśli mamy rozmawiać; teraz wyglądasz jak żywy trup. Na górze masz jakieś swoje ubrania, a szczoteczka do zębów i maszynka do golenia leżą w szafce w łazience. Weź prysznic i przebierz się, poczujesz się lepiej.

- Dobrze, tak zrobię, dzięki. Wstał i zorientował się, że śmierdzi.

- Jezu, ale cuchnę.

- To prawda - potwierdziła Stephanie.

Nie tylko potem, pomyślała, odwracając się od niego, nim zdążył dostrzec uśmiezek na jej twarzy.

Rozdział 17

Znalazła Roberta śpiącego na łóżku, owiniętego w szlafrok. Stała i przyglądała się przez dłuższą chwilę, próbując uporządkować sprzeczne uczucia. Chciała upewnić się, że fakt, iż jest w ciąży, nie wpłynie na to, co przecież wciąż czuła do tego mężczyzny. Ale wiedziała, że to niemożliwe.

Bardzo szanowała kobiety, które - ze względu na okoliczności albo z wyboru - samotnie wychowywały dzieci. Jeśli jest w ciąży i we wrześniu urodzi się dziecko, nie miała wątpliwości, że okaże się dobrą matką, a maleństwu niczego nie zabraknie. Będzie ciężko, nie miała co do tego złudzeń. To zmieni każdy aspekt jej życia, ale zrobi to. Może nawet trzeba będzie sprzedać mieszkanie, pomyślała - Chyba nie powinna była zamieniać dodatkowego pokoju na luksusową łazienkę.

Ale jeśli Robert jej pomoże, będzie o wiele łatwiej. Miał pracę, która pozwalała mu na elastyczność czasową. Może pracować w domu i pilnować dziecka, dopóki Stephanie nie wróci z pracy w agencji. Przecież musi pracować ze względów finansowych, zarabia więcej niż Robert. Stawiając gorącą herbatę na szafce koło łóżka, Stephanie otworzyła szafę i wyjęła grubą kołdrę, którą okryła Roberta. Potem zgasiła światło, wyszła z sypialni i pozwoliła mu spać.

- Robert. Robert.

Robert Walker otworzył oczy i rozejrzał się. Po raz pierwszy, od kiedy stanął w progu, uśmiechnął się.

- Cześć.

- Cześć.

Uśmiech szybko zbladł, kiedy dostrzegł zaciągnięte na noc zasłony.

- Mój Boże, jak długo spałem?

- Kilka godzin. Dopiero dziewiąta. Usiadł prosto na łóżku.

- Muszę iść...

~ Najpierw musisz coś zjeść - zdecydowanie powiedziała Stephanie.

Siedziała na brzegu łóżka z tacą w dłoniach. Leżała na niej duża, cienka pizza, obok której stała butelka czerwonego wina i dwa kieliszki.

- Niestety musiałam zamówić - dodała. Nie miałam nic w domu, a nie chciałam cię zostawiać samego.

Robert spojrział na pizzę z szynką i ananasem, kręcąc głową, ale Stephanie usłyszała, jak burczy mu w brzuchu.

- Zjem tylko kawałek - powiedział, lekko się uśmiechając.

Jedli w milczeniu.

Mimo że Stephanie naląła sobie kieliszek wina, prawie go nie tknęła: bolał ją żołądek.

Kiedy Robert wziął z tacy ostatni kawałek pizzy, Stephanie także uśmiechnęła się.

- Kiedy ostatnio jadłeś? - spytała. Potrząsnął głową i odparł:

- Przełknąłem jakieś byle co w biegu. Kiedy Jimmy... Kiedy Jimmy umarł, musiałem załatwić formalności i skontaktować się z jego rodziną.

Dwóch z jego trzech braci przyjedzie. Porozrzucało ich po całym świecie: Lloyd jest w Australii, Mikey w Kanadzie, a Teddy w Bostonie.

Rozmawiałem z Mikey'em, najstarszym. Powiedział mi, żebym nie czekał z wyprowadzeniem ciała, lecz odłożył pogrzeb, aż uda im się dojechać.

- Kiedy się odbędzie?

W poniedziałek, trzydziestego, na cmentarzu Glasne-vin. Teddy i Mikey przyjeżdżają jutro rano, tylko Lloyd nie może.

- Szkoda.

- Wiem. Jednak nigdy nie byli z sobą blisko. Jimmy nie opowiadał mi o szczegółach, ale wiem, że kiedy rodzice się rozstali, on zamieszkał z matką, a starsi bracia woleli zostać z ojcem. Rozwód zniszczył ich życie i wstrząsnął całą rodziną. Ja przeżyłem to samo.

Spojrzał na Stephanie i uśmiechnął się nieśmiało, jak wtedy, kiedy pierwszy raz ją oczarował.

- Przepraszam. Mówię tylko o sobie. Powiedz mi, co robiłaś w święta.

Byłaś w domu?

Stephanie przytaknęła. Podniosła tacę i obeszła pokój, by odstawić ją na szafkę przy łóżku. Potem oparła się o parapet i założyła ręce na piersi.

- Pojechałam do domu. W ostatniej chwili, więc musiałam lecieć przez Londyn, ale dotarłam na miejsce w Wigilię wieczorem i cieszę się, że mi się udało. Dobrze było zobaczyć znów rodziców. Zdałam sobie sprawę, że się starzeją, szczególnie tato. Mówi się, że czas ucieka, ale tak naprawdę to pędzi galopem. Spróbuję teraz częściej jeździć do domu, może co dwa, trzy miesiące, żeby mieć z nimi kontakt.

- Dobry pomysł - Robert odsunął kołdrę i usiadł na łóżku. - Naprawdę powinienem już iść - dodał. Włożył bieliznę, skarpetki i spodnie.

Przez kilka sekund Stephanie była tak zdziwiona, że nie mogła się odezwać. Potem wybuchła.

- Poczekaj chwilę! Rozmawialiśmy o wszystkim, oprócz najważniejszego: nas. Mnie. I tego, że mogę być w ciąży.

Otworzył szafę i założył jedną z koszul, które trzymał w niej na wszelki wypadek. Potem odwrócił się i spytał:

- Jak bardzo jesteś pewna?

- Pewna?

Pewna, że jesteś w ciąży.

Prawie zupełnie pewna. Okres spóźnia mi się prawie dwa tygodnie.

- Robiłaś test?

- Tak. Wynik był pozytywny. Dlatego wróciłam. Kiwnął głową, włożył koszulę w spodnie i Stephanie

zauważyła, że nie chce spojrzeć jej w oczy.

Powiedzmy, że jesteś w ciąży: co zamierzasz z tym zrobić?

Stephanie odeszła od okna i stanęła twarzą w twarz z Robertem.

- Co masz na myśli, mówiąc „z tym”? Zamrugął oczami, zaskoczony: Chyba nie myślisz poważnie, żeby urodzić? Stephanie poczuła, jak kawałek pizzy, który zjadła, zwija się jej w żołądku.

- Tak, myślę - wyszeptła.

- Nie możesz. Masz dom... i pracę. Jak sobie poradzisz z tym i z dzieckiem?

Poradzę sobie, jeśli ktoś mi pomoże. Robert powoli zapinał guziki przy mankietach.

- Jeśli ja jestem ojcem tego dziecka... Spoliczkowała go tak mocno, że głowa aż odskoczyła

mu na bok. Przez chwilę jego spojrzenie pełne było gniewu i Stephanie pomyślała, że odda jej uderzenie.

- Jak śmiesz! Jesteś ojcem. Nie było nikogo innego!

- Przepraszam - odparł, wzdychając głęboko i przyciskając dłoń do piekącego policzka. - Może źle dobrałem słowa. Przepraszam. Nie chciałem niczego sugerować.

Stephanie patrzyła na niego w milczeniu, kiedy mówił dalej:

- No cóż, bądźmy rozsądni. Już mam jedną rodzinę i nie chcę zaczynać jeszcze raz. Ty też nie chcesz. Masz swoją karierę, a dziecko z pewnością pozbawiłoby cię szansy na awans. Żadne z nas nie może sobie pozwolić na wrzeszczącego bachora.

Zamilkł na chwilę i dodał ponuro: **-1** co miałbym powiedzieć Kathy i dzieciom? W tej chwili Stephanie po raz pierwszy dostrzegła prawdziwego Roberta. Samolubnego, egoistycznego, aroganckiego drania, którym był. Zrozumiała, że należał do mężczyzn, którzy angażują się w romans, nie myśląc o jego ewentualnych konsekwencjach. Nie chciała tak myśleć, nie chciała w to wierzyć, ale prawda była gorzka: interesował się nią tylko dla seksu i zleceń, które dostarczała jego podupadającej firmie. Patrzyła teraz na niego i wiedziała z przerażającą pewnością, co usłyszy.

- Oczywiście, jeśli chcesz, żebym pomógł ci podjąć decyzję, sugeruję usunięcie. Naturalnie zapłacę za zabieg i będę przy tobie w klinice.

Uśmiechnął się kącikami ust i dodał:

- Spędzimy weekend w Londynie i sprawa załatwiona. Może nawet uda nam się coś zwiedzić. A kiedy wrócimy do Dublina, będzie jak dawniej. Kiedy Stephanie w końcu się odezwała, mówiła tak cicho, że ledwo było ją słychać:

- Wynoś się.

Robert znów spróbował się uśmiechnąć:

- Co o tym myślisz?

Stephanie wybuchła, a intensywność jej gniewu zaskoczyła ich oboje:

- Wynoś się! Wynoś się! Wynoś się!

Robert odsunął się. Stephanie sięgnęła po pierwszy z brzegu przedmiot talerz z pizzą - i rzuciła w niego.

Chybiła, a talerz roztrzaskał się o ścianę, zostawiając na niej krwistoczerwoną plamę od sosu.

- Tu draniu! - krzyknęła, sapiąc. Ty draniu!

- Stephanie... Ja tylko proponuję...

- Masz mój klucz. Oddaj mi go - zażądała. Otworzyła szafę i zerwała koszulę z wieszaka, po

czym rzuciła ją Robertowi w twarz. Ściągnęła jedwabny krawat, który podarł się o metalowy wieszak, potem chwyciła czarne skórzane buty i rzuciła nimi przez pokój. Robert zdjął klucz z breloczka i położył go na łóżku.

- Stephanie. Porozmawiajmy. Wiem, że jesteś zła, ale...

- Z nami koniec powiedziała zimno. - Nie waż się więcej do mnie odezwać. - Mimo że miała łzy w oczach, postanowiła nie płakać i mówiła dalej: - Kochałam cię. Kochałam cię całym sercem. A teraz widzę, kim jesteś naprawdę: kolejnym samolubnym draniem. Nie chodzi

o problem, który trzeba rozwiązać, tylko o życie i przyszłość. A ty myślisz, że usunięcie wszystko załatwi! Szybki zabieg, a potem powiedzamy, jakby nic się nie stało? Nienawidzę cię, Robertcie Walkerze. A nawet więcej: gardzę tobą. Wynoś się i nie wracaj.

Dopiero kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi i odjeżdżający samochód, Stephanie położyła się na łóżku i zaczęła płakać tak bardzo, że szloch odebrał jej oddech.

Gdzieś między różnymi emocjami, między strachem

1 nienawiścią, obrzydzeniem i złością, czuła jeszcze coś: ulgę. Cieszyła się, że w końcu z nim zerwała.

Cieszyła się, że to koniec. Nareszcie.

KSIĘGA DRUGA

Opowieść męża

Najpierw byłem zaskoczony i, przyznaję, zawstydzony, a nawet przerażony. Potem, co dziwne, poczułem ulgę. Cieszyłem się, że Kathy wie, że nie będzie więcej kłamstw, że oboje zaczniemy od nowa.

Ale potem...

Nie do końca wiem, co się stało. Kobieta, która byłem pewien nie kochała mnie, twierdziła, że jest odwrotnie. Natomiast ta, która mówiła, że mnie kocha odepchnęła mnie, jakby już mnie nie chciała.

Kiedy wychodziłem stamtąd, wiedziałem, że dostałem drugą szansę na życie z żoną, na nowy początek.

Ale...

Ale problem leżał w tym, że związek ze Stephanie otworzył mi oczy na nowe możliwości. Pokazał, że moje życie może być inne. Zupełnie inne.

Rozdział 18

Wtorek, 24 grudnia Wigilia

Pearse Street była zupełnie zakorkowana.

Stojąc gdzieś na jej początku, Robert Walker usłyszał nagle wycie syren wozów strażackich, które próbowały wydostać się z posterunku przy Tara Street. Najwyraźniej utknęły w jednym miejscu, bo dźwięk nie oddalał się ani trochę. Robert zaciągnął ręczny hamulec w swoim audi i wrzucił na luz. Zdjął ręce z kierownicy i spojrzał na swoje palce. Już się nie trzęsły. Kiedy wszedł do pokoju i zobaczył Kathy, upłynęło kilka sekund, zanim zorientował się, kogo widzi. Nie było racjonalnego wytłumaczenia dla obecności Kathy w salonie Stephanie. Nie powinno jej tam być. A jednak: jego żona i jego kochanka patrzyły na niego z identycznym wyrazem twarzy.

Wszystko stało się jasne, zwłaszcza wtedy, gdy Kathy zrobiła krok naprzód i uderzyła go w twarz. Przejechał teraz językiem po wyszczerbionej krawędzi nowej korony. W ciągu osiemnastu lat małżeństwa Kathy nigdy nie podniosła na niego ręki. Poglaskał się dłonią po szczękę: zafundowała mu całkiem niezły cios!

Jego romans został odkryty.

Na początku pomyślał, że to Stephanie skontaktowała się z Kathy.

Ostatnio zaczęła coraz bardziej namawiać go, żeby podjął jakąś decyzję. Kazała mu wybierać - żona albo kochanka. Wiedział, że Boże Narodzenie to dla Stephanie szczególnie trudny okres, ale... chyba zapomniała, że dla niego również. Chciała, żeby spędzali razem

czas, lecz on wolał być z dziećmi. Tak szybko dorosły - Brendan miał już siedemnaście, a Theresa piętnaście lat - kto wie, ile jeszcze razy spędzą święta w domu? Rodzice Roberta rozstali się, kiedy miał czternaście lat, a on dobrze pamiętał pierwsze święta z matką w domu w Finglas, sztuczną brzydką choinkę w rogu i zadymiony węglowym dymem pokój, trzeszczące radio nastawione na RTE 1, które nadawało w kółko te same kolędy. Kilka tygodni wcześniej, kiedy ojciec wyprowadził się wraz z trzema braćmi, zabrał telewizor, a matka była zbyt dumna, by przyznać się do tego siostrze albo sąsiadom. To były marne święta - pierwsze z kilku, które miały nastąpić. Z tamtego tygodnia pozostało mu jedno uczucie, jedno wspomnienie: tęsknoty. Brakowało mu ojca. Robert postanowił, że jego własne dzieci nigdy tego nie doświadczą. Nie zamierzał odchodzić od żony w tygodniu świątecznym. Stephanie nie miała dzieci i nie rozumiała tego.

Syreny strażackie zaczęły cichnąć, a samochody powoli ruszyły do przodu. Robert wrzucił jedynekę i spuścił ręczny hamulec.

Kiedy wszedł do pokoju i zobaczył Kathy oraz Stephanie razem, pomyślał, że dostanie zawału serca albo zemdleje. Albo jedno i drugie. Stephanie nic nie powiedziała Kathy: żona sama odkryła zdradę męża. Nie wiedział, w jaki sposób. Może ktoś widział go ze Stephanie. Ale przecież zawsze był ostrożny, bardzo ostrożny. Kiedy szli na kolację, zawsze jedli w restauracjach w południowej części miasta, gdzie szanse spotkania sąsiadów z północnych dzielnic były mniejsze. Jeśli szli do kina, wybierał któreś w centrum, a nie lokalne w Santry, Finglas albo Blanchardstown. Kiedy spędzali razem noc, woleli anonimowe małe hotele

w środkowej Irlandii, a Stephanie robiła rezerwację na swoje nazwisko, żeby nie było śladu na wyciągach z kart kredytowych Roberta.

Kiedy zaczynał romans ze Stephanie, usprawiedliwiał podejmowanie takich środków ostrożności nie tylko ochroną dobrego imienia obojga, ale także chęcią chronienia Kathy. Nie chciał jej zranić. Teraz jest już za późno.

Pewnie było właśnie tak: ktoś zobaczył ich razem i zawiadomił Kathy.

Przypomniawszy sobie podejrzliwy ton, którym żona ostatnio do niego mówiła. Miał zjeść kolację ze starym przyjacielem Jimmym Moranem w zeszłym tygodniu, ale jakimś sposobem rezerwacja u Shanahana zniknęła. Kathy niezbyt subtelnie go o to wypytywała. Robert przypomniał sobie też, że tamtego wieczoru żona przyjechała do miasta i chciała wpaść do restauracji, zobaczyć się z Jimmym.

Sprawdzała go!

Ta myśl zdziwiła go nawet bardziej niż to, że zastał Kathy w salonie Stephanie. Szpiegowała go.

Od kiedy? I co odkryła? Widziała go ze Stephanie? Wiedział, że zachowuje się inaczej w obecności kochanki: był bardziej zrelaksowany, wesoły, nawet czuł się młodziej. Próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio wychodził gdzieś z żoną. Raczej dawno. Grudzień to taki zwariowany miesiąc, oboje byli bardzo zajęci. Przychodził do Stephanie do domu, ale tam przecież nikt go nie znał. Może ktoś z branży rozmawiał z Kathy? Ledwo w zeszłym tygodniu Jimmy Moran wspominał, że jeden z konkurentów Roberta, Simon Farmer - śmierdzący mały drań rozpuszczał plotki, że R&K Productions dostała trzy spore kontrakty z agencji Flintoffa tylko dlate-

go, że Robert romansował z senior account managerem. Niestety ta plotka była prawdziwa. A zlecenia, które podsunęła mu Stephanie, utrzymały firmę na powierzchni w bardzo trudnym okresie. Czy Farmer mógł w jakiś sposób skontaktować się z Kathy?

Żeby wzbudzić jej podejrzenia, wystarczyła choćby mała wskazówka.

Już sześć lat temu, kiedy poznał Stephanie Burroughs, Kathy podejrzewała, że mają romans. Nigdy nie był tak zdziwiony i zaskoczony jak wtedy, kiedy żona oskarżyła go o to w pewien piękny letni wieczór. O ironio, wtedy jej podejrzenia były błędne.

Jeśli dawne obawy Kathy powróciły, to tym razem musiała odkryć, że są jak najbardziej słuszne. A jeśli zaczęła coś podejrzewać, to na pewno obserwowała męża jak jastrząb, sprawdzając każdą jego wymówkę.

Ostatnio, musiał to przyznać, nie silił się na wyrafinowane kłamstwa. Na początku swojego romansu tworzył wymyślne historie o spotkaniach z fikcyjnymi bądź potencjalnymi klientami, seminariach biznesowych, czymkolwiek, co mogło być powodem do wyjścia z domu i spędzenia czasu ze Stephanie. Ostatnio jednak zrzucił wszystko na karb przepracowania i napięcia w pracy.

Nie żeby to miało teraz jakieś znaczenie. Kiedy cała prawda o romansie wyszła na jaw, Robert poczuł niewyobrażalną ulgę. Na pewno w końcu dowie się, w jaki sposób Kathy odkryła prawdę, kiedy tylko uda im się porozmawiać. Skrzywił się na tę myśl: nie uśmiechała mu się taka rozmowa. Ciągle nie wiedział, ile wie żona i ile powinien jej powiedzieć. Ale zdawał sobie sprawę, że skrzywdził ją bardzo i teraz był jej winny szczerść. A jeśli mają zacząć od nowa,- musi mieć czyste konto. Powie jej wszystko. No, prawie wszystko.

Robert skręcił w Tara Street, wybrał środkowy pas i przejechał przez most.

Przyrzekł Kathy, że chce wrócić i zacząć wszystko od nowa. Powiedział, że ją kocha. I nie kłamał. Nigdy nic przestał jej kochać.

Był tylko jeden problem: kochał również Stephanie Burroughs.

Rozdział 19

Maureen Ryan miała około pięćdziesięciu pięciu lat, ale mogłaby uchodzić za czterdziestopięciolatkę. Była wysoką kobietą w męskim typie, o wyraźnych rysach, prawie przezroczyście oczach i z burzą śnieżnobiałych włosów, które spletała w pojedynczy warkocz opadający na plecy. Prowadziła sekretariat R&K Productions od samego początku i z czasem zaczęła traktować Roberta jak syna, którego nigdy - dzięki Bogu - nie miała, a Kathy jak córkę, którą chciałyby mieć. Kiedy Maureen otworzyła drzwi i zobaczyła Roberta stojącego na progu, wiedziała, że coś jest nie tak.

- A to niespodzianka - powiedziała ostrożnie, odsuwając się, by wpuścić go do środka.

- Od wieków obiecywałem sobie, że do ciebie zajrzę - zaczął Robert - ale to wariacki czas. Pocałował ją przelotnie w oba policzki i dodał: -
Wesołych Świąt.

- Nie musisz przeproszać. Wiem, jak to jest w grudniu.

Maureen była od miesiąca na zwolnieniu i mimo że Robert dzwonił kilka razy - zwykle żeby spytać o kontrakty i spotkania - ani razu jej nie odwiedził.

- Przepraszam, że wpadam bez zapowiedzi. Powinienem być zadzwonić...
- nieprzytomnie powiedział Robert.
- Nie musisz dzwonić. Cieszę się, że cię widzę - ton Maureen sugerował, że jest zupełnie odwrotnie. Gdyby wiedziała, że Robert przyjdzie, zdjęłaby z siebie przybrudzony biały dres, który nie dodawał jej urody, i kapcie - ich dobre lata minęły jakieś wieki temu.
- Napijesz się herbaty... czy może masz ochotę na coś mocniejszego? - spytała, prowadząc Roberta do okrągłej oranżerii, którą zbudowano na tyłach dwupiętrowej sze-regówki przy starej Finglas Road.
- Tylko herbaty, dziękuję. Na drogach pełno patroli, nie chcę ryzykować, że mnie zatrzymają.

Rozejrzał się po oranżerii i dodał:

- Podoba mi się, jak urządziłaś to miejsce.
- Kilka lat wcześniej R&K dostała od RTE grant na pilotowy odcinek serii z cyklu „Dom nie do poznania” i wykorzystali wtedy dom Maureen, dobudowując z tyłu oranżerię. Co prawda, program nigdy nie powstał, ale dobudówka okazała się spektakularnym sukcesem.
- Widzę, że położyłaś nowy parkiet - powiedział.
 - Robiło się tu tak ciepło, że poprzednie deski wypaczyły się i powyginały, więc zmieniłam podłogę i powiesiłam żaluzje.
 - Fontanna w środku też jest nowa - zauważył Robert.
 - Czyż nie pasuje tu idealnie? To teraz moja ulubiona część domu i jeden z powodów, dla których nigdy go nie sprzedam - odparła, wchodząc do kuchni.

Robert usiadł w jednym z dużych wiklinowych krzeseł z oparciami w kształcie wachlarzy i wciągnął nosem delikatny aromat unoszący się z cienkiej fioletowej świe-

cy. Chyba lawendy. Na okrągłym szklanym stoliku leżała otwarta książka, którą Robert bezwiednie obrócił, by spojrzeć na okładkę: ***Jak pisać: pamiętnik rzemieślnika***

Stephena Kinga. Dziwaczny tytuł jak na horror, pomyślał.

Maureen wróciła, niosąc wiklinową tacę, na której stał ręcznie malowany imbryk, dwa podobne kubki, maleńki dzbanek na mleko i miseczka z kostkami cukru. Robert podniósł się, by wziąć tacę, a Maureen postawiła na stoliku kubki, mleko i cukier. Usiadła naprzeciwko na wiklinowym krześle.

- Niech się zaparzy przez kilka minut.

Robert również usiadł i uśmiechnął się nieszczercze. Wiedział, że minęły cztery lub pięć tygodni, od kiedy ostatnio widział Maureen, a kilka dni temu rozmawiał ze Stephanie o ewentualnym zwolnieniu sekretarki. Ale teraz, skoro zostaje z Kathy, nie będzie o tym mowy.

Przepraszam, że się ostatnio nie pokazywałem... -zaczął Robert.

Maureen podniosła prawą dłoń, uciszając go:

- Nie ma za co. Jak się spisuje ta stażystka, Rosjanka? Robert machnął lekceważąco lewą ręką i odpowiedział:

- Proszę ją, żeby coś zrobiła, a w końcu i tak muszę zrobić to sam. Dobrze by było mieć cię z powrotem. Wrócisz?

- Jeśli będziesz chciał - chłodno uśmiechnęła się Maureen.

- Oczywiście, bez wahania. Bez ciebie nie byłoby R&K Productions.

Wiesz o tym.

Zanim zaczęła pracować na własny rachunek, Maureen spędziła dwadzieścia pięć lat w RTE. Miała świetne znajomości w branży i wszyscy spodziewali się, że zacznie pracę

w jednej z prywatnych stacji. Ona jednak wolała pomoc nieznanej, początkującej firmie. Obecność Maureen pozwoliła R&K zyskać wiarygodność wówczas, kiedy Robert i Kathy dopiero zaczęli działać. Czy wiesz, kiedy będziesz mogła wrócić? - spytał Robert.

- Chyba na początku nowego roku. Dlaczego pytasz?

- Bez powodu. Tylko będę musiał wcześniej zwolnić Illonę.

- Wrócę, jak tylko lekarz mi pozwoli.

Maureen pochyliła się, by nalać herbaty. Zauważyła, że Robert patrzy podejrzliwym wzrokiem na napar.

- To nic dziwnego - uspokoiła go. - Zwykły Barry's.

Robert skinął głową. Maureen podczas pracy w biurze nieustannie eksperymentowała z egzotycznymi herbatkami i ziołowymi naparami. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął cienką białą kopertę, którą położył na stole i przesunął w stronę Maureen.

- Mała świąteczna premia - poczuł dziwne zażenowanie.

Maureen zdziwiła się.

- Nie spodziewałam się niczego - powiedziała zgodnie z prawdą. - Zwłaszcza że od tak dawna nie pracuję.

- Cieszę się po prostu, że mogę to zrobić. W lecie było kilka takich tygodni, gdy bałam się o naszą sytuację.

Maureen kiwnęła głową. Z przyzwyczajenia dodała mleka i dwie kostki cukru do herbaty Roberta i podsunęła mu kubek. Wiedziała, że miniony rok był bardzo trudny dla R&K. W pewnym momencie chciała nawet porzucić swoje CV. Wiedziała jednak także, że jeśli to zrobi, plotka o upadku R&K od razu się rozniesie i firma będzie skończona.

- Gdyby Stéphanie nie dała nam tych zleceń... - dodał Robert.
Coś w jego głosie zaniepokoiło Maureen. Spojrzała na Roberta:

- Wszystko w porządku?

- Tak - zaczął, ale potem pokręcił głową. - Nie przyznał.

- Kontrakt dla DaBoyz? - zgadywała.

- Nie, z tym wszystko dobrze.

DaBoyz byli boysbandem, który trudno było odróżnić od setek innych, ale który miał nadzieję wybić się dzięki nowemu fantastycznemu teledyskowi. Stéphanie udało się polecić R&K Productions managerowi zespołu - opowiedziała o kilku świetnych reklamach, które firma Roberta nakręciła dla jej agencji.

- Ten kontrakt jest załatwiony. W zeszłym tygodniu widziałem się z zespołem i ich managerem. Mówili, że podobają im się pomysły. Pewnie na początku roku będziemy kręcić.

- Więc co się dzieje? - spytała Maureen. - Jeśli zrobisz ten klip i go wypuścisz, z pewnością dostaniemy następne podobne zlecenia. A one dają w dzisiejszych czasach prawdziwą kasę.

- Wiem. Dostaniemy chyba także nową reklamówkę Renault i zgłosiłem nasz projekt do kampanii Guinnessa. Myślę, że mamy duże szanse.

- W takim razie o co chodzi? - dopytywała się Maureen.

- Rozmawiałem ostatnio ze Stéphanie. Nie będzie już mogła podsyłać nam zleceń. Niektórzy zaczęli zastanawiać się, czemu nasza firma zdobywa tyle kontraktów... Miała trudną rozmowę ze swoim szefem, Flintoffem. Powiedział jej coś w rodzaju: „żadnych zleceń dla R&K”¹.

Maureen oparia się i popijała herbatę. Patrzyła na Roberta zza krawędzi jasnego, malowanego kubka.

- Znam Charlesa Flintoffa - powiedziała. - Dobrze go znam. Mogę z nim porozmawiać.

- Ach, nie. Lepiej nie. Na pewno nie w tej chwili.

- Czegoś mi nie mówisz, Robercie.

Robert wziął łyka herbaty, skrzywił się i dodał jeszcze jedną kostkę cukru.

Muszę ci powiedzieć, że... od pewnego czasu jestem ze Stephanie Burroughs. W sensie osobistym. To dlatego dostawaliśmy tyle zleceń. Niektórzy ludzie z branży zaczęli się tym interesować, a Charles Flintoff wie o naszym związku.

Robert poczuł, jak napięcie między nim a Maureen odrobinę zelzało.

Może stare powiedzenie jest słuszne: spowiedź jest dobra dla duszy.

Spojrzał na sekretarkę, niepewny, jak przyjmie tę informację. Maureen sama często bywała na stronach plotkarskich niedzielnych gazet: miała romanse z kilkoma pomniejszych politykami i jednym kiepskim aktorem telewizyjnym. Kiedy cisza stała się nieznośna, Robert odezwał się:

- No, powiedz coś.

- Niby co? Nie wyjawiałeś mi nic, o czym bym nie wiedziała.

- Wiedziałaś!

- Od jakiegoś roku.

Robert patrzył na Maureen, na przemian otwierając i zamykając usta.

Wydawało mu się, że jest taki ostrożny.

- I nic nie powiedziałaś? Maureen uśmiechnęła się zimno:

- A co miałam powiedzieć? Robercie, jesteś dużym chłopcem. Jeśli masz romans, to chyba przeczuwałeś, że pewnego dnia tajemnica się wyda.

Rozumiem, że mówisz mi to teraz, bo Kathy już wie.

Robert z bolesnym grymasem skinął głową.

- Wiesz, że była u mnie w zeszłą sobotę?

- Wspominała o tym. Ale myślałem, że to była zwykła towarzyska wizyta.

- Od razu powiedziała mi, że podejrzewa cię o romans ze Stephanie Burroughs.

- A ty potwierdziłaś! - wykrzyknął Robert, nie umiejąc ukryć złości.

- Ona wiedziała - twardo odparła Maureen. - Przyszła do mnie prosto z biura, gdzie przeglądała twoje rachunki za telefon.

Robert z przerażeniem patrzył na Maureen:

- Sprawdzala rachunki... po co? - wyszeptał.

- Pewnie szukała dowodów. I znalazła je. Odkryła, że pierwsza i ostatnia rozmowa każdego dnia były skierowane na ten sam numer. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, o co chodzi. Nie wiem, jak powiązała ten numer ze Stephanie - może po prostu pod niego zadzwoniła. A rachunki to dowód, który przeważał szalę.

Maureen odstawiła kubek i wzruszyła ramionami.

- Może ci się wydawać, że jesteś sprytny, Robertcie Walkerze, ale Kathy jest sprytniejsza - o wiele sprytniejsza - od ciebie. Zrobiłeś błąd, nie doceniając jej. I myślę, że stałeś się odrobinę chciwy.

- Chciwy? - próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle. Napił się herbaty. Od jak dawna Kathy go sprawdzała? Odkrycie, że ktoś go szpiegował, śledził każdy jego ruch, sprawiło, że Robertowi zrobiło się słabo, nagle poczuł się chory.

- Chciwy - powtórzyła Maureen. - Dlaczego nie kupiłeś sobie telefonu na kartę? Żadnych rachunków, zero dowodów. Ale nie, chciałeś wrzucić sobie te rozmowy w wydatki służbowe.

- Nigdy nie myślałem... - zaczął niezgrabnie.
- Teraz Kathy wie. Rozumiem, że z tobą rozmawiała.
- Właśnie się z nią widziałem... i ze Stephanie - odparł ponuro.
Maureen usiadła prosto, zdziwiona.
- Z obiema? Razem?
- Kathy poszła do Stephanie, żeby stanąć z nią twarzą w twarz.
- Trzeba mieć jaja, żeby zrobić coś takiego - mruknęła Maureen.
- Wszedłem, a one tam były. Przyniosłem Stephanie prezenty świąteczne
- ciągnął żałośnie Robert. - Stało się... coś nieprzyjemnego. A potem -
ciagle nie jestem pewien, że to się stało naprawdę - Stephanie kazała mi
wracać do Kathy.
- Czemu to zrobiła?
- Kathy powiedziała, że mnie kocha.
- A czy kiedykolwiek w to wątpiłeś? - spytała Maureen.
Robert zdał sobie sprawę, że nie może jej spojrzeć w oczy.
- Byłem pewien, że mnie nie kocha. Myślę, że tylko dlatego pozwoliłem
sobie na romans. Kathy odsunęła się ode mnie. Zajmowała się dziećmi,
nie interesowała się ani mną, ani firmą. Byłem... samotny - przyznał. -
Dlatego związałem się ze Stephanie.
W całym swoim życiu Maureen Ryan była w trzech poważnych
związkach z żonatymi mężczyznami. Za każdym razem wiedziała od
samego początku, że nie zostawią dla niej rodziny. Zresztą nie chciała
tego. I w każdym przypadku nie chodziło tylko o seks, ale o to, że
Maureen chciała słuchać, interesować się nimi, ich pracą, ich życiem.
Byli żonaci, ale przede wszystkim samotni.

- Nigdy nie chciałem zranić Kathy - mówił Robert.
- Jednak to zrobiłeś - wiesz o tym, prawda? Wiem.
- Powiedz mi, jak skończyła się ta rozmowa.
- Stephanie mnie odrzuciła, a Kathy powiedziała, że przyjmie mnie z powrotem - szybko odpowiedział Robert. - To tak w skrócie. Kiedy wychodziłem, stały w drzwiach domu Stephanie.
- Więc nie miałeś jeszcze okazji porozmawiać z Kathy sam na sam?
- Jeszcze nie.
- Kiedy do tego dojdzie, musisz być z nią szczery, Robertcie. Pamiętaj. Całkowicie szczery.

- Wiem.

- A czy ty chcesz wrócić do Kathy?

Zanim zdążył odpowiedzieć, podniosła dłoń i dodała:

- Zastanów się, zanim odpowiesz.

Robert patrzył w stół. Zanim jeszcze podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć, Maureen przypuszczała już, jaka będzie odpowiedź: jeśli szczerze, naprawdę chciał wrócić do Kathy, nie potrzebowałby aż tyle czasu na zastanowienie.

- Chciałbym wrócić do Kathy - zaczął ostrożnie. Dla dobra firmy i dzieci. Ale Kocham Stephanie.

Kochasz czy pożądasz? Potrząsnął głową. Kocham. Kocham ją.

Powiedziałeś, że chcesz wrócić do Kathy dla dobra firmy i dzieci. A co z dobrem Kathy? Twoim? Co z twoim osiemnastoletnim małżeństwem?

- Dlatego też, oczywiście.

- Nie brzmisz przekonująco - delikatnie dodała Maureen.

Och, Maureen, ty nie wiesz, jak to jest. Kocham Kathy, naprawdę. I uwielbiam nasze dzieci, o tym także wiesz. Ale Stephanie... cóż, ją też kocham. Kiedy jestem przy niej, czuję się miody i wolny. Kiedy jestem przy niej, świat staje przede mną otworem. Przy Kathy tego nie czuję.

- Mylisz się - głos Maureen brzmiał zimno i poważnie. - Wiem, jak to jest. Ale z innej perspektywy. Ja byłam kochanką. Więcej niż raz. Miałam romanse z mężczyznami podobnymi do ciebie, którym wydawało się, że mnie kochają.

Potrząsnęła głową, a w jej oczach zalśniły łzy.

- Nie kochali mnie. Kochali swobodę bycia ze mną: przypominałam im młodość, czasy, zanim się ożenili i kiedy nie mieli dzieci, hipoteki, zobowiązań. Przez kilka godzin lub dni byli ze mną, wolni, jakby zamknięci w małej mydlanej bańce egoizmu.

Wstała, a Robert wraz z nią.

- Chciałabym, żebyś to przemyślał. Jeśli odejdziesz od Kathy i zostaniesz ze Stephanie - o ile będzie cię jeszcze chciała-jak myślisz, jak długo będzie wam tak wspaniale?

- Rozumiem, co masz na myśli.

Maureen obeszła stół i położyła dłoń na ramieniu Roberta.

- Wiesz, czasem romans to dobra rzecz. Oczyszcza atmosferę, zmusza dwoje ludzi, żeby przewartościowali swoje życie i zastanowili się, co poszło nie tak. Znam małżeństwa, które przetrwały romanse i wyszły z tego jeszcze silniejsze.

Maureen spojrzała w zmartwione oczy Roberta. Czy tego właśnie chcesz, Robercie?

- Ja... nie wiem, czego chcę. Kocham Kathy. Ale kocham też Stephanie.

Maureen odwróciła się, żeby nie widział wyrazu obrzydzenia na jej twarzy i zaczęła stawiać kubki na tacy.

- Czas wybrać. Choć z tego, co mówisz, wnioskuje -dodała z cynicznym uśmiechem - że Stephanie może już nie chcieć być z tobą.

Rozdział 20

Samochody jadące w stronę lotniska stały w korku na autostradzie.

Robert siedział w aucie i patrzył na startujący samolot. Chciałby teraz w nim siedzieć, wyjechać gdzieś na święta, na jakąś ciepłą plażę, bez żadnych zmartwień. Uśmiechnął się kwaśno. Może w przyszłym roku. Uśmiech zbladł. Co przyniesie przyszły rok? Gdzie będzie o tej porze za dwanaście miesięcy? Wciąż z Kathy? Ciągłe w branży? Kilka następnych godzin i dni zdeterminuje całą jego przyszłość.

I Stephanie. Co się z nią stanie? Powinni jeszcze przecież porozmawiać o tylu sprawach. Ich związek nie może się zakończyć tak szybko, tak nagle. Zaledwie kilka dni temu oświadczył się. Zamierzał odejść od żony i zacząć nowe życie ze Stephanie, a ona miała być szczęśliwa... Ale to było, zanim jeszcze dowiedziała się, że Kathy wciąż go kocha. To odkrycie zmieniło wszystko.

Musiał porozmawiać ze Stephanie. Wyciągnął swój XDA2 i wcisnął szybkie wybieranie numeru jej stacjonarnego telefonu. Był prawie pewien, że ciągle jest w domu. Po czterech sygnałach włączyła się sekretarka. Może Stephanie miała identyfikację numeru dzwoniącego? Nie-

dawno nagrała nową wiadomość powitalną, na której mówiła pogodnym, wesołym, nieco pijanym głosem:

- Wesołych Świąt, Wesołych, Wesołych! Zostaw wiadomość.

- Stephanie... - zaczął i odczekał chwile, żeby zdążyła odebrać. -

Stephanie, jesteś tam? To ja.

Nie odpowiadała.

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Muszę z tobą porozmawiać... Proszę, oddzwon. Jestem w samochodzie.

Gdzie ona się podziewa? Nagle przyszła mu do głowy okropna myśl, aż przeszył go dreszcz. Mój Boże, może Kathy ciągle tam jest? Trzęsącymi się palcami wcisnął klawisz szybkiego wybierania komórki żony.

Odebrała po dwóch sygnałach i poczuł ulgę, kiedy usłyszał odgłosy samochodów. Była w aucie. Tak?

- Cześć... Zastanawiałem się tylko... czy wszystko dobrze.

- W porządku.

- Gdzie jesteś?

- Na rondzie przed Swords. A ty?

- Przy lotnisku. Zatrzymałem się po drodze, żeby dać Maureen jej świąteczną premię.

- To dobrze.

- Mówiła, że z nią rozmawiałaś. -Tak.

Robert ze złością ścisnął kierownicę. Wiedziała, że zbywając go półsłówkami, zdenerwuje męża.

- Jak się czujesz? - zapytał pokornie.

- A jak mam się czuć, Robercie? - warknęła Kathy. -Właśnie widziałam się z kochanką mojego męża. Dowiedziałam się kilku paskudnych rzeczy. Porozmawiamy później.

Rozłączyła się.

Robert jechał dalej. Kiedy już minął korek przy lotnisku, ruch odrobinę zelżał. Musiał jeszcze zatrzymać się na chwilę w Pavillions w Swords, żeby wybrać prezent dla Kathy. Kilka tygodni szukał czegoś właściwego dla Stephanie, ale żonę zostawił na ostatnią chwilę. Jak zawsze. Było w tym coś znaczącego.

Gdzie jest Stephanie? Przecież nie zdażyłaby nigdzie wyjść. Wcisnął kolejny klawisz w telefonie, tym razem szybkie wybieranie jej komórki. Odebrała po dwóch sygnałach.

Tak? - głos w słuchawce był stłumiony i przez chwilę Robert myślał, że pomylił numer.

- Stephanie? Stephanie, to ty? - słyszał jakieś hałasy w tle, czyjeś głosy, stukot. Gdzie ona jest? - Steph...

Rozłączyła się.

Cholera! Wcisnął ponowne wybieranie. Od razu przełączyło go na pocztę głosową.

- Dodzwoniłeś się do Stephanie Burroughs. Zostaw nazwisko, numer telefonu i krótką wiadomość, to oddzwonię. Dziękuję.

- Stephanie? Stephanie, tu Robert. Słuchaj, musimy porozmawiać.

Musimy. O dzisiejszym dniu. O nas. O wszystkim. Oddzwoń, proszę. Jestem pod komórką.

Robert rozłączył się i westchnął, zrezygnowany. Czemu życie nie może być prostsze? Kiedyś, dawno temu, był taki czas, kiedy świat wydawał się dużo mniej skomplikowany, a on sam nie miał zmartwień, nie miał kłopotów... i oczywiście nie miał też żony, dzieci ani hipoteki. Może powinien przyznać Maureen rację: może czas spędzany ze Stephanie przypominał mu to, co stracił. Był wolny: nie musiał nikogo utrzymywać, spłacać długów, nie posiadał zmartwień. Potem się ożenił. Ślub był kosztownym cyr-

kiem, który spłacali przez pierwsze dwa lata małżeństwa. Zalegali ze spłatą hipoteki za pierwszy dom, firma cienko przedła, a potem pojawiły się dzieci. Czas mijał, i wcale nie było łatwiej: coraz większy stres, a rachunki coraz wyższe. Przez ostatnie osiemnaście lat robił, wszystko, żeby mogli żyć na tym samym poziomie.

Nie mógł jednak powiedzieć, że wszystko było złe. Miewali szczęśliwe chwile, nawet sporo, ale coraz trudniej było mu o nich pamiętać. Została tylko nieustająca harówka i ciągły wysiłek, żeby przetrwać. I frustracja, że musi robić to sam, a Kathy wycofuje się z interesów, zostawiając męża samemu sobie. Oczywiście wiedział, że to ona wychowuje dzieci i prowadzi dom, ale przynajmniej nie musiała się martwić o to, skąd wziąć następne zlecenie. Nie spędzała codziennie półtorej godziny rano i wieczorem w drodze do i z miasta, nie martwiła się o VAT i składki na ubezpieczenie. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spytała go o firmę - była zdziwiona nawet tym, że Maureen jest na zwolnieniu. A on wiedział - po prostu wiedział - że wspomniał o tym żonie, choć ona twierdziła inaczej. Na domiar złego musiał zatrudnić stażystkę, której ojczystym językiem nie był bynajmniej angielski. A przecież Kathy powinna mu pomóc...

Robert westchnął głęboko i próbował rozmasować bolący kark. Poruszał głową na boki i podniósł ramiona, słysząc, jak strzelają mu mięśnie. Właściwie, jeśli miał być szczery - zupełnie szczery - zatrudnił stażystkę, zanim powiedział Kathy o chorobie Maureen. Bardzo nie chciał, żeby żona pracowała w biurze, w którym przecież spotykał się z kochanką. Za rondem przy lotnisku ruch był niewielki, więc Robert przycisnął pedał gazu. Musiał dotrzeć do centrum handlowego przed zamknięciem.

Zdai sobie sprawę, że dostał drugą szansę.

Móg! zacząć nowe życie z Kathy. Odbudować ich związek - z czystą kartą - i spróbować jeszcze raz. Kathy chciała zmian? Cóż, on także.

Kathy powiedziała, że przyjmie go z powrotem, ale bez wątpienia postawi jakieś warunki. Choć przecież on może także wysunąć swoje.

Może i miał romans, ale Kathy jest tak samo winna całej sytuacji.

Oczywiście żona będzie postrzegać wszystko po swojemu, ale Robert zamierza! jej przypomnieć, że oskarżyła go o romans wtedy, kiedy był całkowicie niewinny. Straciła zaufanie do męża, kiedy on próbował tylko ciężko pracować, by utrzymać rodzinę.

Zjechał z głównej drogi na parking przy Payillions. Myślał, że o tej porze w Wigilię będzie tu tioczno, ale ze zdziwieniem stwierdzi!, że jest zupełnie odwrotnie. Zaparkował, wyłączył silnik i siedział chwilę, opierając głowę o kierownicę. W głowie miał zamęt, kłębiły mu się tam najróżniejsze myśli, aż w końcu poczuł mdłości.

Nie, to nie była wina Kathy.

Miał romans. To był jego wybór. Jego decyzja. Było tchórzostwem choćby sugerować, że żona w jakiś sposób zmusiła go do zdrady. To okoliczności, sytuacja, możliwość zachęciły go do zainicjowania romansu.

I nie mógł zaprzeczyć, że był w nim bardzo szczęśliwy. Szczęśliwszy niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat z Kathy.

Rozdział 21

Im bardziej Robert zbliżał się do Swords, tym bardziej był zdenerwowany, a kiedy skręcił w osiedle i na

drogę prowadzącą do domu, w gardle wyrosła mu wielka gula. Był przestraszony, nawet przerażony tym, co miało przynieść kilka następnych godzin.

Przez całe popołudnie temperatura spadała, a pod wieczór zrobiło się mroźno, szczególnie przez chłodny wschodni wiatr. Drogi i ulice błyszczały od lodu, a meteorolodzy zapowiadali lekkie opady śniegu, które miały sprawić, że Boże Narodzenie będzie białe.

Każdy dom w małej dzielnicy aż jarzył się od lampek. Wielu mieszkańców przyswoiło amerykański zwyczaj dekorowania domów, a niektórzy poszli na całość, mocując na dachach Mikołajów i wielkie sanie w ogrodzie: wszystko upstrzone jaskrawymi, bajkowymi światłami. Na szczęście większość poprzestała na świetlnych kurtynach zwisających pod dachami lub obwinieciu lampkami choinek.

W porównaniu do sąsiednich dom Walkerów wyglądał bardzo ponuro: na froncie i w ogrodzie nie świeciła się ani jedna lampka. Tyłko zasłony w salonie były odsłonięte i choinka, udekorowana świecidełkami i błyszczącymi ozdobami, wyglądała bardzo bożonarodzeniowo. Robert zwolnił, czując, jak potężne audi ślizga się i skręca na śliskiej drodze. Potem zatrzymał się: skoda Kathy stała na podjeździe, a za nią, zaparkowany pod dziwacznym kątem, zajmując całe wolne miejsce, stał wielki SUV Julii, starszej siostry Kathy.

Przyjechała bez okazji, czy wezwała ją Kathy? Nie, to niemożliwe, by poprosiła siostrę o wizytę i moralne wsparcie. Robert potrząsnął głową. Wyprostował koła i zaparkował przy krawężniku. Nie, Kathy nie chciałaby, by Julia - od dwudziestu siedmiu lat idealna żona idealnego męża - wiedziała o ich problemach.

Cicho wszedł do domu i stanął w holu z głową zwieszoną na bok, nasłuchując. W salonie grał telewizor; chyba nadawali jakiś teleturniej, bo Robert słyszał ściszone

głosy Brendana i Theresy, którzy komentowali wygląd kolejnych uczestników. Otworzył drzwi do salonu i zajrzał do środka.

- Cześć - powiedział cicho.

- Cześć, tato - odpowiedzieli równocześnie, nie podnosząc wzroku. Gapili się w telewizor: Brendan rozciągnięty na kanapie, a Theresa na podłodze, z brodą opartą na dłoniach.

- Ciotka Julia przyjechała? - rzucił pytanie w przestrzeń.

- Jest w kuchni, z mamą - odparła Theresa. - Mama prosiła, żebym wyszła, więc pewnie roztrząsają jakiś problem.

Żołądek Roberta zwinął się w supeł. Może pomylił się co do Kathy - znowu! Może zadzwoniła do siostry, prosząc o wsparcie. Jeśli tak było, miał poważne kłopoty: wiedział, że Julia go nie lubi.

- Ściszcie trochę, proszę - powiedział, wychodząc z pokoju. Wziął głęboki oddech, ułożył usta w coś na kształt uśmiechu i wszedł do kuchni.

- Cześć, Julio - oświadczył miłym tonem, choć spojrzenie skierował na żonę.

- Julia właśnie opowiada mi o Sheili - odparła natychmiast Kathy, a w jej oczach nie dostrzegł żadnych emocji. Przynajmniej oznajmiła, że obecność Julii nie ma nic wspólnego z ich sytuacją osobistą. Sheila była najmłodszą z trzech sióstr.

Robert poczuł wielką ulgę. Obszedł dokoła stół i opierając się o zlew, spytał:

- Wszystko u niej w porządku?

- Ma romans z żonatym mężczyzną - powiedziała Julia pospiesznym, nerwowym tonem, po czym zamilkła, czekając na reakcję.

- No i? - Robert zmarszczył brwi. Co to ma wspólnego z nami? Spojrzał na Julię, później na Kathy, a potem znów na swoją szwagierkę. Julia Taylor była pięć lat starsza od Kathy, a wyglądała dziesięć lat starzej. Niska i niezbyt sympatyczna, ubierała się w identyczne poważne spódnice i swetry, jakie nosiła ich zmarła matka. Po jej śmierci Julia przejęła matczyzny nadzór nad siostrami.

- No tak, powinnam była się domyślić, że nie zrozumiesz - powiedziała zirytowana Julia. - Jak każdy facet - odwróciła się, by spojrzeć przez stół na Kathy i odezwała się do niej: - Dzwoniłam dzisiaj do Sheili, żeby potwierdzić, czy przyjdzie na obiad w dzień Świętego Stefana. Powiedziała, że tak, ale pod jednym warunkiem: że będzie mogła przyprowadzić swojego obecnego faceta. Ucieszyłam się, oczywiście. Sheila ma trzydzieści pięć lat, najwyższy czas, żeby się ustatkowała, a jeśli chce mieć dzieci, to zegar tyka.

Julia odetchnęła głęboko i oblizała usta. Rzucając spojrzenie Robertowi, mówiła dalej do Kathy:

- Okazało się, że jej chłopak nie jest już wcale chłopakiem: jest starszy od Sheili o pięć lat.

Robert odwrócił się do zlewu i zaczął napełniać czajnik. Wiedział, co myśli Kathy: Stephanie była młodsza od niego o siedem lat.

- A potem powiedziała mi, jak on się nazywa - ciągnęła Julia. - Allen McLachlan. I pomyślałam, że znam to nazwisko. Nie jest zbyt popularne. Więc mówię jej: „Znam jednego Allena McLachlana, gra z moim Benem w golfa”

Julia triumfująco pokiwała głową. - A wtedy ona odpowiedziała, że chyba wcale nie przyjdzie w czwartek.

Patrząc na odbicie Julii w kuchennym oknie, Robert spytał:

- A dlaczego podejrzewasz, że on jest żonaty? Julia westchnęła.
- Bardzo chciała, żebym poznała tego Allena, dopóki nie dowiedziała się, że mogę go znać. To nie jest częste nazwisko, a ten Allen McLachlan, którego zna Ben, przechwalał się, że ma kogoś na boku. Dodałam dwa do dwóch: musiało chodzić o Sheilę.

- Dublin jest taki mały - szepnęła Kathy. - Każdy zna kogoś, kto zna kogoś innego.

Robert włączył czajnik, nie wiedząc, czy żona mówi do niego.

Pomyślałam chwilę - mówiła dalej Julia - i oddzwoniłam do niej.

- Żartujesz! - oburzyła się Kathy.

- Naprawdę.

- To nie twoja sprawa.

- Cóż, możesz tak myśleć, ale mnie się wydaje, że jest odwrotnie. Nie chcę cudzołóżnika przy moim stole.

- To trochę staroświecki pogląd jak na dzisiejsze czasy - ostrożnie odparł Robert.

Julia spojrzała na niego chłodno:

- Nie sądzę. Zadzwoiłam do niej. Spytałam wprost. I wiecie, co ona miała czelność mi odpowiedzieć?

- Że to nie twoja sprawa - warknął Robert, nie próbując nawet ukryć irytacji.

Kathy spojrzała na niego, zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

- Nie - odpowiedziała Julia, nie zwracając uwagi na jego ton. - Przyznała się. Prosto z mostu. Allen McLachlan jest żonaty. Więc ja powiedziałam od razu, że nic będzie mile widziana w moim domu w Świętego Stefana.

- A dlaczego mi to mówisz? - spytała Kathy. Julia spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Bo... Bo...

- To jest sprawa Sheili. I tylko jej - ciągnęła Kathy, zaskakując Roberta. - To, z kim się spotyka, nie ma nic wspólnego z tobą czy mną.

- On jest żonaty! - zaprotestowała Julia. - Sheila rozwala szczęśliwe małżeństwo.

- A skąd to wiesz? - spytała Kathy. - Skąd wiesz, że to małżeństwo jest szczęśliwe?

Chyba po raz pierwszy w swoim życiu Julia była tak zaskoczona, że milczała.

Do romansu potrzeba trojga mówiła Kathy. - Kochanki, męża i żony. Dopiero przez działanie tych trzech osób może zacząć się romans.

Julia odepchnęła krzesło i wstała:

- Cóż, nie takiej reakcji spodziewałam się po tobie. I nie wiem, skąd bierzesz te dziwaczne pomysły - pewnie z gazet, które bezustannie czytasz. Żony w takich sytuacjach są zawsze niewinne i zawsze dowiadują się ostatecznie. Nic wiem, czemu te kobiety - te kochanki - tak polują na żonatyh facetów. Naprawdę nie wiem!

Podniosła płaszcz z krzesła i włożyła go. Nie mogła się jednak oprzeć i, spoglądając na Roberta, dodała:

- Mam nadzieję, że nie będziesz musiała przechodzić przez to, co przeżywa teraz biedna żona Allena McLa-chlana.

Potem, błędnie interpretując wyraz twarzy Kathy i Roberta jako złość, ciągnęła pospiesznie:

- No cóż, chyba nie wyszło tak, jak chciałam. Przykro mi. Nie miałam zamiaru sugerować, że...

Zawstydzona, odwróciła się w stronę wyjścia, mówiąc:

- Sama wyjdę.

Zanim wyszła z kuchni, dodała jeszcze:

- Przyjdziecie na obiad w Świętego Stefana, prawda?
- Damy ci znać - zdecydowanie odpowiedział Robert, zanim Kathy zdążyła zareagować. - Dobranoc, Julio. I Wesołych Świąt.

Rozdział 22

W ciszy, która zapadła po wyjściu Julii i trzaśnięciu frontowych drzwi, oboje wyraźnie usłyszeli dźwięk blachy ocierającej o kamień.

Zahaczyła o skrzynkę pocztową - powiedział Robert, nie potrafiąc ukryć złośliwego uśmiechu. Nalał wodę z czajnika do imbryka i spojrzał przez ramię na także rozbawioną Kathy.

- Zaparkowała pod takim kątem - tłumaczył - że nawet ja nie potrafiłbym wyprowadzić tego wielkiego SUV-a z podjazdu, nie uderzając w coś przy okazji.

Postawił dzbanek świeżej herbaty na stole i usiadł na krześle, naprzeciw Kathy. Milcząc, nalał jej filiżankę.

- Myślę, że kilka dni temu zareagowałabym inaczej - cicho odezwała się Kathy. Ale kiedy stajesz się częścią romansu, zaczynasz postrzegać różne rzeczy zupełnie inaczej.

- Wiedziałaś? - spytał Robert, żeby nawiązać rozmowę. - O Sheili - dodał szybko. Choć właściwie zupełnie nie obchodziło go życie najmłodszej z trzech sióstr.

Kathy trzymała filiżankę w obu dłoniach. Spojrzała na parujący płyn.

- Powiedziała mi w poniedziałek. Siedziałyśmy w jej samochodzie pod siłownią przy M50. Siedziałam i patrzyłam, jak mój mąż całuje inną kobietę.

Podniosła wzrok. Na jej twarzy Robert dostrzegł gniew. Instynktownie odsunął się, przestraszony, że zaraz rzuci mu w twarz filiżankę. Najwyraźniej pomyślała o tym samym, bo ostrożnie odstawiła ją na spodek.

- Zadzwoiłam do ciebie - powiedziała prawie szeptem. - Siedziałam w samochodzie kilka jardów od was i zadzwoniłam.

Robert pokiwał głową, przypominając sobie tę rozmowę. Stał na parkingu, chwilę wcześniej rozmawiał ze Stephanie o dzieciach, a potem pochylił się i pocałował ją namiętnie. Czuł, jak czerwieni się i zaczyna pocić.

- Zapytałam, o której będziesz w domu - ciągnęła Kathy.

Robert znów skinął głową. Myśl o tym, że śledziła go, jeździła za nim, szpiegowała, była porażająca, denerwująca. To była Kathy, której nie znał.

- Powiedziałeś, że właśnie wyjeżdżasz z biura i będziesz w domu za czterdzieści minut - Kathy nagle wstała, zaskakując go. Wstawiła filiżankę do zlewu i zaczęła sprzątać ze stołu.

- Od jak dawna... od jak dawna wiesz? - spytał w końcu. - O nas? O mnie?

- Od niedawna. Czemu pytasz? Myślisz, że mogłabym udawać, że nie wiem o romansie mojego męża? - głos Kathy był spokojny, rozsądny, nawet nonszalancki. Wyciągnęła z półki książkę kucharską i przeglądała ją, aż znalazła potrzebny przepis.

- Nie. Nigdy tak nie myślałem - przyznał Robert. Rozkładając książkę na stole, Kathy przeczytała recepturę, a potem zaczęła gromadzić składniki do nadzienia indyka.

- Może usiądziesz i porozmawiasz ze mną? - poprosił Robert. Bezustanne kręcenie się po kuchni, banalność jej ruchów, tak bardzo kontrastowały z zupełnie nienatural-

ną rozmową, że cała sytuacja wydawała mu się niemal surrealistyczna, jak sen.

Kathy zignorowała jego prośbę.

- Domyśliłam się w zeszły czwartek, kiedy pisałam kartki świąteczne. A kiedy zaczęłam coś podejrzewać, łatwo było poskładać wszystko do kupy. W twoim biurze znalazłam mandat za przekroczenie prędkości. Złapali cię w Ballymun w październiku... a miałeś wtedy być w Belfaście, na kolacji z klientem.

Robert skoncentrował się na dodawaniu cukru do herbaty. Nie był pewien, ile już wsypał tam łyżek, ale nie miało to znaczenia. W gardle znów poczuł wielką gulę i wiedział, że i tak nic nie przełknie.

Kathy wyciągnęła mikser z szafki pod zlewem i podłączyła go do kontaktu. Otworzyła kolejną szafkę, z której wyjęła plastikową torebkę z suchym pieczywem zbieranym przez ostatnich kilka dni. Zaczęła wrzucać chleb do miksera, krusząc go na kawałki. Kiedy ostrza obracały się, rozmowa była niemożliwa, ale gdy tylko Kathy skończyła i wyjęła okruchy, odezwała się:

- Potem przypomniałam sobie inne noce, kiedy byłeś poza domem, spotykałeś się z klientami, piłeś z nimi, jadłeś kolacje... i wiesz co? Nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy podpisałeś z nimi choć jedną umowę. Miałeś jeść kolację z Jimmym Moranem u Shanahana na Green w zeszłym tygodniu. Zadzwoiłam, żeby to sprawdzić. Nie mieli twojej rezerwacji.

- Właściwie to miałem... - zaczął Robert, ale zamilkł. Nieważne, co powie, Kathy i tak mu nie uwierzy - bo i czemu by miała? Straciła do niego zaufanie i wszystko, co powie, wyda się jej podejrzane.

Kathy włożyła kolejne kawałki chleba do miksera, ostrza zawirowały i zatrzymały się.

- A potem znalazłam bilingi telefoniczne w biurze. Odwróciła się, by spojrzeć na męża.

- Setki rozmów, Robercie. Setki. Pierwsza rozmowa rano. Ostatnia wieczorem. Wszystkie na ten sam numer komórkowy albo ten sam telefon stacjonarny. I od razu przypomniałam sobie te wszystkie poranki, kiedy wychodziłeś z domu bez słowa, dni, kiedy byłeś zbyt zajęty, żeby zadzwonić i spytać, jak się czuję; dni, kiedy wracałeś późno, a ja byłam już w łóżku. Mijały całe tygodnie, a my odzywaliśmy się do siebie ledwie słowem. Jednak znajdowałeś czas, żeby dzwonić do swojej kochanki kilkanaście razy dziennie, każdego dnia.

- Maureen mówiła mi, że znalazłaś bilingi - wymamrotał.

- Potwierdziła tylko to, co już wiedziałam. Podała mi daty. Mówiła, że to się toczy od roku. Stephanie powiedziała, że od osiemnastu miesięcy.

Jaka jest prawda?

Skinął głową.

- Czerwiec zeszłego roku... wtedy był pierwszy raz.

- Pierwszy raz czego? - warknęła.

Roberts spojrział przez ramię w stronę salonu, gdzie głosy dzieci zagłuszały dźwięk telewizora.

- Może porozmawiamy gdzieś na osobności?

- W tej chwili to jest najbardziej odosobnione pomieszczenie w domu.

Jeśli pójdziemy na górę, dzieci nabiorą podejrzeń, że pakujemy prezenty, i będą tam w pięć minut. Teraz myślą, że przygotowujemy nadzienie do indyka, a to ich nie interesuje.

Robert wstał, obszedł stół i stanął obok Kathy.

- Pomóc ci?

Nie odparła tylko. Odwróciła się do miksera. - Nie wiem, co z nami będzie, Robercie. Minie dużo czasu, zanim zaufam ci ponownie... Dużo czasu, zanim będę mogła spojrzeć na ciebie, nie czując obrzydzenia.

Wyciągnął dłoń, by jej dotknąć, ale odsunęła się.

- Zostaw! - krzyknęła. Robert opuścił rękę.

- Przepraszam - powiedział. - Wiem, że to banał, ale nigdy nie chciałem cię zranić. Musisz mi uwierzyć - nic miałem takiego zamiaru.

Oparł się o blat, złożył ramiona i rozglądał się po kuchni. Nagle zaczęła mu się jawić jako zupełnie nowe pomieszczenie: papiery, gazetki z supermarketów, ulotki reklamujące kominiarzy, prośby o wsparcie przyklejone do korkowej tablicy, nieotwarta poczta na blacie, nowy kalendarz powieszony pod tegorocznym.

- Pozwoliłem sobie na ten związek...

- Romans! - krzyknęła Kathy. Nazwij to po imieniu, to był romans, a ty jesteś cudzołóżnikiem!

Robert odetchnął, nagle boleśnie świadomy, że musi starannie dobierać słowa.

- Zacząłem romans ze Stephanie w czerwcu zeszłego roku. Byłem samotny, Kathy, bardzo samotny. Chciałem mieć z kim porozmawiać, wyzalić się, potrzebowałem kogoś, kto będzie się mną interesował. Próbowałem rozmawiać z tobą już nie wiem, ile razy. Ale ty nie chciałaś. Nigdy nie spytałaś, jak stoją sprawy, wydawałaś się zupełnie niezainteresowana tym, jak mozolnie, dzień po dniu, próbuję utrzymać firmę na powierzchni. Nie jestem pewien, czy w ogóle byłaś świadoma jakie mieliśmy problemy. Byliśmy blisko, bardzo blisko, pójścia na dno. Kathy przeszła obok Roberta, żeby wyjąć z lodówki grube kiełbasy z mielonym mięsem.

- Byłem samotny - powtórzył Robert. Wiedział, że żona się porusza, ale nie patrzył na nią. - My już nie... nie kochaliśmy się wcale. Kiedy próbowałem, odwracałaś się do mnie plecami albo byłaś tak niechętna, jakbyś uważała

seks ze mną za obowiązek. W ogóle nie było ci przyjemnie. A wiesz, jak ja się czułem? Jak śmieć, właśnie tak. Nie znosiłem tego uczucia. Więc po jakimś czasie przestałem się w ogóle starać, przyznaję. Ale - i nie traktuj tego jak krytyki, to tylko stwierdzenie faktu - ty też się nie starałaś.

- Twierdzisz, że to moja wina, że znalazłeś sobie kochankę? - ze złością spytała Kathy.

- Nie westchnął. - Nie próbuję z tobą wygrać, chcę ci tylko pokazać, jak to się stało, że znalazłem się w tej sytuacji.

Podczas powrotnej jazdy do domu układał w głowie różne wersje rozmowy, którą teraz toczyli. Wyobrażał sobie, że siadają w salonie, późno wieczorem, bez załączonego telewizora, albo w jadalni, po obu stronach dużego stołu, albo na górze w sypialni, na dwóch krańcach łóżka. Nie sądził, że rozmowa odbędzie się w kuchni, a Kathy w tym czasie zajmie się napychaniem świątecznego indyka, jakby wszystko było w porządku.

- Pozwoliłem sobie na ten romans, Kathy, bo byłem pewien całkowicie, że już mnie nie kochasz.

Podniósł rękę, bo wydało mu się, że żona chce zaprzeczyć, i mówił dalej:

- Wiem. Mówię ci tylko, jak się czułem, jak postrzegałem te sprawy.

Kiedy dzisiaj stałaś w salonie Stephanie i powiedziałaś, że mnie kochasz, nikt nic był bardziej zdziwiony niż ja sam.

- Nigdy nie przestałam cię kochać - pospiesznie odezwała się Kathy.

- Nawet teraz? - spytał, próbując rozgonić ponury nastrój.

- Nie jestem pewna, co czuję do ciebie w tej chwili. Ale to, że stoimy tu teraz, po tym wszystkim, chyba coś oznacza.

- Co? - dociekał Robert.

- Że może ja też biorę na siebie część odpowiedzialności za to, co się stało odparła, zaskakując go. - Przestałeś mnie obchodzić. A jeśli małżeństwo ma przetrwać, obie strony powinny się sobą interesować. Ty przestałeś interesować się mną, a ja tobą.

- Czy coś by pomogło, gdybym przyznał, że bardzo, bardzo mi przykro? Kathy spojrzała na męża z boku:

- Przykro z jakiego powodu? Żałujesz, że miałeś romans?

- Żałuję, że sprawiłem ci ból i przysporzyłem zmartwień - ostrożnie odparł Robert. Właściwie nie żałował wcale swojego romansu, ale tego, że został przyłapany i musiał go zakończyć.

- Cóż, cieszę się, że wyznałeś mi prawdę - powiedziała spokojnie.

- Nigdy z rozmysłem bym cię nie skrzywdził - dodał Robert.

- A jednak to zrobiłeś, Robertcie. Zraniłeś mnie i upokorzyłeś. Minie sporo czasu, zanim ci wybaczę.

- Co z nami będzie? spytał.

Wydaje mi się, że mamy dwa wyjścia: możemy zostać razem, ustalić nowe zasady, zacząć jeszcze raz i poukładać nasze szanse. Albo mogę wystąpić o rozwód.

Co się stanie, jeśli Kathy wystąpi o rozwód? Jeśli będzie miała dobrego prawnika, Robert straci dom, kontakt z dziećmi, a może nawet firmę.

Nigdy nie zdawał sobie sprawy, że seks ze Stephanie Burroughs może mieć tak drastyczne konsekwencje.

- No dobrze, porozmawiamy o tym później, może jutro. Oboje jesteśmy zmęczeni i nie myślimy zbyt jasno. Przynajmniej ja nie.

Robert oblizwał wyschnięte wargi i zerknął na Kathy.

- Muszę cię o coś poprosić - dodał.

Zona spojrzała na niego z mieszaniną rozbawienia i pogardy na twarzy.

- Poprosić!

- Jeśli zdecydujesz, że mam odejść - zrozumieć, jeśli tak będzie - czy możemy przez jakiś czas nie mówić o tym dzieciom? Nie chcę im psuć Bożego Narodzenia.

- Nie zrobię tego - obiecała. - Spróbujmy przeżyć następnych kilka dni jak cywilizowani ludzie.

- Dziękuję - odparł szczerze.

- Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć, Robercie?

- O czym? - nie rozumiał.

- Że ode mnie odchodzisz.

- Jeszcze nie zdecydowałem - powiedział cicho. - Pewnie w weekend.

- Nie jesteś pewien.

- Nie jestem - przyznał.

- A mimo to Stephanie wydawała się przekonana, że powiesz mi zaraz po świętach, żebyście mogli razem spędzić Sylwestra.

- Tak, rozmawialiśmy o tym.

- A może chciałeś znaleźć jakąś wymówkę i zostać tutaj? - zgadywała Kathy.

- Kathy - odpowiedział zgodnie z prawdą. - Nie mam pojęcia, co bym zrobił. Ale tak, chciałem ci powiedzieć, że odchodzę, pewnie w sobotę albo w niedzielę.

- Drań! - syknęła. Odepchnęła go. - Ty bezduszny, nieczuły draniu!

Robert odsunął się od niej i obszedł stół.

- Przepraszam, Kathy, naprawdę. Podjąłem tę decyzję, wierząc, że mnie nie kochasz. Zanim dowiedziałem się prawdy.

Kathy odwróciła się do indyka.

- Jeśli mamy odbudować nasze życie i nasz związek, musimy być z sobą szczerzy.

Spojrzała w górę, widząc odbicie męża w oknie i dodała:

- Będiesz ze mną szczerzy, Robercie? Możesz mi to obiecać?

- Tak. Mogę - odpowiedział.

- W takim razie obiecaj mi jeszcze coś.

- Co tylko zechcesz.

- Musisz przysiąc - że będziesz się trzymał z dala od tej kobiety.

- Dobrze - odpowiedział szybko. - Zresztą myślę, że po dzisiejszym dniu nie będzie chciała mnie znać.

Kiedy zrozumiał, że Kathy już się nic odezwie, odwrócił się i wyszedł.

Przeszedł przez hol i wszedł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Kiedy wszedł do gabinetu, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Potem oparł się plecami o drzwi i osunął na podłogę.

To był dzień, którego szybko nie zapomni. Dzięki Bogu, że już się skończył. Najgorsze za mną, pomyślał.

Rozdział 23

Gdy Robert spojrział na biurko, stwierdził, że papiery leżały idealnie poukładane: Kathy najwyraźniej była bardzo ostrożna. Przejrzał stos kartek, aż znalazł mandat. To był standardowy kwit, dwa punkty karne za jazdę trzydzieści sześć mil na godzinę na odcinku, gdzie obowiązywało ograniczenie do trzydziestu, w Ballymun, trzydziestego pierwszego października, o dwudziestej trzeciej dwanaście.

Pamiętał tamtą noc i białego policyjnego vana z przyciemnianymi szybami zaparkowanego przy drodze, którą pędził. Jak na ironię, naprawdę spotkał się wtedy z klientem w Belfaście i miał zamiar spędzić noc w mieście, a wrócić następnego dnia rano. Ale już po piętnastu minutach rozmowy zorientował się, że potencjalny klient marnuje tylko jego czas. Nic pierwszy raz zresztą. Robert zakończył spotkanie grzecznie i szybko, odwołał rezerwację stolika i pojechał z powrotem do Dublina. Skręcił z M1 i kierował się w stronę Swords i domu, kiedy pod wpływem impulsu wziął telefon i zadzwonił do Stephanie, pytając, czy chce, żeby spędził z nią noc. Powiedziała „tak”. Zawsze mówiła „tak”. Przejechał więc przez Swords, a potem skierował się na drogę prowadzącą w stronę lotniska. Na dwupasmówce był wypadek, więc objechał lotnisko obwodnicą, kierując się w stronę Santry, a potem skręcił w prawo, jadąc wzdłuż pasa startowego. Potem zjechał w lewo, w Ballymun, gdzie czekała go pułapka. Nie mógł pracować bez samochodu, a koszt ubezpieczenia był i tak bardzo wysoki - karne punkty jeszcze go podniosły. Pragnął jednak być jak najszybciej u Stephanie i przekroczył dozwoloną prędkość.

Przejrzał teraz pozostałe papiery, ale nie znalazł nic innego, co mogłoby go zdradzić. Co prawda leżał tu wyciąg z MBNA, ale opiewał tylko na służbowe wydatki. Spojrzał na drugą stronę wyszczególnionych operacji i zmarszczył czoło. Hm, czy Kathy czytała tę listę? Były tu trzy transakcje, które mogły ją zaciekawiać. Rachunek z telezakupów QVC, kwiaciarni i restauracji Biała Orchidea. Mógłby zarzekać się, że to wydatki firmowe... ale Kathy raczej mu nie uwierzy, Maureen miała rację: był chciwy. Powinien był płacić za swoje „romanse” -uśmiechnął się ponuro na tę dwuznaczność - wyłącznie gotówką. Nigdy nie myślał, że ktoś może go zdemasko-

wać; nie wyobrażał sobie, że Kathy przyjdzie tu, szukając dowodów. Jak dużo wiedziała?

Spojrzał na trzymany w ręku wyciąg. Wątpił, czy go zauważyła: gdyby tak było, nie omieszkaby wspomnieć o nim w rozmowie. Oderwał drugą stronę wyciągu i już miał ją włożyć do niszcarki, kiedy przyszło mu do głowy, że dźwięk może zaalarmować Kathy. Zdziwi się, że jej mąż niszczy dokumenty w Wigilię. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, dlaczego.

Robert wstał i otworzył szafkę z papierami, po czym wepchnął kartkę do folderu oznaczonego napisem „Urząd Skarbowy”. Kathy nigdy jej tutaj nie znajdzie, myślał, a kiedy tylko dom będzie pusty, zniszczy tę listę, tak jak inne dowody, które mogłaby znaleźć żona.

Ile udało jej się dowiedzieć? Miał zamiar powiedzieć żonie prawdę, całą prawdę i tylko prawdę... albo tyle, ile będzie musiał jej powiedzieć. Na pewno nie przyzna się, że poprosił Stephanie o rękę. Chciał tylko potwierdzić to, czego się do tej pory dowiedziała, w ten sposób nie wyrządzi jej już więcej krzywdy.

Robert rozejrzał się po pokoju, zmierzył wzrokiem drukarki, faksy, skanery, duży stacjonarny komputer, zestaw do montażu i rząd szafek na dokumenty zajmujących lewą ścianę. Wszystko miało związek z pracą. Nie było tu nic osobistego - nic obciążającego.

A komputer?

Robert przebiegi palcami po krawędzi monitora. W tym komputerze nie było nic ciekawego. Służył wyłącznie do prowadzenia spraw firmowych. Nie było w nim żadnych e-maili ani romantycznych listów, które Kathy mogła połączyć ze Stephanie. Poza tym zabezpieczył maszynę hasłem, którego żona nie знаła. Kiedy wy-

sylał e-maile do Stephanie, zawsze używał konta internetowego albo komórki, a gdy rozmawiali na czacie, nigdy nie zapisywał nazwy użytkownika. Laptop także był czysty, o ile Robert dobrze pamiętał. Później go sprawdzi, Ale przecież też jest chroniony hasłem.

Robert usiadł i odpalił komputer. Wpisał swoje hasło: 10101962 datę własnych urodzin. Kiedy naciskał klawisze, zdał sobie sprawę, że Kathy z łatwością mogłaby złamać ten „szyfr”, gdyby chwilę się zastanowiła. Powinien je zmienić.

Szybko sprawdził pocztę elektroniczną. Dużo reklam, oferta od jakiegoś Nigeryjczyka proponującego, że podzieli się pięćdziesięcioma dwoma milionami dolarów, promocja viagry i roleksów oraz kilka listów od klientów z życzeniami Wesołych Świąt. Nic od Stephanie.

Wyciągnął telefon i zadzwonił na jej komórkę, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Ściszył głos i powiedział:

- Stephanie, to ja. Proszę, zadzwoń do mnie, jak odsłuchasz tę wiadomość. Chcę tylko zamienić kilka słów o tym, co się dziś stało. I o nas. Porozmawiaj ze mną. Proszę.

Gdzie ona jest?

Wątpił, by Stephanie miała jakieś plany na wieczór. Wspominała, że jej przyjaciółka Sally dziś się zaręczy, ale to była prywatna uroczystość.

Robert zadzwonił na stacjonarny telefon i nagrał się:

- Stephanie? To ja ...muszę z tobą porozmawiać. O dzisiejszym dniu. O nas. O przyszłości. Wiem, że jesteś zła, ale proszę, zadzwoń do mnie, daj znać, że wszystko w porządku.

Powoli zaczynał się martwić. Gdzie ona jest? Dlaczego nie odbiera? Spojrzał na zegarek. Spróbuje jeszcze raz za kilka godzin.

Rozdział 24

Robert otworzył drzwi wejściowe i wdychał lodowate nocne powietrze. Było tak zimno, że aż zapiekło go w nozdrzach. Wcześniej tego wieczoru padało, spadła odrobina śniegu, ale teraz niebo było zupełnie czyste, a gwiazdy świeciły wyraźnie i jasno.

- Wychodzisz? - głos Kathy zabrzmiał równie lodowato, a Robertowi wydało się, że słyszy w nim nutę pretensji... a może to tylko dręczyło go sumienie?

Chciałem zaparkować samochód - wyjaśnił. -Przedtem musiałem stanąć na ulicy.

Kuchenne drzwi zamknęły się i Robertowi wydało się, że Kathy rozmawia z kimś przez telefon.

Zatrzymał się, żeby spojrzeć po drodze na skrzynkę pocztową. Krawędź była urwana, a na słupie zobaczył kawałki niebieskiego metalicznego lakieru. Robert uśmiechnął się złośliwie: Julia musiała uszkodzić tylny błotnik i pewnie także tylne drzwi. Jej moralne wątpliwości będą kosztowały przynajmniej kilka setek. Robert wcisnął przycisk na pilocie, a światła audi zamrugały. Wsiadł i włączył silnik. Do przedniej szyby niczym pleśń przykleiły się kryształki lodu, więc pochylił się, by na nie spojrzeć, jak wtedy, kiedy był chłopcem. Przypomniawszy sobie bardzo wyraźnie pierwsze koszmarne Boże Narodzenie, kiedy ojciec odszedł z domu. Robert spędził Wigilię w swoim pokoju, siedząc przy oknie, ubrany, z kocem narzuconym na ramiona. Patrzył, modlił się i miał nadzieję, że ojciec i bracia wrócą do domu na święta. Nie wrócili, a Robert przesiedział tak całą noc, patrząc, jak delikatne i misterne kryształki lodu tworzą na szybie wzór, aż w końcu całkowicie zasłoniły noc.

Wjechał boksującymi kołami na podjazd, wyłączył zapłon i siedział w milczeniu, słuchając tykania silnika. Zaczynał rozumieć, że nic już nie będzie takie samo.

Gdy wysiadał z samochodu, zobaczył, jak poruszyła się zasłona w sypialni. Ciekawe, czy Kathy go obserwuje. Czy tak będzie od teraz wyglądało jego życie? Podglądane i szpiegowane? Poczł ukłucie złości. Nie, tak nie będzie. Kathy miała prawo być wściekła, ale przyznała przecież, że sama nie jest bez winy. Mówiła coś o zmianach, które chce wprowadzić... cóż, on też potrzebował zmian.

Otworzył bagażnik i wyjął kilka toreb z Dunnes i Carrig Donn. Ledwo zdążył do Pavillions przed zamknięciem, więc wybór prezentów dla żony okazał się dość ograniczony. W przyszłym roku zrobi zakupy wcześniej, obiecał sobie i zastanowił się: czy będzie jakiś przyszły rok?

Drżąc z zimna, pospiesznie podążył w stronę domu.

Dzwonił trzeci raz. Ciągle nie odbierała.

Mniej więcej co godzinę próbował skontaktować się ze Stephanie. Od razu włączała się sekretarka albo poczta głosowa. Gdzie ona jest?

Zaczynał się bać. Stephanie zawsze wydawała się spokojna i rozważna, zupełnie nieskłonna do hysterii i emocjonalnych wybuchów. Była starszym account managerem w jednej z największych - jeśli nie największej - agencji reklamowych w Dublinie, której pracownicy oprócz milionowych kontraktów mieli również przero-śnięte ego. Stephanie nie wydawała się skłonna do nierozsądnych działań.

A jednak...

A jednak musiał przyznać, że od kilku tygodni wydawała się nieswoja. Wiedział, że nie chce spędzać samotnie

Bożego Narodzenia i kilka razy prawie się o to pokłócili, kiedy Stephanie naciskała na niego, żeby zostawił Kathy i jej poświęcił ten czas.

Robert pakował prezent bożonarodzeniowy dla Kathy - misternie zdobiony, piękny kręcony naszyjnik z białego złota z Carrig Donn i trzy jedwabne szaliki z Dunnes próbując przypomnieć sobie poprzednie święta. Wtedy także Stephanie była w kiepskiej formie. Spotykali się od pół roku i musiał przyznać, że te sześć miesięcy było najszcześniejszymi w jego życiu. Znow czuł się młody. Młody i aktywny. Miał atrakcyjną młodą kobietę, która interesowała się nim nie tylko jako mężczyzną, ale każdym aspektem jego życia - mógł z nią porozmawiać o interesach, snuć wspólne plany. A potem przyszły święta. Pierwszy poważny test dla ich związku.

Stephanie chciała, by Robert spędził z nią Wigilię, lecz on nie mógł. Chciała, żeby wpadł w Boże Narodzenie, ale nie udało mu się przyjechać ani wtedy, ani w Świętego Stefana, w Sylwestra, czy w Nowy Rok. Rozmawiali o tym wtedy wiele razy i wiedział, jak bardzo była nieszczęśliwa i samotna. Obiecała sobie, że już nigdy tak nie będzie. I teraz, rok później, znalazła się w jeszcze gorszej sytuacji. Przyszłość, którą zaplanowała Stephanie, legła w gruzach. Mężczyzna, który miał się do niej wprowadzić i z nią ożenić, odszedł, a ona znow została w święta sama. Widział już ten wyraz jej twarzy -rozpacz, zupełne rozbicie. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak Stephanie czuje się w tej chwili: zagubiona, samotna, porzucona, nieszczęśliwa.

Na pewno jest w domu... gdzie indziej mogłaby być? Ale jeśli tak, dlaczego nie odbiera telefonu? Podstępna i okrutna myśl. która od jakiegoś czasu krążyła Roberto-

wi po głowie, w końcu się zwerbalizowała. Stephanie nie zrobiłaby... nic głupiego, prawda?

Rozdział 25

Środa, 25 grudnia Boże Narodzenie

Dom był spokojny i cichy.

Dzieci poszły już spać, a Kathy krzątała się po swojej sypialni. Zabawne, zawsze myślał o tym pokoju jako o jej sypialni, nigdy ich czyjego. W domu zapadła zupełna cisza. Wyłączyli także ogrzewanie i zaczynało robić się chłodno.

Robert wyszedł z gabinetu i cicho skierował się na dół, idąc bezgłośnie w samych skarpetkach po grubym kremowym dywanie. Sprawdził frontowe drzwi, założył łańcuch, a potem przeszedł się po pokojach, wyłączając telewizory i lampki na choince. Zauważył, że Kathy położyła pod drzewkiem prezenty dla dzieci i zrobiło mu się trochę wstyd, że nie wie, co w tym roku dostaną oprócz książek, płyt i DVD.

Poszedł do kuchni, wyłączył mały telewizor i czajnik, a potem sprawdził tylne drzwi i zgasił światła. Stał w ciemnym pomieszczeniu, czekając, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Kuchnia wydawała się tonąć w mleczno-białej poświacie, a kiedy Robert podszedł do okna, zobaczył duże płatki śniegu, które spadały cicho, kręciły się i wirowały w ogrodzie, przykrywając jedną stronę drzew bielą, a drugą pozostawiając szarą i bezkształtną.

Boże Narodzenie będzie białe, uśmiechnął się, ale szybko spoważniał.
Gdzie jest Stephanie?

Ciągle stojąc w kuchni, wyjął komórkę i wcisnął ostatni wybierany numer. Tylko do niej dzwonił tego wieczoru. Znow włączyła się automatyczna sekretarka, więc Robert rozłączył się, nie zostawiając kolejnej wiadomości. Śnieg uderza! w szybę, przyklejał się do niej na chwilę, a potem rozpuszczał niczym lzy. Robert widział swoje odbicie w oknie - odbicie zmęczonego i rozbitego faceta.

Gdzie ona jest? Naprawdę był zmartwiony.

Może chciała utopić smutki w butelce wina, a teraz odsypia. To jednak zupełnie nie w jej stylu - Robert widział Stephanie lekko podchmieloną, ale nigdy pijaną - choć dzisiejsze wydarzenia nie były przecież całkiem normalne.

Może po prostu wyłączyła telefon. Pokręcił głową: nigdy się jej to nie zdarzało. Kiedyś nawet musieli przestać się kochać na chwilę, bo Stephanie chciała odebrać telefon od klienta.

A może jest w domu z komórką pod ręką i patrzy, jak po raz kolejny wyświetla się jego numer, ale ignoruje dzwonek? Wszedł w rozbudowane menu XDA i wybrał opcję „Ukryj numer”. Potem zadzwonił znowu. Jeśli chciała go ukarać, nie odbierając telefonów, a teraz się połączy, Robert miał zamiar porządnie ją za to skarcić.

Od razu włączyła się sekretarka.

Nagle poczuł, że coś jest zdecydowanie nie tak. Spojrzał na kuchenny zegar. Była prawie pierwsza. Jeśli wyszedłby teraz, zajęłoby mu prawie godzinę, żeby dotrzeć do domu Stephanie. Tylko co powiedzieć Kathy? Raczej nie prawdę - „jadę zajrzeć do mojej kochanki” - szczególnie, że właśnie obiecał zerwać ze Stephanie wszelkie kontakty. Nie mógł po prostu wyjść sobie w środku nocy...

Nagle przypomniał sobie, jak ostatnio wezwano go w środku nocy. Wyrwał kartkę z notesu przy telefonie i nabazgrał: **Włączył się alarm w biurze - pojechałem sprawdzić, co się dzieje.** Chciał jeszcze dodać **Kocham cię. Robert,** ale nie zrobił tego. Może jest kłamcą i oszustem, ale nie chce być hipokrytą.

Ulice były zupełnie puste.

Dwupasmówkę przykryła cienka warstwa białego śniegu, czyściutka i nietknięta przed maską, a za autem - przecięta szybko znikającymi śladami opon. Nawet kiedy Robert zwiększył prędkość pracy wycieraczek, udawało im się tylko przenosić śnieg z jednego rogu szyby do drugiego, a mimo włączonego ogrzewania, na dolnej krawędzi przedniej szyby pojawił się szron. Robert czuł, jak ciężki samochód ślizga się i zarzuca na boki, więc zwolnił do dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. W tym tempie dotarcie do Stephanie zajmie mu półtorej godziny, choć może bliżej miasta drogi będą w lepszym stanie. Gdzie są piaskarki i solarki? Najwidoczniej nie pracują o 1:15 rano w świąteczny poranek.

Mimo że jeździł tą trasą prawie każdego dnia, od kiedy pracował, Robert zauważył teraz, że gruby i gęsty śnieg zasłonił wszystkie punkty orientacyjne. Padał wprost na samochód, osiadał na nim i wydawało się, że auto jedzie prosto w zaspę. Tylne i boczne szyby były kompletnie zasłonięte grubą, szarobiałą płachtą i widok zmniejszył się do kawałka przestrzeni z przodu. Robert musiał zjechać z drogi, jeszcze zanim dotarł do budowy przy Tunelu Portowym. Wiedział, że lepiej nie zapuszczać się w ten labirynt pachołków i zakazów przy tak ograniczonej widoczności. Z trudem otworzył drzwi i zdziwił go przejmujący chłód na zewnątrz, a jeszcze bar-

dziej - ilość śniegu nagromadzonego na dachu samochodu. Po raz pierwszy pomyślał, że może nie dojechać z powrotem do Swords tej nocy. Co powie Kathy? Z pomocą zwiniętego parasola zrzucił śnieg z dachu, oczyścił boczne szyby i wsiadł z powrotem do auta. Plecy i ramiona otulone grubym płaszczem miał pokryte śniegiem, a lodowate płatki przyczepione do włosów topniały i spływały po plecach. No dobrze, jeśli utknął i nie może wrócić na dwupasmówkę, pojedzie do biura i zadzwoni do Kathy albo nawet poprosi ją w jakiś sposób, żeby oddzwoniła do niego, i udowodni, że nie jest ze Stephanie. Jezu, ale bajzel!

W miarę jak Robert zbliżał się do miasta, droga stawała się nieco łatwiejsza. To, co na przedmieściach było śniegiem, tutaj zmieniło się w brudny i obrzydliwy deszcz. Prawie zupełnie wyludnione miasto skąpane było w świetle sodowych lamp, co nadawało mu dziwnie niezdrowy wygląd. Robert zwolnił przy światłach na Marlborough, kiedy grupa młodych mężczyzn w marynarkach i poluzowanych krawatach, razem z dziewczynami w cienkich sukniach, próbowała przejść przez ulicę. Na głowie mieli rogi reniferów. Takie powinny być święta, pomyślał Robert: młode i beztroskie, bez zmartwień o przyszłość i myśli o następnych Bożych Narodzeniach. Z bramy naprzeciwko wyłoniła się chwiejnym krokiem zawinięta w brudny śpiwór, skurczona, nieokreślonej płci postać. Kiedy Robert odjeżdżał, pomyślał, że tak wyglądały święta naprawdę: utracona niewinność i zdruzgotane nadzieje.

Wjeżdżając w podwórko pod numerem 28 - domem Stephanie, Robert wyłączył światła. Lód chrząścił i pękał pod kołami, kiedy auto parkowało obok srebrnego bmw.

Samochód stał na miejscu, ale Robert nie był pewien, czy to dobry, czy zły znak. Jeśli wychodziła na przyjęcie, zawsze zostawiała BMW w domu. Wyłączył silnik i chwilę siedział w bezruchu, zbierając siły.

Budynek był całkiem ciemny, w przeciwieństwie do innych, w których oknach świeciły się przynajmniej miniaturowe świąteczne choinki albo menory. Na jednym z domów wisiał znak „Przystanek dla Mikołaja”, w innym - łańcuch ze świecących sopli. Była już prawie 2:30 i u sąsiadów panowała kompletna cisza, a ślad opon auta Roberta był jedynym na całym podwórku. Robert wyjął portfel i otworzył kieszonkę na zamek. Odszukał w niej pojedynczy nieoznaczony klucz. Stephanie dała mu go z okazji urodzin Roberta, które uczcili razem w październiku, ponad rok temu. „Żebyś mógł uciec, kiedy tylko będziesz chciał” - powiedziała wtedy. „A kto wie, może kiedyś wrócę do domu, a ty będziesz na mnie czekał w łóżku”, dodała. Ale to się nigdy nie zdarzyło.

Wysiadając z auta, delikatnie zamknął drzwi. Nie chciał trzaskać na małym podwórku, wiedział z doświadczenia, że echo niechybnie obudziłoby i przygnało do okna panią Moore, wścibską sąsiadkę.

W chwili, kiedy wszedł do holu, wiedział, że dom jest pusty. Nie chodziło o zimno - było bardzo ciepło - lecz o wrażenie pustki. Czuło się, że nikogo tu nie ma.

- Stephanie! - zawołał z dołu. Jeśli była na górze, nie chciał jej przestraszyć, aby nie nacisnęła alarmowego guzika przy łóżku i przypadkiem nie wezwała policji. Uśmiechnął się smutno: czyż nie byłby to idealny koniec idealnego dnia?

- Stephanie? - zajrzał do salonu. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak kilka godzin temu. Prezenty leżały tam, gdzie je położono, a balon kołysał się pod sufitem.

Robert wszedł po trzech stopniach.

Nagle poczuł, że serce wali mu jak młotem. W rzeczywistości chciał, żeby dom był pusty, bo jeśli tak nie było, nie chciał nawet myśleć, co mogło się stać. Co zrobi, jeśli odkryje coś przerażającego?

Zanim wszedł na półpiętro, zatrzymał się i wziął głęboki oddech. A potem uzmysłowił sobie, że podświadomie wacha powietrze, jakby próbował wyczuć zapach...

Powietrze było suche i ciepłe, pachniało kwiatami, które przyniósł wcześniej i czymś miętowo-kwiatowym z łazienki. Nie poczuł nic niezwykłego.

A jeśli Stephanie zrobiła pod wpływem depresji coś głupiego, jeśli otworzy drzwi łazienki i znajdzie ją w wannie? Czy nie tak właśnie postępują porzucone kobiety? Napełniają wannę ciepłą wodą i podcinają sobie żyły żyłką? Czytał, że wtedy człowiek czuje się tak, jakby zasypiał.

Stojąc przed drzwiami do łazienki, czuł, jak serce wali mu tak mocno, że drży cała klatka piersiowa, skronie, nawet opuszki palców.

A jeśli znajdzie jej ciało? Będzie musiał zgłosić się na policję, a oni zechcą sprawdzić, co robił tutaj o 2:30 w bożonarodzeniowy poranek.

Wówczas Kathy dowie się, że wrócił do Stephanie, a wtedy...

Co ja tutaj robię, zapytał siebie samego. Przecież zadzwonił do Stephanie - nie odebrała. Powinien dać sobie spokój. Ale nie, dzwonił dalej i wprowadził się w stan hysterii, która kazała mu wykraść się z domu w środku nocy i jechać przez całe miasto, żeby sprawdzić, co dzieje się z kobietą, która kilka godzin wcześniej go odtrąciła. Po co?

Odpowiedź była prosta: jest tutaj, bo ją kocha. Wciąż ją kocha, bez względu na to, co się stało.

Przyciskając dłonie do drzwi łazienki, popchnął je i otworzył. Pusto. Zostawała sypialnia. Robert zrobił

dwa kroki w stronę drzwi i zajrzał do środka. Poczł fizyczną ulgę, która osłabiła go tak, że musiał chwycić się framugi.

Łóżko było puste. Pościel nietknięta, choć odrobinę zmierzwiona w miejscu, gdzie najwidoczniej siedziała Stephanie. Obok wgłębienia widać było drugie, w kształcie prostokąta. Czyżby mała walizka? Otworzył szafę i przejrzał sukienki, spódnice i płaszcze Stephanie. Wydawało mu się, że niczego nie brakuje.

Nie było jednak torby, którą zwykle nosiła z sobą Stephanie, ani komórki, choć służbowy laptop jak zwykle wsunięty był pod łóżko.

Robert usiadł na brzegu łóżka i rozejrzał się po pokoju. Nic nie rozumiał.

Nie wiedział, czy powinien czuć ulgę, czy strach. Przynajmniej nie znalazł jej ciała. Ale nie było też dowodu, że wyjechała. Może po prostu wyszła na całonocne przyjęcie i w tej chwili dobrze się bawiła w objęciach jakiegoś młodzieniaszka? Zazdrość, którą poczuł, zdziwiła go swoją intensywnością. Ale jeśli wybrała się na imprezę... Robert wstał i zajrzał do drugiej szafy, gdzie Stephanie trzymała wyjściowe sukienki.

Przypomniał sobie: wiele razy przyglądał się, jak szuka czegoś odpowiedniego. Zazwyczaj i tak zakładała coś czarnego. Miała cztery „małe czarne”, z różnymi dekolantami i wykończeniami; wszystkie wisiały w torbach z pralni. Nie zauważył braku żadnej z nich. Przejrzał jeszcze inne sukienki i wydało mu się, że wszystkie są na miejscu. Na półkach z butami w małej szafce przy podłodze też nie było wolnych miejsc.

Wyglądało na to, że po prostu wyszła z domu. Tylko gdzie jest teraz?

Miał nadzieję, że ze swoją przyjaciółką Sally. Postanowił, że jeśli Stephanie nie skontaktuje się z nim do rana, spróbuje jakoś dotrzeć do Sally... a jeśli ona nie będzie nic wiedziała, pójdzie na policję.

Zgasił światła i pozamykał drzwi. Chciał wyłączyć ogrzewanie, ale pomyślał, że jeśli Stephanie wróci po przyjęciu, miło jej będzie wejść do ciepłego domu. Zamknął drzwi, wszedł do samochodu i wyjął komórkę: - Stephanie. Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, gdzie jesteś. Jest trzecia w nocy. Właśnie wychodzę od ciebie z domu. Nie ma śladu po tobie. Zostawiam tę wiadomość w nadziei, że kiedy wrócisz, odsłuchasz ją i oddzwonisz. Mam nadzieję, że jesteś z Sally. Pamiętam, jak opowiadałaś, że dzisiaj mają się odbyć jej zaręczyny... nie, wczoraj wieczorem. Mój Boże, właśnie zdałem sobie sprawę, że jest już Boże Narodzenie, Kiedy dotarł do Swords, była 4:30. Ciągłe padało, krótkie zadymki, dziwne spirale śniegu, potem znów zadymka, a do tego niesamowicie zimny wiatr. Jadąc samotnie dwupasmówką, Robert miał uczucie, że jest jedynym człowiekiem na świecie. Był koszmarnie zmęczony, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Chciał zjechać z drogi i choć na chwilę zamknąć oczy, ale wiedział, że to niebezpieczny pomysł. W pewnej chwili otworzył więc okno, do środka wpadło kilka płatków śniegu, a Robert wdychał ostre nocne powietrze, próbując oprzytomnieć. Zanim skręcił na drogę prowadzącą do domu, w oknach niektórych sypialni i salonów sąsiadów zapaliły się światła. Wyjątkowo Święty Mikołaj przychodził wcześniej do domostw, w których mieszkały małe dzieci. Gramoląc się z samochodu, Robert zauważył drgnięcie zasłon w sypialni na górze, ale był tak zmęczony, że miał to gdzieś. Otworzył drzwi wejściowe tak cicho, jak potrafił, wszedł do holu i przez chwilę zastanawiał się, czy ma dość siły, by zrobić sobie herbatę. Stwierdził jednak, że to zbyt

duży wysiłek, więc wspiał się do gabinetu. Skrzywił się, kiedy trzeci stopień od góry zaskrzypiał. Ciągle w ubraniu, w ciężkim skórzanym płaszczu i rękawiczkach, osunął się na biurowe krzesło, oparł głowę i zamknął oczy.

Koszmar, który mu się przyśnił, był wyjątkowo nieprzyjemny, choć po przebudzeniu Robert nie pamiętał szczegółów, czuł tylko niesamowity strach, jakby czegoś szukał i nie mógł znaleźć, jakby podróżował przez długi, szarobiały tunel, na którego końcu ledwie widoczna postać nieustannie oddalała się od niego. Myślał, że niewyraźny kształt to Kathy, ale równie dobrze mogła to być Stephanie.

Rozdział 26

Nagle całkowicie się przebudził. I głośno zajęczał.

Siedział na krześle w swoim gabinecie, ciągle ubrany w płaszcz, rękawiczki i buty. Stopy miał przemarznięte. Wstał z krzesła i z wysiłkiem się wyprostował. Poczł się jak starzec. Ściągnął rękawice, rzucił je na podłogę i zdjął z siebie ciężkie okrycie. Opadł z powrotem na krzesło, mocując się ze sznurówkami. Skarpetki były zupełnie przemoczone, a buty poplamione i pomarszczone od śniegu. Robert boso doczłapał do łazienki, znalazł ręcznik i usiadł na krawędzi wanny, by osuszyć stopy.

Czuł się tak, jakby miał koszmarne kaca. Jakby spędził noc na chlaniu z Jimmym Moranem. Spróbował wyprostować plecy i rozciągnąć ramiona, ale kiepsko mu szło.

Zszedł na dół, do kuchni, spojrzł na zegar i nastawił czajnik. Była 7:30 - zdziwił się, że dzieci jeszcze nie ze-

szły. Uśmiechnął się, przypominając sobie minione święta, kiedy zrywały się o trzeciej, czwartej nad ranem. On i Kathy leżeli w łóżku, słuchając, jak Brendan i Theresa podekscytowanym szeptem zastanawiają się, czy Mikołaj już przyszedł. To były dobre, szczęśliwe dni. Ale minęło wiele czasu, od kiedy ostatnio w bożonarodzeniowy poranek dzieci zbiegały na dół, by rzucić się na swoje prezenty. Minęło wiele czasu, od kiedy on i Kathy ostatnio byli szczęśliwi.

Woda zagotowała się, więc Robert przygotował mały imbryk herbaty. Miał sobie nalać filiżankę, ale pod wpływem impulsu nalał także drugą, dla Kathy. Dodał jej ulubionego odtłuszczonego mleka i zaniósł filiżanki na górę. Stawiając dla ostrożności swoją na balustradzie, delikatnie otworzył drzwi do sypialni i zajrzał do środka. Ze sposobu, w jaki leżała, wiedział, że Kathy nie śpi. Jej sylwetka była zbyt ułożona - gdy spała, zazwyczaj zrzucała z siebie kołdrę, tymczasem teraz była ona ciasno nasunięta po samą szyję.

Przeszedł na stronę Kathy i postawił filiżankę z herbatą na małej szafce przy łóżku, obok grubej historycznej powieści, którą czytała żona.

- Kathy - wyszeptał. - Kathy...?

Jej ciemne oczy otworzyły się nagle. Spojrzała na męża.

- Przyniosłem ci herbatę.

Kathy patrzyła na niego w milczeniu.

- Wesółch Świąt - dodał w końcu i chciał się nawet pochylić, by pocałować żonę, ale zrezygnował.

- Wychodziłeś w nocy - w krótkim zdaniu Robert usłyszał oskarżycielski ton.

- Włączył się alarm w biurze. Zadzwonili do mnie z firmy ochroniarskiej. Musiałem tam pojechać.

Jego twarz pozostała niewzruszona, ale ironiczne poczucie humoru nie opuszczało go: pierwsze, co zrobił w bożonarodzeniowy poranek, to okłamał żonę, mimo że kilka godzin wcześniej obiecywał jej szczerą.

- Długo cię nie było - powiedziała, podnosząc się w łóżku i znów naciągając kołdrę pod brodę.

- Drogi są paskudne. Byłem jedynym kierowcą na dwupasmówce, jechałem bardzo wolno. A kiedy dotarłem na miejsce, musiałem czekać na firmę ochroniarską.

Z kłamstwami był jeden problem: mnożyły się jedno za drugim, potem trzecie i tak dalej.

- Rozumiem, że w biurze wszystko było w porządku. Przytaknął.

- Pewnie śnieg albo lód spadł z sąsiedniego budynku, uderzył w dach i włączył jeden z czujników. Słyszałem, jak inne alarmy dzwoniły na Merrion Square, kiedy wracałem do domu.

Kolejne kłamstwa. Robert nie mógł przestać myśleć, czy można okłamywać kobietę, jeśli się ją kocha. A jednak okłamywał Kathy każdego dnia od osiemnastu miesięcy... Stephanie również, zrozumiał teraz. Okłamywał kochankę, bo pozwalał jej wierzyć, że zostawi żonę. Zresztą na początku w ogóle nie miał takiego zamiaru. Dopiero w ostatnich tygodniach, kiedy sprawy się skomplikowały, a Stephanie zaczęła nalegać, dopiero wtedy zaczął poważnie rozważać odejście od Kathy.

- Wypij herbatę - powiedział. - Dzieci na pewno wkrótce wstaną.

Wyszedł cicho z sypialni, podniósł filiżankę z balustrady i zamknął się w swoim biurze.

Cóż - jeśli zapomnieć o kłamstwach - nie poszło tak źle. Przynajmniej z sobą rozmawiali.

Zalogował się do skrzynki e-mailowej i spojrzał, czy na komórkę nie przyszły nowe wiadomości. Nie było żadnych. Potem sprawdził konto prywatne i firmowe, ale listu od Stephanie nie było, tylko spam. Przejrzał folder „Kontakty” w Outlook'u, szukając namiarów na Sałly. Był pewien, że Stephanie kiedyś mu je podała i na pewno je zanotował. Tylko gdzie? Nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska Sally Watson, Williams, Wilson, Wilton - coś takiego. Spróbował wpisać „Sally”, ale nie dało to żadnych rezultatów. Może Sally to skrót od jakiegoś innego imienia. Sarah? Sandra? Próbował różnych kombinacji, bez skutku. Przeszukał nawet cały komputer, by znaleźć pliki ze słowem „Sally” i „Stephanie”, także bez rezultatów. A przy tym Robert uświadomił sobie, że nie zna imion żadnych innych przyjaciół Stephanie.

Dobrze, może więc wczoraj wieczorem poszła na jakieś przyjęcie i została tam na noc. Jeśli jej przyjaciółka miała zaręczyny, pewnie impreza trwała do białego rana. Wiedział, że Stephanie na pewno miała z sobą komórkę, przez którą mogła odbierać e-maile. Wcześniej dzwonił do domu i na komórkę, poczta elektroniczna była ostatnim rozwiązaniem. Otworzył Outlook'a i ułożył wiadomość do Stephanie:

Droga Stephanie,

Nie wiem, co się z tobą dzieje. Bardzo się martwię. Próbuje dodzwonić się do ciebie do domu i na komórkę, ale nie odpowiadasz. Przepadłaś jak kamień w wodę. Proszę, skontaktuj się ze mną. Daj znać, że wszystko w porządku.

Dziś rano poszedłem nawet do ciebie do domu. Otworzyłem drzwi swoim kluczem. Martwię się, że nie ma po tobie śladu, a wiem, że nie wyjechałaś. Zaglądałem do szafy -wszystkie twoje ubrania wciąż tam są.

Martwię się, że coś ci się stało albo że coś sobie zrobiłaś.

Odchodzę od zmysłów.

Nie mam pojęcia, jak skontaktować się z Sally, a nie znam żadnych innych twoich przyjaciół. Jeśli wkrótce nie uda mi się ciebie odnaleźć, spróbuję zadzwonić do Charlesa Flintoffa. Myślę też, że może powinienem pójść na policję i zgłosić twoje zaginięcie.

Kiedy odbierzesz wiadomość, proszę, proszę, odezwij się.

Kocham cię.

Robert

Przeczytał list dwa razy, zanim go wysłał. Był całkowicie szczery, a jedyna linijka, nad którą chwilę się zastanowił, to „kocham cię”. Pisał prawdę, ale nie wiedział, jak spojrzeć na to Stephanie. Chyba zrozumie, że skoro jechał przez całe miasto w burzę śnieżną, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje, to musi żywić do niej głębokie uczucia, prawda?

Wcisnął „Wyślij”.

Ciekaw był, jak długo będzie czekał na odpowiedź.

Gdyby tylko udało mu się skontaktować z Sally. Następnymi kilkoma minutami spędził na przeglądaniu spisu telefonów w komórce, potem zrobił to samo ze swoim starym notesem, zastanawiając się, gdzie mógł zapisać te dane. Cholera, powinien był zajrzeć zeszłej nocy do notesu Stephanie, gdy był u niej w domu. Może wymknie się jeszcze raz rano i pojedzie z powrotem. Boże, jaką znowu będzie musiał wymyślić wymówkę?

Komputer wydał dźwięk podobny do skrzypiących, otwierających się drzwi i na ekranie pokazało się okno komunikatora.

Stephanieburroughs załogowano. Czy chciałbyś wysłać wiadomość do stephanieburroughs?

Dzięki Bogu! Zanim zdążył coś napisać, na ekranie pojawiło się jedno słowo: Jestem.

Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że zrobił błąd w prawie każdym słowie, spiesząc się, by porozmawiać ze Stephanie.

Dzięki Bogu. Wszystko w porządku? Strasznie się martwiłem.

Wszystko w porządku. ***Gdzie jesteś?***

Czy była w domu? Na pewno, skoro siedziała w Internecie. Czy gdyby zadzwonił, odebrałaby telefon?

Wszystko dobrze.

Poirytowany, zmarszczył czoło. W co ona sobie pogrywała?

Nie zdradzisz mi, gdzie jesteś? - napisał już spokojniej. Nie.

Powiedz, że dobrze się czujesz.

Przynajmniej tyle mogła zdradzić. Jeśli była w sieci, na pewno czytała jego c-mail, powinna wiedzieć, jak bardzo się martwił.

Dobrze.

Stephanie. Proszę, porozmawiajmy. Mamy tyle do omówienia.

No dobrze, jest na niego zła, rozumiał to. Ale nie może być chociaż uprzejma?

Nie mamy o czym rozmawiać. Oddaj mi mój klucz. Nie zbliżaj się do mojego domu. Nie dzwoń do mojego szefa. Nie chcę cię więcej widzieć.

Robert poczuł się, jakby dostał w twarz. Aż odsunął się od ekranu i szybko napisał:

Ale nie musi tak być.

Tak będzie.

Proszę. Musimy porozmawiać. Muszę z tobą porozmawiać. O dzisiejszym dniu. O przyszłości.

Nie mamy wspólnej przyszłości. Wracaj do żony, Robercie.

Na ekranie wyskoczyło okienko komunikatora: ***steplia-nieburroughs wyłogowaia się.***

Robert siedział przed komputerem, patrząc na kursor, migający na końcu ostatniego zdania, napisanego przez Stephanie: ***Wracaj do żony, Robercie.***

Wcześniej, podczas długiej podróży przez miasto do domu, Robert podjął decyzje. Teraz, kiedy on i Kathy otrząsnęli się z szoku, jaki wywołała wczorajsza sytuacja, i próbowali pogodzić się z faktami, on sam powoli i nieodwołalnie zaczynał rozumieć, że nie jest przygotowany, by spędzić następnych kilka lat na bezustannym oglądaniu się przez ramię i sprawdzaniu, że żona nie śledzi go na każdym kroku. Żył tak przez ostatnie sześć lat: od kiedy Kathy niesprawiedliwie oskarżyła go o romans ze Stephanie. Przez następne tygodnie i miesiące po awanturze żył z przekonaniem, że żona bezustannie go sprawdza. Pamiętał, jak stojąc w sypialni w ich poprzednim domu, obserwował Kathy wysiadającą z samochodu z notatnikiem i długopisem w dłoniach. Dopiero dużo później zorientował się, że zapisywała przebieg jego auta. Zdał sobie też sprawę, że jeśli wyjeżdżał z domu w interesach, Kathy zawsze dzwoniła do hotelu albo pensjonatu z jakimś problemem, pytaniem albo prośbą. To było koszmarne uczucie. Nie chciał tak żyć. Nie chciał przez następnych kilka miesięcy budzić się ze świadomością, że Kathy chodzi za nim krok w krok, nie ufa mu i szpieguje.

Pragnął tylko przeżyć jakoś święta, oczyścić atmosferę w domu, a potem porozmawiać ze Stephanie. To ona jest jego przyszłością.

Tylko że teraz nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Gdyby tylko udało im się porozmawiać, z pewnością przekonałby Stephanie, że żywi do niej szczere uczucia. Gdyby wiedziała, że chce zostawić Kathy, na pewno by wróciła. Prawda?

Robert Walker skinął głową, przyglądając się sobie w monitorze komputera: wróci, na pewno do niego wróci.

Nastał czas na zmiany, radykalne zmiany. W wieku czterdziestu dwu lat miał szansę zacząć życie od nowa. Przez następny rok skoncentruje się na firmie, na jej rozwoju, na zdobyciu autorytetu w branży. Popracuje nad scenariuszami, które miał zamiar od zawsze napisać, może nawet zwróci się o dofinansowanie do instytutu filmowego. I porozmawia z Jimmym - w przeszłości wielokrotnie współpracowali, może teraz mogliby sformalizować swoje układy i założyć spółkę. Jimmy zajmowałby się interesami, a Robert - stroną artystyczną.

Spróbowałby w jak najbardziej przyjacielski sposób przeprowadzić separację z Kathy, choć oczywiście ona nie może żądać zbyt wiele. On zrzeknie się połowy domu, a ona swoich udziałów w firmie. I oczywiście musi zapewnić dzieci, że zawsze będzie przy nich, nie przestał i nie przestanie ich kochać. Na szczęście teraz są już starsze, co ułatwi sprawę: na pewno zrozumieją.

I nie popełni ze Stephanie tych samych błędów, co z Kathy. Będzie poświęcał jej więcej uwagi i dbał, by także ona o niego dbała. Pracują w tej samej branży, więc będą mogli działać wspólnie. Wprowadzi się do niej, pomoże spłacać hipotekę, żeby nie musieli już martwić się o przeprowadzkę. Co prawda Stephanie wspominała niedawno coś o dzieciach, ale dopiero za dwa, trzy lata. W tym czasie wiele może się zmienić. Robert ma już dzieci, przeszedł przez wszystko, wiedział, jak wiele czasu

i wysiłku wymaga wychowanie - i nie chciał przeżywać tego ponownie. Kiedy Stephanie dostanie awans, nie będzie chciała rodzić dzieci. Będą więc tylko we dwoje, bez przeszkód, bez problemów. Będą szczęśliwi. Nowy początek, nowa przyszłość; to będzie jego noworoczny prezent. Musi tylko przekonać Stephanie, że naprawdę jest szczerzy. A może to zrobić, spędzając z nią Sylwestra i zaczynając wspólnie nowy rok.

Rozdział 27

Większość mieszkańców kraju zaraz po przebudzeniu ujrzała białe Boże Narodzenie. Wzdłuż całego wschodniego wybrzeża spadło ponad dwa cale śniegu, a Donegal, części Sligo i Westmeath, gdzie po popołudniu miało się jeszcze chmurzyć - cztery cale. Niektóre miejsca w Wicklow były nieprzejezdne i kierowcom radzono nie opuszczać domów, jeśli nie było to konieczne.

Rano niebo przejaśniło się, a słońce okazało się płaską złotą tarczą, która nie dawała wcale ciepła, tylko oświetlała świat cienką warstwą bursztynowego blasku. Ranek był wyjątkowy i piękny. Robert pomyślał, że, o ironio, ostatnie wspólne święta będą niezapomniane. Dzieci z pewnością zapamiętają, że to rodzinne Boże Narodzenie było białe. Robert i Kathy w obecności dzieci byli dla siebie wyjątkowo grzeczni, ale kiedy zostawali sami, robiło się lodowato. Wszyscy poszli na mszę o jedenastej - jak zwykle był to jedyny raz w roku, kiedy całą czwórką szli do kościoła. Mimo że Robert i Kathy zostali wychowani

w wierze katolickiej, nie praktykowali jej i nie chcieli zmuszać dzieci do wyznawania żadnej religii. Mieli nadzieję, że kiedy Brendan i Theresa dojrzeją, sami podejmą decyzję, choć jak dotychczas żadne z nich nie wykazało zainteresowania żadnym wyznaniem.

Robert czuł się w kościele bardzo nieswojo. Nigdy nie był specjalnie religijny, choć lubił myśleć o sobie jak o człowieku godnym szacunku. Kiedy osiemnaście lat wcześniej stał przy ołtarzu z Kathy u boku, obiecał jej miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że jej nie opuści aż do śmierci. Tamtego dnia nikt nie był bardziej dumny od niego. Przysięgał szczerze i nic zamierzał łamać obietnic. A mimo to, kiedy stał teraz w kościele w bożonarodzeniowy poranek, zastanawiał się, jak złamać przysięgę, nie raniąc tym żony. Może nie kochał Kathy dość mocno, by spędzić z nią resztę życia, ale zależało mu na niej, była matką jego dzieci, bardzo ją szanował. Na szczęście rozwód nie był takim grzechem jak kiedyś: ludzi zaczęli akceptować to, że małżeństwa -z różnych powodów - rozpadały się. Przynajmniej teraz istniało jakieś wyjście, by można było zacząć życie od nowa. Kiedy ojciec Roberta odchodził od matki wiele lat temu, w Irlandii nie było rozwodów, a małżonkowie trafiali do prawnego czyścica aż do końca swojego życia.

- Przekażmy sobie znak pokoju... - z głośników zabrzmiał głos wiekowego księdza.

Robert odwrócił się w stronę Kathy. Inne pary wokół całowały się i obejmowały, ale ona wyciągnęła tylko dłoń niczym obca osoba. Po chwili wahania Robert uśmiechnął się sztucznie i ujął rękę żony.

- Pokój nam wszystkim - wymamrotał. Kathy nie odpowiedziała.

Musi znaleźć sobie prawnika od rozwodów. Po świętach zadzwoni do Jimmy'ego Morana - on z pewnością będzie jakiegoś znał.

- Tato, telefon - Brendan nie ruszył się z kanapy. Robert otworzył oczy i spojrzał w ekran telewizora.

Zarwana noc mściła się wczesnym popołudniem i mimo że *Indiana Jones i świątynia zagłady* huczał z pięciu głośników, Robert zapadł w głęboki sen bez snów.

- Odbierz - wymamrotał.

-- To do ciebie. Jak zawsze.

Robert zwał się z krzesła, przeszedł do jadalni i złapał słuchawkę, zanim włączyła się automatyczna sekretarka. Obliznął spierzchnięte wargi i zerknął na zegar, zastanawiając się, kto może dzwonić w Boże Narodzenie. Pewnie Julia.

- Halo?

W słuchawce coś zaskrzeczało i zahuczało, w tle słyszał dziwne odgłosy klikania i szeptania.

- Halo? - powtórzył, sprawdzając identyfikację numeru. Nieznany. Była to rozmowa zagraniczna albo dzwoniący zastrzegł numer.

- Chyba powinieneś odejść od telewizora i znaleźć jakieś ustronne miejsce, gdzie będziesz mógł rozmawiać - głośny i wyraźny głos Stephanie w słuchawce sprawił, że Robert od razu się obudził.

Przełknął głośno ślinę.

- Tak... jasne... - odezwał się, zmuszając się do uśmiechu. Odwrócił się, by spojrzeć na dzieci, ale nie zwracały na niego uwagi. Kathy pracowała w kuchni i widział, jak zerka z ciekawością, zastanawiając się, kto dzwoni. - I Wesołych Świąt, wzajemnie - ciągnął.

- Poczekać sekundę, wyjdę z pokoju, dalej od telewizora.
- To Jimmy Moran - powiedział do Kathy, przyciskając słuchawkę do piersi. - Dzwoni z życzeniami.

Kathy skinęła głową. W pasiastym fartuchu pochylała się nad otwartym piekarnikiem, powoli wbijając szpikulec w indyka.

- Życz mu ode mnie Wesołych Świąt. Tylko nie rozmawiaj zbyt długo, za chwilę będę podawała obiad.

Robert przeszedł do holu.

- Zaraz wrócę.

Z bijącym sercem pobiegł na górę, wszedł do gabinetu i przekręcił klucz w zamku. Potem przełączył się z przenośnego telefonu na stacjonarny.

- Wszystko w porządku? - spytał od razu, dysząc ciężko, zasapany i zaskoczony.

- Tak... Nie... Nie wiem - w głosie Stephanie brzmiało zdenerwowanie. Pewnie balowała wczoraj w nocy i ma kaca, myślał Robert. Dopiero teraz odsłuchiwała wiadomości i może wstyd jej z powodu wcześniejszego zamieszania.

- Tak się martwiłem, a kiedy nie mogłem się z tobą skontaktować, nie wiedziałem, co myśleć. Wcześniej, kiedy przez AOL napisałaś, że nie chcesz mnie już więcej widzieć, byłem zrozpaczony...

Po dłuższej pauzie Stephanie powiedziała tylko:

- Chyba jestem w ciąży, Robercie.

Przez chwilę, długą chwilę, próbował zrozumieć. W głowie kłębiło mu się tysiąc myśli - może się myliła, może żartowała, chciała go ukarać, kłamała - przecież nie mogła być w ciąży. Po prostu nie mogła.

Zanim zdążył odpowiedzieć, warknęła na niego:

- Nie masz nic do powiedzenia? Żadnego gorącego komentarza, uwagi, gratulacji?

Nie kryta złości.

- Ja... ja... nie, nic wiem, co powiedzieć.

- No to coś wymyśl.

Robertowi zaschło w ustach, w gardle poczuł znajomą wielką gulę i nie był w stanie przełknąć śliny. Rozejrzył się po pokoju, ale nic znalazł nic do picia. W końcu otworzył jedno z okien i zanurzył palce w śniegu, a potem włożył sobie odrobinę do ust. Poczł w przełyku przeraźliwe zimno. Gapiąc się na wciąż pokryty śniegiem ogród, zapytał:

- Jak to się... To znaczy, kiedy to się stało?

- Kto wie? Kilka razy ostatnio kochaliśmy się bez zabezpieczenia.

W ciąży. Dobry Boże. Ona jest w ciąży.

- Mówiłem, żebyś zaczęła brać tabletki.

Stephanie nie odpowiedziała. Nie chciała łykać pigułek, więc używali prezerwatyw, których Robert nie cierpiał. ~ Jesteś pewna? Na sto procent? - spytał ostrożnie.

- Raczej tak.

Raczej? Raczej! Co to właściwie znaczy „raczej”, zastanawiał się gorączkowo.

- Kilka godzin temu zdałam sobie sprawę, że okres spóźnia mi się o dziesięć dni.

- Dziesięć dni to jeszcze nie tak dużo, prawda? - spytał z nadzieją.

- Wystarczająco dużo.

- Zrobiłaś test? Potwierdziłaś to?

- Jest Boże Narodzenie, Robercie, jakbyś zapomniał - rzuciła ze złością. - Gdzie ja kupię dzisiaj test ciążowy?

Oblizwał wargi.

- Naprawdę myślisz, że możesz być w ciąży?

- Tak.

Oddechną! głęboko i spytał:

- Zdecydowałaś już, co zrobić z... z dzieckiem?

- Nie - odparła chłodno. - Ale jesteś jego ojcem. Chciałam najpierw porozmawiać z tobą. Podjąć jakąś decyzję. Poważną decyzję.

- Tak, tak, oczywiście.

Jezu, co za koszmar. Koszmar. Jeśli Stephanie jest w ciąży, muszą coś z tym zrobić jak najszybciej. Zastanawiał się, który to miesiąc.

- Słuchaj, może się spotkamy? Oczywiście nie dzisiaj... - dodał pośpiesznie. Nie ma szans, by wyrwał się teraz z domu, tuż przed świątecznym obiadem. Musiałby odpowiadać na zbyt wiele pytań. - Jutro. Możemy się spotkać jutro? Gdzie jesteś?

- Jutro wieczorem raczej mi się nie uda...

Robert z irytacją pokręcił głową. Dlaczego ona tak wszystko utrudnia?

- Naprawdę muszę się z tobą spotkać i porozmawiać - powiedział. -

Spotkajmy się. Gdziekolwiek.

- Gdziekolwiek?

Wydawało mu się, że usłyszał w jej głosie dziwne rozbawienie.

Pojadę, gdzie trzeba - nalegał.

- Dobrze. Jestem u rodziców.

Robert zmarszczył czoło, próbując zrozumieć, co właśnie usłyszał.

- Na Long Island? - spytał w końcu. - Tak.

- Co tam robisz?

- Spędzam rodzinne Boże Narodzenie - zdenerwowała się. - Robert - syknęła - co według ciebie powinnam

zrobić? Siedzieć w pustym domu w święta i wyrzucać sobie, jaka byłam głupia?

- Jeśli chodzi o wczoraj...

- Obiad na stole! - z dołu doszedł głos Kathy.

- Nie teraz - ucięła Stephanie. - Nie o tym chcę rozmawiać. Chcę porozmawiać o naszym dziecku.

„O naszym dziecku”. Robert poczuł dreszcz. „Nasze dziecko”.

- Słuchaj, nie miałam zamiaru więcej się z tobą spotkać i nie chciałam mieć z tobą nic wspólnego. Ale wszystko się zmieniło. Jeśli jestem w ciąży, musimy się spotkać.

- Tak, tak, oczywiście, musimy.

Dziecko. Nasze dziecko. Robert oddychał nerwowo. Jak bardzo jesteś pewna? - znów oblizwał usta. - To znaczy, na ile jesteś pewna, że jesteś w ciąży?

- Już mnie o to pytałeś, ale odpowiem raz jeszcze: jestem raczej pewna.

- Kiedy będziesz wiedziała na sto procent? Zastanowił się nad jej słowami: „raczej pewna” to nie to samo, co „całkiem pewna”.

- Jutro - odparła.

- Kiedy wracasz do domu? - spytał.

- Nie wiem. Nie miałam zamiaru pojawić się przed Nowym Rokiem, ale to chyba zmienia postać rzeczy. Sprawdzę, czy uda mi się wrócić przed weekendem. Później poszukam lotu.

- Daj mi znać, kiedy przylatujesz. Odbiorę cię. Porozmawiamy.

Zdecydujemy, co zrobisz z dzieckiem.

Głos Stephanie był beznamiętny i chłodny, jakby załatwiała interesy.

- Robercie, nie co ja zrobię - to nasze dziecko. Co my zrobimy.

- Cóż, przedyskutujemy różne rozwiązania...

- Co masz na myśli, mówiąc „rozwiązania”? - zezłościła się.
No dobrze, nie powinni o tym rozmawiać przez telefon, musieli się spotkać twarzą w twarz. Jeśli dopiero się dowiedziała, że jest w ciąży, ma prawo być zdenerwowana i niespokojna. Musi dać jej trochę czasu na przemyślenie.

- Miałem na myśli to, co będzie najlepsze dla ciebie i dla dziecka - dokończył ostrożnie.

- Tato! Obiad na stole! - zawołał Brendan.

- Słuchaj, muszę kończyć - powiedział szybko. Nie chciał, żeby dzieci przyszły na górę i zobaczyły, że drzwi są zamknięte. Potrzebował kilku chwil, żeby się zebrać, zanim zejdzie na obiad... choć bynajmniej nie był w tym momencie głodny.

Dobrze było cię usłyszeć, cieszę się, że wszystko w porządku - dodał jeszcze, udając, że się śmieje. Choć nigdy nie zgadnę, jak udało ci się dostać do Nowego Jorku w Wigilię. Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

- Nie pomyślałam. Tak jak wtedy, kiedy zaczynałam nasz związek, Robertcie. Po prostu nie myślałam o konsekwencjach.
Rozłączyła się.

Robert odszedł od okna i odłożył słuchawkę. Stephanie będzie chciała urodzić to dziecko. Prawda?

Rozdział 28

Właśnie kończyli jeść zupełnie, kiedy telefon znowu zadzwonił. Dzieci spojrzały na Roberta, ale Kathy odezwała się:

- Niech się włączy sekretarka. To jeden z niewielu posiłków, który ta rodzina może zjeść razem.

Robert niezbyt ochoczo przytaknął. A jeśli to Stephanie dzwoni raz jeszcze? Wolałby nie usłyszeć jej głosu z pokoju.

- Lepiej odbiorę. Tylko chwilka.

Kathy westchnęła i poszła zanieść talerze do kuchni. Robert złapał słuchawkę.

- Halo?

- Czy rozmawiam z Robertem Walkerem?

- Tak, tu Robert Walker - powiedział, zdziwiony. Wyświetlony numer wskazywał centrum miasta.

Mówi siostra Holland ze szpitala Mater.

- Dzień dobry, sostro - odparł Robert, bardziej zdziwiony niż zaniepokojony. - W czym mogę pomóc?

Kathy podeszła do drzwi, podnosząc pytająco brwi. Dzwonię w imieniu pana Jamesa Morana...

- Jamesa... Nie znam... Ach, mówi pani o Jimmym Moranie.

- Tak, Jimmym Moranie.

- Wszystko w porządku?

- Pan Moran został przyjęty na obserwację. Prosił mnie, bym się z panem skontaktowała. Mówił, że chciałby pana zobaczyć.

- Dzisiaj? - Robert zakrył słuchawkę i wyszeptał do Kathy: - Szpital Mater. Jimmy tam leży.

- Przecież rozmawiałeś z nim mniej niż pół godziny temu - odparła, ale Robert nie słuchał.

Pielęgniarka mówiła dalej:

- Panie Walker, jest pan tam? - spytała.

Tak, tak, słucham..., tylko dziwna to pora na wizyty. Boże Narodzenie i takie tam...

- Rozumiem pana - odpowiedziała siostra tonem sugerującym, że wcale go nie rozumie.

- To pilne? - spytał Robert.

- Czy pan Moran jest pana przyjacielem?

- Tak, dobrym przyjacielem.

- W takim razie powinien pan przyjechać. Proszę mu powiedzieć, że wkrótce się pojawię.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Kathy. Przepraszam, muszę jechać.

- Rozumiem. Powinieneś. A jak ci się z nim rozmawiało wcześniej?

Robert ze zdziwieniem spojrzał na żonę, a potem przypomniał sobie, że wymówił się Jimmym, by wyjaśnić poprzednią rozmowę.

- Normalnie - odpowiedział.

- Jedź. Weź płaszcz i rękawice. Zrobię ci herbatę do termosu.

Kiedy wydostał się już z dzielnicy, gdzie drogi wciąż były pokryte warstwą lodu i zmarzniętym śniegiem, jechało mu się dobrze, choć dwa pasy drogi ekspresowej zmieniły się w jeden, ogrodzony po bokach brudnym pośniegowym błotem. Późnopołudniowe słońce świeciło oślepiająco i Robert mrużył oczy, żałując, że nie wziął okularów. W zatokach czuł nadchodzącą migrenę spowodowaną ostrym światłem, niewyspaniem i stresem.

W trakcie jazdy popijał gorącą, przesłodzoną herbatę. Co się stało Jimmy'emu i dlaczego wzywał właśnie jego? Przecież to Angela - żona - albo Frances - kochanka powinny być przy nim.

Robert zdziwił się, że Kathy wypuściła go tak łatwo - widział jednak nieufny wzrok żony, kiedy wypytywała go

o poprzednią rozmowę. Po co wymawiał się Jimmym? Jeśli będzie miał okazję, zamieni słowo ze starym przyjacielem i poprosi go o alibi na wypadek, gdyby Kathy go wypytywała. Robert wiele razy dostarczał alibi Jimmy'emu, choć nie spodziewał się, że będzie musiał prosić kumpla o podobną przysługę.

Właściwie dobrze, że mógł wyrwać się z domu. Rozmowa ze Stephanie zenerwowała go tak bardzo, że cały się trząsnął i zupełnie nie wiedział, co dzieje się wokół niego, jakby zmogła go grypa.

Zdziwił się także, że tak szybko po dramatycznym spotkaniu z Kathy i z nim, które miało miejsce wczoraj - ledwie wczoraj? - Stephanie zebrała się i zarezerwowała bilet do Nowego Jorku. Wydawało mu się to niemożliwe - więc albo zabukowała lot wcześniej i nic mu nie powiedziała, albo wcale nie pojechała do Stanów. Może siedzi w domu, u przyjaciółki, albo gdzieś na zachodzie Irlandii i wymyśliła tę historyjkę, by dać jej spokój. To także nasuwało pytanie: czy Stephanie naprawdę jest w ciąży? Zerwali dopiero wczoraj, a tu nagle ona jest w ciąży. Mało prawdopodobne. Próbował z niej wydusić jednoznaczną odpowiedź, lecz powiedziała tylko, że „wydaje jej się”, że jest w ciąży i jest „raczej pewna”. Cóż, jest albo nie jest. Lepiej niech zadzwoni jutro, kiedy zrobi test ciążowy.

Dobrze, przyjmijmy, że jest w ciąży. Z pewnością nie będzie chciała urodzić tego dziecka. Była zbyt ambitna, jeśli chodziło o karierę zawodową. Ale może zdecyduje się urodzić i oddać dziecko do adopcji? Sporo ludzi wiedziało o ich związku i na pewno domyśliłoby się, że dziecko jest jego.

Robert zastanawiał się, jak ewentualna decyzja w tej sprawie wpłynie na jego noworoczne marzenia o nowym życiu.

Nieważne, jak gorliwie by szukać, nie ma bardziej samotnego miejsca niż szpital w Boże Narodzenie, myślał Robert, podążając według wskazówek, które dała mu dziewczyna z recepcji. Mimo że na każdym piętrze w dyżurkach pielęgniarek stały choinki, a na ścianach wisiaty dekoracje, świąteczne kartki i kwiaty, szpital wyglądał niczym plan filmowy - wszystko było na miejscu, ale nic nie pasowało. Wiele z mijanych sal było pustych bądź leżeli w nich pojedynczy pacjenci, zwykle otoczeni dużą rodziną. Personel był niemal niewidoczny. Jimmy Moran leżał na tyłach szpitala, w jednoosobowym pokoju, który wychodził na pusty plac, w ciągu tygodnia służący za parking dla samochodów. Robert sprawdził numer na uchylonych drzwiach i zajrzał do środka. Dopiero po chwili z przerażeniem rozpoznał w skurczonej, bladej postaci leżącej na łóżku swojego przyjaciela i mistrza. Przystojne rysy twarzy Jimmy'ego zaostrzyły się, nadając mu trupi wygląd. Skóra, przetykana nitkami popękanych naczynek, miała kolor szaro-żółtego papieru. Kruczoczarne włosy - których, jak twierdził, nie farbował, leżały na poduszce, potargane i tłuste.

Czując, jak bije mu serce, Robert uśmiechnął się nienaturalnie, zapukał do drzwi i wszedł do pokoju.

Jimmy odwrócił głowę i spojrzał na niego z wysiłkiem zmęczonymi oczami. Potem kiwnął głową i wyciągnął prawą dłoń. W lewej miał wenflon podłączony do kroplówki.

- Robert... - zwilżył spierzchnięte, popękane usta. -Robert - powtórzył trochę głośniej - dzięki, że przyszedłeś.

Robert podsunął sobie krzesło i usiadł przy łóżku. Zrzucił płaszcz i przewiesił go przez oparcie. Wiedział, że

przyjaciel ma pięćdziesiąt dwa lata - zaledwie o dziesięć więcej niż on sam - ale dziś Jimmy wyglądał starzej, znacznie starzej.

- Wiedziałaś, że przyjdę. Jimmy skinął głową:

- Wiem, że mogę na tobie polegać. Spojrzał na szafkę przy łóżku i poprosił:

Podaj mi wodę. Robert wstał i napełnił szklanekę.

Przepraszam, że nic ci nie przyniosłem - lemoniady, winogron, czy czegoś podobnego - ale kiedy zadzwonili ze szpitala, wolałem przyjechać od razu.

- Nie martw się. Cieszę się, że jesteś. I przepraszam, że ciągałem cię tutaj w Boże Narodzenie.

- Nic się nie stało. Naprawdę. Kathy przesyła ci pozdrowienia.

Przytrzymał szklanekę, gdy Jimmy pił powoli, a potem pomógł mu ułożyć się z powrotem na poduszce. Potem usiadł i wziął go za rękę.

Boże, Jimmy, co się stało?

- Chyba atak serca - Jimmy uśmiechnął się ironicznie. Myślałem, że to niestrawność - piekłem indyka i cały dzień podjadałem, próbując, czy jest już gotowy. Wypiłem też prawie całą butelkę południowoafrykańskiego czerwonego wina.

- Nie żartuj, Jimmy, gotowałeś? Nie pamiętasz tego grilla, który urządziliśmy w ogrodzie twojego domu, kiedy skończyłeś remont?

Spędziłem potem tydzień w kiblu.

Jimmy zaśmiał się, ale jego śmiech przypominał raczej cichy, rzeżący kaszel dobywający się z klatki piersiowej.

- Pamiętam. Obaj mieliśmy problemy, tylko bab nic nie ruszyło.

- Chyba były mądrzejsze i nie jadły kielbasek.

Robert mówi cicho, uśmiechając się. Kolor skóry Jimmy'ego i jego sine usta przerażały go.

- Więc jak się tu znalazłeś?

- Domyśliłem się, że coś jest nie tak, kiedy „niestrawność” nie mijała. A gdy rozboleła mnie lewa ręka, czułem, że jest fatalnie. Wiedziałem, co to znaczy. Cholera, Robert, obaj wiemy doskonale, jak wielu ludzi z naszej branży ma problemy z pikawą.

Zbyt wielu - zgodził się Robert. Pracoholizm, nadmiar tłustych posiłków, ogromny stres oznaczały problemy z sercem, wysokie ciśnienie i podwyższony cholesterol - przypadłości typowe dla branży filmowej. Sam miał zamiar zmierzyć sobie poziom cholesterolu, ale zawsze brakowało mu czasu.

- Wykręciłem 999 ciągnął Jimmy. I czekałem. Czekałem. Czekałem. Z trudem wzruszy! ramionami.

- Oczywiście jest Boże Narodzenie, a drogi są fatalne. Czekałem na karetkę czterdzieści pięć minut.

W oczach Jimmy'ego zaśniły łzy, lecz mówi! dalej:

- To było jak wieczność. Chyba siedząc w fotelu, miałem kolejny zawał. Jakby ktoś ugodził mnie nożem w ramię.

Gdzie byłeś?

W mieszkaniu w Tempie Bar.

- Sam?

Jimmy przytakną!

- Jimmy, czemu nic mi nie powiedziałeś, kiedy się widzieliśmy? Mógłbyś spędzić święta z nami. Nie pomyślałem, żeby cię zapytać, bo byłem pewien, że pojedziesz do Frances albo do Angeli, która zaprosi cię na ten jeden dzień.

Frances to kochanka Jimmy'ego, a od półtora roku także matka jego syna. Teraz prowadziła małą księgarnię

na zachodzie kraju. Angela była umęczoną żoną Jim-my'ego, która właśnie wystąpiła o rozwód.

- Nie chciałem się wam narzucać - szeptał Jimmy. Właściwie - przyznał - miałem nadzieję, że Angela mnie zaprosi... tylko na ten jeden dzień, jak mówisz. Ale ona ze mną skończyła. Tym razem naprawdę. Próbowałem dzwonić do niej z mieszkania, ale nie odbierała. Frances odebrała, lecz odłożyła słuchawkę, kiedy usłyszała mój głos.

Po policzkach Jimmy'ego płynęły łzy.

- Chciałem się tylko pożegnać. Na wszelki wypadek.

- Czemu nie pojechałeś do Galway, do Frances?

- Rozmawiałem z nią wczoraj rano i zaproponowałem, że przyjadę, ale nie była zachwycona tym pomysłem. Mówiła, że ich zasypało i nie dam rady dotrzeć. Nie wiedziałem, czy wierzyć jej czy nie, ale miałem wrażenie, że nawet gdyby pogoda była lepsza, Frances nie chciała, bym tam był. Wydaje mi się ciągnął ze smutnym uśmiechem - że znalazła sobie młodego miłego faceta. Z naciskiem na „młodego”. Lepiej dla niej. Jezu, Jimmy, co za bajzel.

- Zawsze miałem pociąg do dramatu.

- Oglądał cię lekarz?

- Jakies dwie godziny temu badał mnie jakiś niedojrzały koleś, który wyglądał na piętnaście lat. Powiedział mi tylko, że mam arytmie - jakbym nie wiedział - ale wezmą mnie na obserwację, zrobią kilka badań, prześwietlenie i testy, żeby się upewnić. Mówił też, że muszą trochę odczekać, bo alkohol we krwi może zniekształcić wyniki. Dlatego nie podadzą mi żadnych leków. Coś ci poradzę, synu, nie idź do szpitala w Boże Narodzenie. W każdy inny dzień będzie dobrze, ale nie w Boże Narodzenie.

- Sam na to wpadłem. Jak się teraz czujesz?

Jimmy ułożył się w łóżku. Robert poprawił przyjacielowi poduszki i pomógł mu usiąść prosto.

- Właściwie to nawet nieźle. Lepiej, bo cię widzę. I czuję się trochę winny, że odciągnąłem cię od rodziny.

Robert pokręcił głową.

- Byłbym zły, gdybyś tego nie zrobił. Jimmy ujął dłoń Roberta.

- Chyba po prostu się przestraszyłem. Czekałem na karetkę, ból w klatce robił się coraz gorszy, przed oczami tańczyły mi czarne kropki...

Myślałem, że umrę, rozumiesz.

- Czemu do mnie nie zadzwoniłeś?

- Bo gdybym umarł, nie chciałem, żebyś znalazł moje ciało.

- Dzięki... chyba - wymamrotał Robert. Jego ojciec zmarł piętnaście lat temu. Mimo że mieszkał tylko po drugiej stronie Dublinu, mniej niż godzinę od domu Roberta, rzadko się widywali. Kiedy Robert zobaczył ojca leżącego w otwartej trumnie w domu pogrzebowym, nie poznał spuchniętej postaci.

Jimmy przechylił głowę w stronę szarego okna.

- Ciągłe pada śnieg.

Robert przeszedł przez pokój, by spojrzeć na opustoszały plac. Na środku parkingu stał jeden samochód, samotny i opuszczony. Na jednej stronie auta śnieg utworzył wysoką zaspę, a maska była zupełnie zakryta, tak że nie można było rozpoznać marki. Niebo pokrywały chmury, a śnieg padał coraz mocniej, kryjąc sterty pośniegowego błota świeżą białą warstwą; ciężkie płatki uderzały o okna i ześlizgiwały się w dół, tworząc na szybie lodową kołderkę.

- Białe święta - odezwał się Robert, spoglądając przez ramię. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio były takie, a ty?

Jimmy potrząsnął głową:

- Tych na pewno nigdy nie zapomnę.
- Racja - ponuro potwierdził Robert. On też wiedział, że długo nie zapomni tego Bożego Narodzenia.

Zrobisz coś dla mnie, zanim pójdziesz? - spytał Jimmy.

Robert odwrócił się;

- Pójdę? Gdzie? Nie wychodzę.
- Jest Boże Narodzenie. Powinieneś być z rodziną.
- Cieszę się, że jestem tutaj.

Jimmy skinął głową; nagłe nie mógł zmusić się do mówienia. Opróżnił szklanekę z wodą i w końcu odezwał się:

- Zadzwońisz w moim imieniu do Angeli? Powiedz jej, gdzie jestem i że wszystko w porządku.
- Ale nie jest w porządku - przypomniał Robert.
- Nie ma sensu jej denerwować. Poza tym, co może zrobić? Pewnie siedzi pod zaspami śniegu w Wicklow.

Robert wziął od Jimmy^ego numer telefonu i wyszedł na korytarz, by zadzwonić do Angeli Moran. Chodził w tę i z powrotem, ignorując spojrzenia nielicznych dyżurujących pielęgniarek, wymownie zerkających na tabliczki z zakazem używania komórek.

Dopiero po kilkunastu sygnałach Angela odebrała telefon. Robert słyszał stukanie szkła i przytłumioną muzykę gdzieś w tle.

Odezwał się jakiś głos:

- Halo, halo?
- Hm, halo? - głos był męski, a Robert spodziewał się, że odbierze Angela. - Nie wiem, czy wykręciłem właściwy numer. Szukam Angeli...
- Już daję.

Robert słyszał stuknięcie, kiedy słuchawka uderzyła o coś twardego, a potem lekko pijany męski głos zawołał:

- Angela, kochanie, telefon!

Czyjeś kroki zastukały najpierw na drewnianej podłodze, potem na marmurze. Kiedyś Robert bywał częstym gościem na starej plebanii na przedmieściach Wicklow, którą kupili Jimmy i Angela. Dom był wspaniały, a oni odrestaurowali go w świetnym guście. Robert widział w myślach, jak Angela - wysoka, szczupła, oschła i wystudiowana - kroczy po biało-czarnej marmurowej podłodze, żeby podnieść słuchawkę.

- Tak? Słucham?

- Angela? Dzień dobry i Wesołych Świąt. Mówi Robert Walker.

W telefonie zapadła cisza - Angela bez wątpienia próbowała sobie przypomnieć, kim jest Robert Walker. Ostatnio rozmawiali z sobą jakieś cztery lata temu... podczas osławionego grilla w ogrodzie.

- Och, Robert, co za miła niespodzianka - nienaturalnie uprzejmy głos Angeli brzmiał nienagannie; żona przyjaciela dawno temu była inspicjentką w RTE. - Wszystkiego najlepszego, tobie także, i Kathy. Jak ona się miewa?

- Świetnie, dziękuję, Angela - powiedział szybko i dodał: - Dzwonię w imieniu Jimmy[^]go.

Po chwili ciszy Angela odezwała się znowu głosem jeszcze bardziej oschłym:

- Prosił cię, żebyś do mnie zadzwonił?

- Tak, prosił.

- Nie mam zamiaru rozmawiać z nim ani o nim. Robert ugryzł się w język.

- Jestem w szpitalu Mater, Angela - powiedział spokojnie. - Jimmy'ego przywieziono tutaj z podejrzeniem zawału serca.

Po kolejnej pauzie Angela odparła:

- Nie jestem pewna, czy mogę ci wierzyć, Robercie. Czy to kolejny z jego dowcipów? Złamał mi serce swoimi

kłamstwami i romansami, więc boję się, że to tylko kolejny głupi numer. Ale tym razem nie dam się nabrać, nie uwierzę mu. Jeśli Jimmy naprawdę jest w szpitalu, przekaz mu proszę ode mnie życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

- ...a potem odtożyła słuchawkę - dokończy! Robert.

- Myślała, że to żart. Skąd jej to przyszło do głowy?

- No cóż... - cicho zaczął Jimmy. - W zeszłym roku w Boże Narodzenie trochę nazmyślałem, żeby móc wrócić do domu.

- Nazmyślałeś?

- Powiedziałem, że mieszkanie jest zalane, bo pękła rura. Wymyśliłem bardzo przekonujący obraz lodowych sopli zwisających z sufitu. A Angela - jest słodka, ale taka naiwna - zaprosiła mnie na świąteczny obiad. To chyba był nasz ostatni wspólny posiłek.

- Bo skłamałeś.

- Trochę przeinaczyłem prawdę. Nie była zadowolona, kiedy się dowiedziała.

- Dlaczego w zeszłym roku nie byłeś z Frances? Dziecko miało dopiero kilka miesięcy i matka Frances przyjechała jej pomóc. Potencjalne połączenie kochanki niedługo po porodzie, miauczącego dziecka i niedosłej teściowej to dla mnie za dużo. Więc powiedziałem, że spędzę święta w swoim mieszkaniu. A Frances była jeszcze mniej zadowolona niż Angela, kiedy dowiedziała się, gdzie naprawdę byłem.

- Wiem, że mnie o to nie prosiłeś - odezwał się Robert

- ale dzwoniłem do Frances.

- Aha - szepnął Jimmy.

- Ona twierdzi, że ostatnio się pokłóciliście, a ty się na nią wydarłeś, więc wyrzuciła cię z domu i powiedziała, żebyś nie wracał.

Powiedziałem parę przykrych rzeczy na temat jej nowego chłopaka - przyznał Jimmy. - Ale znasz mnie: szybko się złość i równie szybko przebaczam.

- Jednak skończyło się tym, że Angela nie wierzy, że jesteś w szpitalu, a twoją dziewczynę to nie obchodzi. Jak się wplątałeś w taki bajzel, Jimmy?

Przez głupotę - odpowiedział krótko Jimmy Moran. - Przez najzwyczajniej szą głupotę. Nie zdawałem sobie sprawy, jak dobrze było żyć z Angelą. Kochałem ją - na swój sposób - a ona kochała mnie, lecz ja to zignorowałem, bo jakaś gówniara zamrugła rzęsami. Poklepał Roberta po ręce i mówił dalej:

- Ucz się na moich błędach, chłopcze. Dobrze ci z Ka-thy, nie zmarnuj tego dla jakiejś spódniczki.

Robert już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł miody, bardzo zabiegany lekarz.

- Cóż, panie Moran - zaczął, potem spojrzał na Roberta i zwrócił się do niego:

- Proszę dać nam chwilę, muszę zbadać pańskiego ojca...

Rozdział 29

- Dwie godziny temu zabrali go na badania - opowiadał Robert Kathy. - Próbuję się dowiedzieć, jak się czuje i jakie są wyniki, ale pielęgniarki nie mogą mi nic powiedzieć. Mają zbyt dużo roboty.

Głos Kathy skrzeczał i syczał w komórce:

- Jak wyglądał?

Robert przeczeszał palcami włosy i westchnął:

- Wyglądał koszmarnie, Kathy. Kiedy go zobaczyłem, przestraszyłem się, że już nie żyje.

- Jest twardy jak stare buty, Robercie, wiesz o tym. Poradzi sobie.
- Przepraszam, że zrujnowałem ci święta - powiedział w końcu. Wrócił do pokoju Jimmy'ego i zamknął drzwi. Stał w ciemności przy oknie i patrzył na padający śnieg, którego płatki wirowały w świetle ulicznych latarni.
- Nie to zrujnowało moje święta - powiedziała cicho. Były zmarnowane, zanim Jimmy zachorował.

Pokiwał głową, patrząc na swoje odbicie w szybie. Odpowiedział tylko:

- Wiem.

Gdybyś został dziś w domu, pewnie znów zaczęlibyśmy się kłócić.

- Pewnie tak - zgodził się. Sam o tym myślał. Gdyby nie wyszedł z domu z powodu Jimmy'ego, musiałby wymyślić inną wymówkę. Wiedział też, że bez niej Kathy natychmiast nabrałaby podejrzeń, że poszedł spotkać się z kochanką. Może powinien powiedzieć żonie, że Stephanie wyjechała do domu, do Stanów... choć to znowu wywołałoby pytanie, skąd Robert o tym wie.

- Może ten czas spędzony osobno okaże się... pożyteczny. Oboje spojrzemy na siebie z dystansem.

- Tak, tak, masz rację.

- Przemyślimy wszystko - dodała.

- Nie robię nic innego - powiedział ostrożnie, choć nie doszedł do żadnych wniosków. W głowie wciąż roily mu się różne myśli, rozwiązania i możliwości, musiał tylko znaleźć trochę czasu, żeby je rozważyć. Brak snu go dobijał. Czuł się słaby, całkiem rozbity.

- Porozmawiamy, kiedy wrócisz do domu. Zaraz zagonię dzieci do łóżek. Może zjemy małą kolację.

- Byłoby miło... tak, już od dawna nie siedzieliśmy i nie rozmawialiśmy. Będzie jak dawniej.

Na początku małżeństwa i w ciągu kilku lat po narodzinach dzieci, co wieczór siadali obok siebie i rozmawiali. Niekoniecznie o wielkich problemach - także o codziennych wydarzeniach, wiadomościach, programach telewizyjnych, które wspólnie obejrzeli, usłyszanych w radiu audycjach. Robert nie pamiętał, kiedy ten rytuał zaczął zanikać: chyba kiedy dzieci podrosły albo kiedy on sam zaczął pracować do późnej nocy. Potem, kiedy wracał do domu, był tak wyczerpany, że nie miał ochoty na rozmowę. Patrząc wstecz, zdał sobie jednak sprawę, jak ważne były te spotkania.

- Myślisz, że uda ci się dzisiaj wrócić do domu? - spytała Kathy.

- Wolałbym poczekać i zobaczyć, jak się czuje Jimmy. Nie chcę go zostawiać samego.

- Jest sam? Myślałam, że Angela albo Frances do niego przyjadą. Chyba ich nie zasypało, prawda?

- Może i zasypało, ale nie dlatego ich tu nie ma. Obie odmówiły. Okazuje się, że przez te wszystkie lata Jimmy ciągle je okłamywał i w końcu czeka go za to kara

- przyznał Robert. - Zostanę jeszcze trochę... jeśli mogę

- dodał.

- Oczywiście. Tutaj bardzo mocno pada; nawet wolę, żebyś został w mieście, niż jechał autem po takich drogach. Personel chyba nie będzie miał sumienia cię wyrzucić.

Robert wychylił się, by spojrzeć na ulicę. Była kompletnie wyludniona.

- Może masz rację. Prześpię się na jednym z pustych łóżek.

Komórka zapiknęła ostrzegawczo i Robert przeklął cicho. W tym całym zamieszaniu zapomniał naładować nieekonomiczne чудо XDA.

- Bateria mi siada - powiedział szybko.

- Czy w pokoju jest telefon? - natychmiast zareagowała Kathy.

Robert wcisnął włącznik przy łóżku, zalewając pokój mdłym żółtym światłem i zerknął na numer wydrukowany pod telefonem.

- Podyktuję ci...

Już kiedy odczytywał kolejne cyfry, był pewien, że Kathy zadzwoni do niego za kilka godzin. Zechce go sprawdzić, tak samo jak przedtem, gdy nie wiedziała, gdzie jest. Chyba nie myślała, że wykombinował coś tak karkołomnego, żeby spędzić czas ze Stephanie? Robert czuł rosnący gniew... a potem przypomniał sobie, że wcześniej wymawiał się przecież rozmową z Jimmym.

- Słuchaj, lepiej kończmy, zachowam resztki baterii. Znasz numer, dzwoń, jeśli zechcesz. Będę tu przez następnych parę godzin, a jeśli zdecyduję się zostać, zadzwonię.

- Ucałuj ode mnie Jimmy'ego - powiedziała Kathy i rozłączyła się.

- A co ze mną? - wyszeptał Robert, gapiąc się w słuchawkę.

Przysypiał, siedząc na krześle, kiedy przyjaciel wrócił do pokoju, przywieziony przez trzy osoby w zielonych kitlach. Uśmiechał się słabo do Roberta i spróbował podnieść dłoń, by mu pomachać, ale ledwo udało mu się ruszyć palcami.

Robert niezgrabnie stanął w rogu pokoju, patrząc, jak personel kładzie Jimmy'ego na łóżku. Dwoje pielęgniarzy odsunęło wózek, a szczupła kobieta o oliwkowej skórze zaczęła wypełniać kartę pacjenta wiszącą na łóżku. Spoj-

rzała na Roberta i uśmiechnęła się, ukazując śnieżnobiałe zęby między krwistoczerwonymi wargami.

- Jestem doktor Abnctt.

- Dobry wieczór, pani doktor.

Podszedł do krawędzi łóżka i ścisnął Jimmy'ego za rękę.

- Jak on się ma? - zapytał.

- Nie rozmawiajcie tak, jakby mnie tu nie było - marudził Jimmy.

- Zachowuj się - zganiał go Robert.

- Pana ojciec miał dzisiaj przynajmniej jeden, a prawdopodobnie nawet dwa mniejsze ataki serca - powiedziała doktor Abnett, popełniając ten sam błąd, co poprzedni lekarz, ale tym razem nikt go nic sprostował. - I nie były to pierwsze zawały, muszę dodać - choć mógł nie być ich świadomy. Zrobiliśmy wcześniej angioplastykę, a chirurg najprawdopodobniej zasugeruje by-pas, najpewniej podwójny, może nawet potrójny, i to wkrótce.

- Kiedy? - spytał Robert.

- W ciągu następnych kilku miesięcy. Może wcześniej. Robert przystawił szklankę z wodą do ust przyjaciela i patrzył, jak Jimmy pije powoli. Kiedy udało mu się trochę ugasić pragnienie, zapytał z wysiłkiem:

- Kiedy będę mógł wyjść do domu? Młoda lekarka uśmiechnęła się.

- Na pewno nie dziś i nie jutro. Może przed Nowym Rokiem, pod warunkiem, że będzie to najspokojniejszy Sylwester w pana życiu.

Potrzymamy pana na obserwacji przez kilka dni, będziemy monitorować funkcje życiowe, a później nasz kardiolog wykona badania. On podejmie ostateczną decyzję.

Spojrzała na kartę i dodała:

- Tu jest napisane, że mieszka pan sam.

- Może pomieszkać u mnie natychmiast odezwał się Robert.
- Nic mogę... zaczął Jimmy.
- Nalegam upierał się Robert.
- Ale Kathy...

Ucieszy się z twoich odwiedzin zdecydowanie przerwał mu przyjaciel.

Spojrzał na lekarkę i dodał: - Zaopiekuję się nim.

- Cóż, to zdecydowanie ułatwi sprawę.

Lekarka umocowała kartę na ramie łóżka i poklepała Jimmy'ego po nodze, dodając:

- W takich sytuacjach dobrze jest mieć przy sobie rodzinę, prawda?

Kiedy już wyszła, Jimmy powiedział cicho:

- Nienawidzę lekarzy.

Robert przysunął sobie krzesło i usiadł przy łóżku.

- Co takiego ci zrobiła ta lekarka?

Jimmy odpowiedział, przedrzeźniając głos doktor Abnett:

- W takich sytuacjach dobrze jest mieć przy sobie rodzinę, prawda? Mam pięćdziesiąt dwa lata, nie osiemdziesiąt dwa. Dasz ludziom biały kitel, a wyda im się, że są lepsi od wszystkich innych na tej planecie.

- Miała zielony kitel zauważył Robert z uśmiechem.

- Dobra, dobra, zielony czy biały...

- A czy chirurdzy, ci najważniejsi, nie noszą przypadkiem własnych garniturów? żartował Robert.

- Wszystko jedno, dasz człowiekowi biały, zielony albo trzyczęściowy garnitur, a wyda mu się, że jest lepszy od wszystkich innych na tej planecie.

- Od kiedy jestem twoim synem?

- Nie wiem, czy mam być za to zły, czy nie - zrzędził Jimmy. - Czy wyglądam na tyle staro, by być twoim ojcem?

- Jimmy, teraz wyglądasz tak, że mógłbyś być moim dziadkiem - szczerze odpowiedział Robert.

Uśmiech Jimmy'ego zbladł.

- Byłbym dumny, gdybym miał takiego syna, jak ty, Robercie. Wiesz o tym.

- Daj spokój, nie będziemy o tym gadać. Też się cieszę, że cię poznałem. Tyle mnie nauczyłeś. Nawet dzisiaj rano myślałem...

- A popijałeś coś przy tym myśleniu?

- Ani kropli. Choć potem jak wariat pojechałem do miasta o trzeciej nad ranem,

Oczy Jimmy'ego otworzyły się szeroko.

- To ma coś wspólnego ze Stephanie?

- Trafiony zatopiony. Zaraz ci o tym opowiem. Najpierw jednak zdradzę, o czym myślałem.

- Dawaj.

- Myślałem, że w przyszłym roku powinienem zebrać się do kupy i dać sobie spokój z tą moją niezależną produkcją. Muszę się usatkwować i zrobić jakiś porządny kawałek. Pamiętasz, kiedy zaczynałem, miałem takie piękne plany: chciałem robić kontrowersyjne i ostre dokumenty, genialne programy... i jak skończyłem?

- Robiłeś to, co ci radziłem: wszystko, co zapewni ci wikt i opierunek, da praktyczne doświadczenie i czego nie będziesz się wstydził wpisać do CV.

- Pamiętam. Zgodziłem się z tobą, kiedy mi to mówiłeś po raz pierwszy. A potem wspomniałeś, że Ridley Scott zaczynał od reklamy.

- Nakreślił tę znaną reklamę Hovisa. Chłopiec pchający rower pod górę.

- Więc zdecydowałem, że będę potrzebował partnera - kogoś, kogo znam i komu ufam, kto przypilnuje in-

teresu, kiedy ja będę szukał nowych zleceń. Jeśli ten teledysk wypali, może być świetny i przynieść nam kolejne kontrakty. Nie będę mógł zrealizować wszystkiego sam.

Jimmy leżał w łóżku i w milczeniu przyglądał się przyjacielowi.

- W przeszłości dobrze nam się razem pracowało - ciągnął Robert. -

Myślałem nawet, że może sformalizujemy nasz układ i wejdziemy w spółkę. Moglibyśmy założyć nową firmę, „Walker i Moran” albo „Walker Moran”. No, powiedz coś - dodał, kiedy Jimmy nie odpowiadał.

- Chciałbym... bardzo - odezwał się przyjaciel słabym głosem. - Ale musisz zdać sobie sprawę, że jestem spalony w tej branży. W mieście jest wiele osób, które na mój widok przechodzą na drugą stronę ulicy.

- I wielu innych, którzy przechodzą na twoją stronę ulicy, żeby poprosić cię o radę - nalegał Robert. - Czy możesz przynajmniej to przemyśleć?

- Dobrze - obiecał Jimmy. - Tylko pod warunkiem, że firma będzie się nazywać „Moran i Walker” albo „Moran Walker” - uśmiechnął się. -

Rozmawiałeś z Ka-thy o tym pomysle?

Robert położył łokcie na łóżku i złożył razem dłonie:

- Jeszcze nie - westchnął. - Mam zamiar spróbować odkupić połowę udziałów w firmie, które należą do Kathy.

- To nie brzmi najlepiej - wymamrotał Jimmy. Sięgnął ręką, by wyłączyć światło, pograżając pokój w całkowitej ciemności. - Raziło mnie w oczy - wyjaśnił.

Siedzieli w milczeniu, a szpitalny pokój stopniowo rozjaśniał się metaliczną poświatą odbijającą się w leżącym na dworze śniegu. Jedynie w rogu, gdzie zaglądała uliczna latarnia, światło było ciepłe i bursztynowe.

- Powiedz mi, co się stało - w końcu odezwał się Jimmy.
 - W skrócie: Kathy dowiedziała się o Stephanie. Wczoraj w domu Stephanie spotkaliśmy się we troje. Wybacz dobór słów, ale kiedy wszedłem do pokoju i zobaczyłem tam je obie, myślałem, że dostanę zawału.
 - Znam to, synu, byłem w twoich butach. Są dwa rozwiązania: krzyki albo lodowata uprzejmość.
 - U nas była lodowata uprzejmość.
 - A, to najgorsze wyjście. Nic nie jest lepsze od porządnego wydarcia się dla oczyszczenia atmosfery.
 - A potem Stephanie mnie odtrąciła, kazała wracać do żony - Robert pokręcił głową; ciągle nie pojmował, dlaczego tak się stało.
 - Kathy cię przyjęła? -Tak.
 - Zawsze mówiłem, że to dobra kobieta. Trzeba mieć jaja, żeby tak postąpić.
- Robert milczał. Pamiętał, że Maureen powiedziała prawie dokładnie to samo. Dziwne, ale on nie myślał nigdy o żonie w ten sposób.
- Przecież tego chciałeś, prawda?
 - Cóż... ostatnio dużo o tym myślałem - cicho odparł Robert.
- Jimmy ścisnął rękę Roberta i odpowiedział:
- Dostałeś drugą szansę, synu. Nie spieprz, tego. Spójrz na mnie - ucz się na moich błędach.
 - Wiem, że dostałem drugą szansę... ale wiesz co? Ja chciałbym tę szansę wykorzystać ze Stephanie.
 - Nie można tak łatwo zapomnieć o osiemnastu latach małżeństwa.
 - Nie zapominam. Sześć lat temu Kathy oskarżyła mnie, że mam romans - chyba wtedy nasz związek zaczął się rozpadać.

- To ty masz romans, Robercie. Kathy pozostała ci wierna.

Robert wstał i podszedł do okna, włożył ręce do kieszeni i patrzył na wielki biały plac na dole. Na szybie pojawiło się idealnie okrągłe kółko z wydychanej pary.

- Mam czterdzieści dwa lata, Jimmy. Dostałem szansę, żeby zacząć życie od nowa z kobietą, która mnie kocha. Byłbym szalony, gdybym z tego nie skorzystał.

- Kathy cię kocha. Na tyle mocno, by o ciebie walczyć. Gdyby cię nie chciała, z łatwością popchnęłaby cię w ramiona Stephanie.

Robert oparł czoło o chłodną szybę - Jimmy miał rację. Nawet kiedy snuł noworoczne plany, cały czas myślał o tym, że Kathy go kocha.

- Rozumiem, że nie wspomniałeś o swoich planach ani Kathy, ani Stephanie?

- Jeszcze nic. Stephanie... Stephanie zniknęła zaraz po naszym wczorajszym spotkaniu. Prawie oszalałem, próbując ją znaleźć pojechałem nawet do jej domu w środku nocy, ale dopiero dziś rano udało mi się z nią pogadać - jest u rodziców, na Long Island.

- Myślałem, że spędzi święta w Irlandii?

- Taki był plan, dopóki Kathy nie pojawiła na progu jej domu.

Najwyraźniej kiedy my stamtąd odjechaliśmy, ona zdecydowała, że nie chce siedzieć tu sama i udało jej się kupić bilet na lot do Stanów.

- Spryciara. Musiało być ciężko - Jimmy z trudem przekręcił się na łóżku.

- Wiesz, jeśli choćby wspomnisz Kathy, że ciągle interesujesz się Stephanie, wyrzuci cię na dobre i nie będzie chciała cię znać.

- Wiem.

- Musisz więc być stuprocentowo pewny tego, co chcesz zrobić, ale nim wykonasz poważniejszy krok,

upewnij się także, jak zareaguje Stephanie. Nie powinieneś o tym teraz myśleć. Emocjonalnie jesteś wrakiem: twój romans się wydał, są święta, martwisz się o Stephanie... i oczywiście ja wtrąciłem się w to wszystko, dodając kolejne zmartwienie. Proszę, proszę, proszę, nie podejmuj żadnych decyzji. Daj sobie trochę czasu, nabierz dystansu do ostatnich wydarzeń.

- Jest jeszcze jeden problem... - Robert spojrział przez ramię. Ledwo mógł dostrzec sylwetkę Jimmy'ego leżącego w łóżku. W szarym półświecie tylko oczy przyjaciela świeciły jasno. - Stephanie twierdzi, że może być w ciąży.

- Jezu, Robert! I ty mi mówisz, że moje życie to bajzel! Robert odsunął się od okna i zaczął chodzić po małym pokoju.

- Stephanie zadzwoniła do mnie dzisiaj... - zatrzymał się, gdy pewna myśl wpadła mu do głowy. - Właściwie, czy mógłbym prosić cię o przysługę?

- Jasne - natychmiast odparł Jimmy.

- Jeśli będziesz rozmawiał z FCathy i ona zapyta cię, czy dzisiaj dzwoniłeś do mnie do domu, czy mógłbyś potwierdzić? Kiedy Stephanie dzwoniła, powiedziałem, że to ty.

- Dobrze - powoli odpowiedział Jimmy.

- Stephanie wraca do domu. Chce ze mną porozmawiać o dziecku. Coś zaplanować.

- Co zaplanować? - głos Jimmy'ego był raczej cichym pomrukiem.

- Nie wiem. Wątpię, by chciała zatrzymać to dziecko. Nie wiem nawet, czy chce je donosić. Jeśli to dopiero początek ciąży, zdążymy jeszcze pojechać do Londynu.

- Usiądź, na Boga - zirytował się Jimmy. - Kręci mi się w głowie od twojego chodzenia.

Robert usiadł z powrotem na krześle przy łóżku, a Jimmy wziął go za rękę.

- A teraz posłuchaj zaczął. - Nigdy ci źle nie poradziłem, prawda?

- Nigdy.

- Powiedz Kathy o dziecku.

- Powiedzieć Kathy!?

- Nie powiedziałem Angeli, kiedy Frances była w ciąży. To największy błąd, jaki zrobiłem w życiu. Mogłaby wybaczyć mi wszystko, ale nie to. Powiedz Kathy. Ona musi wiedzieć o wszystkim.

- Nie mogę.

Sama myśl była dla Roberta nieznośna.

- Jeśli jej nic powiesz, a ona się dowie a dowie się na pewno - będziesz skończony.

- Jimmy, ja chcę się z nią rozstać.

- Co? Dlaczego? - spytał Jimmy. Bo... - zaczął Robert.

- Czy ona wciąż cię kocha? - przerwał mu przyjaciel.

- Tak, tak, mówi, że kocha.

- Czy nie poszła do Stephanie, by o ciebie walczyć?

- Owszem.

- Czy zaproponowała ci, żebyś wrócił? -Tak.

- Więc nie bądź głupcem. To tylko twoje hormony świrują. Chcesz odejść od kochającej cię kobiety, zostawić osiemnastoletni związek, firmę, którą przez tyle samo lat budowałeś, piękny dom, dwoje wspaniałych dzieci dla... dla kogo?

- Dla Stephanie - cicho odpowiedział Robert.

- Dla Stephanie. Powiedz mi, co ona dla ciebie zrobiła - oprócz podsunięcia kilku zleceń i seksu, oczywiście.

Po długiej chwili milczenia Robert odparł:

- Sprawia, że czuję się dobrze z samym sobą.

- Robert, tylko ty możesz sprawić, że będziesz się czuł z sobą dobrze.

Stephanie jest młodsza od Kathy, to prawda, ale co oprócz tego? Wyznam ci z własnego gorzkiego doświadczenia, że seks z osobą, z którą mieszkasz, nie jest już taki fantastyczny. Nic nie może równać się z dreszczykiem zakazanego romansu. Powiedziałaś mi, że przez jakiś czas nie będzie już przekazywała ci zleceń, ale kiedy będziecie parą, w ogóle nie będzie mogła tego robić. A ty chcesz się wprowadzić do tego jej malutkiego domku, w którym ledwo można się obrócić?

Zamilkł i zaczął kaszleć, nagły atak sprawił, że aż zwinął się z bólu.

- Jeśli odejdziesz od Kathy wysapał, oddychając z trudem - stracisz wszystko: żonę, dzieci, dom, a pewnie także i firmę. Maureen odejdzie - jest bardziej lojalna w stosunku do Kathy niż do ciebie. Nic ci nie zostanie. Nic. Zaufaj mi: w tym temacie jestem ekspertem.

Romanse Jimmy'ego-producenta były legendarne. Robert dawno temu zdał sobie sprawę, że przyjaciel po prostu uwielbiał kobiety: bardziej podniecało go zdobywanie ich niż efekt końcowy, jak zdradził kiedyś Robertowi. A ten zastanawiał się, czy przypadkiem poglądy przyjaciela nie wpłynęły zbyt mocno na jego własną decyzję o zaangażowaniu się w romans ze Stephanie. Pamiętał, jak bardzo go zdziwił brak wyrzutów sumienia.

- Odpocznij, Jimmy, proszę - poprosił, zaniepokojony jego dziwnym kaszlem. - Przemyślę wszystko. Obiecuję. Tylko odpocznij teraz.

- Daj mi pić.

Robert nalał wody do szklanki i przytknął ją do ust Jimmy'ego.

- Dzięki.
 - Nie podejmę żadnych drastycznych kroków, przyrzekam. Dacś mi sporo do myślenia. Jak zawsze - dodał, próbując się uśmiechnąć.
 - Kathy cię kocha - wyszepta! Jimmy. - Jest zaskoczona, zła, zmartwiona. Jeśli powiesz jej o dziecku, nie będzie to dla niej tak wielki cios, jak myślisz. Musisz być szczery. Opowiedz jej wszystko.
 - Dobrze - szybko odparł Robert. Obiecałby teraz wszystko, byle tylko uspokoić przyjaciela.
 - Dobry chłopak - zaśmiał się Jimmy. - Wiesz, może wejde z tobą w spółkę w przyszłym roku. Mógłbyś być młodszym wspólnikiem.
 - Hej, już nie takim młodszym!
 - Byłoby fajnie - głos Jimmy'ego słabł, w miarę jak chory zapadał w sen. - Zbyt długo byłem sam. Stworzylibyśmy wspaniały zespół. Palce ściskające dłoń Roberta stały się chłodne.
 - Nie powtarzaj moich błędów, Robercie. Nie odchodź od kobiety, która cię kocha...
- Dopiero po dłuższej chwili Robert zrozumiał, że Jimmy Moran już nigdy więcej się nie odezwie.

Rozdział 30

Niedziela, 28 grudnia Musimy iść.

Robert Walker siedział na brzegu małego łóżka w swoim gabinecie, próbując zawiązać sznurówki. Kathy stała w drzwiach, ubrana w gruby, czarny, wełniany płaszcz.

- Nie wiedziałem, że jest tak późno - wymamrotał.
- Drogi będą śliskie - przypomniała mu. - Powinniśmy wyjechać trochę wcześniej. Dzieci zdecydowały, że zostaną - dodała. - Właściwie prawie wcale nie znały Jimmy "ego.

Robert wyprostował się.

- Tak, oczywiście - powiedział rozkojarzony. - Kilka godzin temu rozmawiałem z Lloydem, bratem Jimmy'ego z Australii. Nie uda mu się przyjechać na pogrzeb. Nie dostanie urlopu.

- Szkoda.

- Tak, ale przynajmniej pojawią się Mikey i Teddy. Jimmy by się ucieszył.

Kathy zatrzymała męża w przejściu i wygładziła kołnierz jego czarnego garnituru, a potem poprawiła mu krawat.

- Myślę, że Jimmy byłby bardzo dumny z tego, co dla niego zrobiłeś przez ostatnie dwa dni - powiedziała. Potem odwróciła się i zeszła po schodach. Robert powoli podążył za nią, zdając sobie sprawę, że przed chwilą żona dotknęła go po raz pierwszy od chwili, kiedy dostał od niej policzek w domu Stephanie - w Wigilię, w zeszły wtorek. Wieki temu.

Pomyślał, że to było jakby w całkiem innym życiu.

Później, kiedy Robert Walker próbował sobie przypomnieć kilka dni, które nastąpiły po śmierci Jimmy'ego Morana, wszystko zamazywało się i zlewało w nieokreślony kalejdoskop zdarzeń. Nie potrafił rozróżnić, co stało się naprawdę, a co tylko mu się przywidziało pewnych chwil w ogóle nie pamiętał.

Przypominał sobie, jak siedział w szpitalnym pokoju, trzymając stygnącą dłoń przyjaciela w swoich dłoniach, z twarzą przyciśniętą do prześcieradła. Płakał. Nie tylko

z powodu utraty przyjaciela, ale także ojca, którego nigdy nie miał. Jimmy Moran tak bardzo wpłynął na życie Roberta, pozytywnie i negatywnie. To Jimmy nauczył go, jak radzić sobie w branży; to jego entuzjazm i pewność siebie zachęciły Roberta do założenia własnej firmy. Ale to także Jimmy nauczył go pić i wykorzystywał jako alibi dla kolejnych romansów.

Robert pamiętał, że około północy obudziła go młoda pielęgniarka i wygoniła z pokoju. Siostry wbiegały i wybiegały z pokoju, potem lekarz, którego nie było wcześniej, spokojnym - zbyt spokojnym - krokiem wszedł do środka, a kilka chwil później wyszedł, kłamiąc, że „jest mu przykro”.

Robert nie pamiętał, jak znalazł się w domu.

Zupełnie.

Później, znacznie później, zauważył długą rysę wzdłuż przedniego zderzaka, ale nie wiedział, w co i kiedy uderzył. W jednej chwili było wczesne rano i omiatał swój stojący pod szpitalem samochód ze śniegu, a potem od razu skręcał na podjazd w Swords... otworzyły się drzwi...

Kathy stała, czekając na niego. Chciał - bardzo pragnął by go przytuliła, ale ona nie wykonała nawet najmniejszego gestu. Duma, wstyd i wyczerpanie powstrzymały Roberta od zrobienia choćby kroku w jej stronę. Minął żonę, mówiąc tylko „Nie żyje”, i z wysiłkiem wszedł po schodach, zdjął buty, rzucił marynarkę na podłogę, usiadł w fotelu i zasnął natychmiast.

Następne czterdzieści osiem godzin spędził na skomplikowanych próbach odnalezienia rodziny Jimmy'ego. Angela z ulgą pozwoliła mu przygotować uroczystości, a Frances długo była nieosiągalna. Robertowi udało się znaleźć adres Mikeya Morana, najstarszego brata z Toronto. Od niego dostał namiary na Teddy'ego w Pittsburghu i Lloydę,

mieszkającego na przedmieściach Sydney. Mikey i Teddy obiecali, że przyjadą, jeśli pogrzeb uda się opóźnić o kilka dni, ale Lloyd nie wiedział, czy się pojawi - był strażakiem i miał dyżur przez cały noworoczny okres. Robert zorganizował, co trzeba; odwiedził dom pogrzebowy, znalazł kościół, w którym miała się odbyć msza, wybrał trumnę i miejsce dla Jimmy'ego koło swojej matki, na cmentarzu Glasnevin. Z pozwoleniem Angeli poszedł także do mieszkania Jimmy'ego w Tempie Bar i wybrał jego najlepszy czarny garnitur od Armaniego, białą jedwabną koszulę i ręcznie malowany krawat Hermesa, który dał mu zresztą w prezencie na poprzednie Boże Narodzenie. Nigdy nie widział, żeby Jimmy go nosił. Kiedy w piątek wieczorem wrócił do domu z zakładu pogrzebowego, zobaczył, że Kathy wstawiła mu do gabinetu łóżko, żeby nie musiał spędzić kolejnej nocy w fotelu. Czarny garnitur, jasnoniebieska koszula i złoty krawat leżały na oparciu krzesła.

- Dzięki - powiedział nagle Robert. Zapuścił silnik i włączył ogrzewanie na pełną moc, by odparować szyby.

Kathy spojrzała na niego pytająco.

- Za łóżko... i przygotowanie garnituru.

- Pomyślałam, że masz dość zmartwień.

- Cóż, jeszcze raz dziękuję. Także za to, że ze mną jedziesz.

- Znałam Jimmy'ego. Lubiłam go, mimo że był nicponiem, chcę uszanować jego pamięć. I wesprzeć ciebie.

Robert skinął głową, wolał się nie odzywać. Włożył okulary słoneczne.

Niebo było bezchmurne, a blade słońce nie dawało ciepła, tylko

błyszczało i odbijało w śniegu na poboczu i w zamarzniętych kałużach.

- Jak się czujesz? - spytała Kathy.

Robert skupił się na prowadzeniu auta po śliskiej drodze, pamiętając, że obok niego jadą inne samochody. Starał się nie zepchnąć nikogo z drogi, żeby jeszcze bardziej nie psuć tych „wspaniałych” świąt.

- Jestem trochę nieprzytomny - przyznał w końcu, kiedy dojechali do końca ulicy. Droga prowadząca w głąb Swords świeciła się od wilgoci, a piasek błyszczał na czarnym asfalcie.

- Wiesz - odezwał się po chwili - wczoraj albo przedwczoraj zdałem sobie sprawę, że znałem Jimmy'ego ponad dwadzieścia lat. Prawie połowę mojego życia.

- Był na naszym weselu - przypomniała mu Kathy. - Wtedy nas sobie przedstawiłeś.

- Nie pamiętam.

- A ja tak.

- Był czas, kiedy widywałem go każdego dnia przez miesiąc, a potem nie spotykałem całymi tygodniami. Ale nawet wtedy zawsze czułem się tak, jakbyśmy nigdy się nie rozstawali.

- Kiedyś zazdrościłam ci tej przyjaźni. Cieszyłam się tytko, że Jimmy nie jest kobietą - wyznała Kathy, ale urwała nagle, zdając sobie sprawę, co właśnie powiedziała.

- Zabawne, co? - cicho odparł Robert. - Facet może bardzo blisko przyjaźnić się z drugim facetem i nikt tego nie skomentuje, ale jeśli to kobieta, od razu wszyscy zaczynają plotkować.

- Dawniej myślałam, że kobieta i mężczyzna mogą tworzyć zupełnie platoniczny związek - ciągnęła Kathy.

Teraz... teraz nie jestem tego pewna. Robert ostrożnie objechał rondo, czując, jak samochód zachodzi przy skręcie na śliskiej drodze, po czym

skierował się w stronę dzielnicy Malahide i domu pogrzebowego, gdzie wystawiono ciało Jimmy'ego.

- Jednak Jimmy miał wiele kobiet-przyjaciółek, które nie były jego kochankami. Mówił, że jeśli obie strony zdają sobie sprawę, że nie będzie między nimi seksu, mogą zawiązać prawdziwą przyjaźń.

- A ty jak myślisz? - spytała Kathy.

- Nie wiem - odpowiedział szczerze. - Poza kontaktami służbowymi, nie mam towarzyskich stosunków z wieloma kobietami.

- Z wyjątkiem twojej kochanki! - wypaliła Kathy, ale natychmiast się zreflektowała. - Przepraszam. Nie chciałam dzisiaj poruszać tego tematu. Wiem, że cierpisz. Szanuję to.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Robert odezwał się pierwszy:

- Przez ostatnie kilka dni nie mieliśmy okazji, żeby porozmawiać o tym, co się stało.

- Porozmawiamy, jak to wszystko się skończy - zdecydowanie odparła Kathy. - Myślę, że powinniśmy pójść do poradni małżeńskiej.

Robert zmarszczył brwi:

- Chyba nie mam ochoty na to, by ktoś obcy wtrącał się w nasze życie.

- Nie będę się z tobą kłócić - obstawała przy swoim Kathy. - To nie jest propozycja. Jeśli chcesz ze mną zostać - jeśli mamy być razem - musimy zacząć od nowa. Chcę, żebyśmy poszli do poradni, by oczyścić atmosferę i omówić przyczyny, dla których oddaliliśmy się od siebie.

- Praca nas rozdzieliła - wypalił Robert. To, że pracowałem bezustannie, żeby spłacić hipotekę i mieć na chleb. Jeśli o to chodzi - praca jest jedynym powodem. Gdybyś była bardziej zaangażowana w działanie firmy -

i bardziej interesowała się mną - wiedziałabyś, o czym mówię.

- Nie próbuj twierdzić, że to wszystko moja wina.

- Już ci powiedziałem, że to nie jest twoja wina - odpowiedział Robert. -

Cały ten bałagan powstał wyłącznie przeze mnie. Przyznaję się do tego.

Odetchnął głęboko, próbując uspokoić narastający gniew.

- Porozmawiamy o tym za dzień lub dwa - zakończył cicho.

Resztę drogi do domu pogrzebowego przebyli w milczeniu.

Rozdział 31

Robert był zaskoczony, że w małym domu pogrzebowym przy głównej ulicy Malahide pojawiło się tak wiele osób. Ludzie ze świata rozrywki, twarze znajome z telewizji i z kina, teatru i radia. Przyjechała nawet Angela, pod rękę z emerytowanym prezenterem TV. Pocałowała Roberta w oba policzki i dziękowała za wszystko, co zrobił. Żadne nie wspomniało o ostatniej rozmowie w szpitalu. Frances nie pojawiła się. Ubrany w czarny garnitur, położony w wybranej przez Roberta trumnie Jimmy wcale nie wyglądał, jakby „spął w pokoju”, jak głosił napis na jednym z wieńców. Wyglądał pusto. Skóra na twarzy opadła, podkreślając policzki i odsłaniając kości policzkowe tak, że zmarły wyglądał, jakby się skurczył. Robert pochylił się i delikatnie pocałował zimne czoło, nie zważając, czy ktoś na niego patrzy.

- Do widzenia, stary przyjacielu. Żadnych więcej zmartwień, co? - szepnął i odszedł szybko, czując, jak zaczyna dławić go w gardle. Wiedział, że jeśli spojrzy na kogoś, zacznie płakać, wpatrywał się więc tylko w kwadratowy wzór na posadzce.

Modlitwy w domu pogrzebowym szybko się zakończyły, a potem wieko trumny zostało zamknięte i przyśrubowane. Robert był jednym z sześciu mężczyzn niosących trumnę do karawanu. Znał pozostałych - były to ważne postacie w irlandzkim przemyśle rozrywkowym, między innymi towarzysz Angeli - a kiedy wyszli na krystalicznie jasne powietrze, zaczęły mrugać flesze aparatów fotografów i reporterów, zbierających wywiady i zdjęcia do niedzielnych gazet. Kiedy drzwi karawanu zamknęły się, Robert stał, nie wiedząc, co robić, dopóki Kathy nie wzięła go pod ramię i zaprowadziła w stronę samochodu.

- Jimmy by się ucieszył - powiedziała.

Robert wcisnął się swoim audi za samochód pogrzebowy i karawan. Spoglądając we wsteczne lusterko, widział sznur samochodów ciągnących wzdłuż Malahide Road.

- Na pewno - zgodził się.

- Znał wielu ludzi - dodała Kathy.

- Niektórzy prowadzili z nim interesy, a inni - tak jak ja - korzystali z jego pomocy w początkach kariery. Pewnie w kościele będzie znacznie więcej ludzi, a w poniedziałek na pogrzebie - jeszcze więcej.

- Cieszę się, że Angela przyjechała.

- Dziękowała mi, że się wszystkim zająłem. Nie wyglądała na zmartwioną.

Był bardziej niż zdziwiony - ale nie ulżyło mu ani trochę - że nie pojawiła się Frances z synkiem. Wydawało

mu się, że Angela i Frances nigdy przedtem się nie spotkały, choć widniały obok siebie na czołówkach brukowców. Bardzo nie chciał, żeby nad trumną przyjaciela miała miejsce jakaś awantura. Może po to zjechali się fotografowie. Jak na ironię Jimmy, który całe życie przeżył w blasku reflektorów, zawsze próbował chronić prywatne sprawy. Bez powodzenia.

- Znał wszystkich - ciągnął Robert. - Myślałem nawet, żeby spytać go, czy nie wszedłby ze mną w spółkę -dodał, ale natychmiast zrozumiał, że nie powinien tego mówić.

- Bez pytania mnie o zdanie? - Kathy wydawała się bardziej zdziwiona niż zła.

- Nie, oczywiście miałem zamiar najpierw porozmawiać z tobą - skłamał.

- Jedną z rzeczy, którą musimy wyjaśnić, jest moja pozycja w firmie.

Mam połowę udziałów - przypomniała.

A ja połowę domu, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

- To i tak czysta teoria - odparł.

- Musimy zmienić wiele rzeczy, Robertcie - powiedziała twardo Kathy.

- Tak, musimy - wyszeptał w odpowiedzi.

- To twój telefon? - Kathy zganiła Roberta.

Mąż spojrzał na nią, nie wiedząc, o co chodzi. Powoli wychodzili z

kościółka po krótkiej mszy, podczas której ciało Jimmy'ego zostało

poświęcone przez poważnie wyglądającego jezuitę, dawnego znajomego Morana z college^.

- Coś wibruje - powtórzyła Kathy.

Robert pomacał wewnętrzne kieszenie i przez materiał poczuł drgania.

- Och, rzeczywiście.

Złapał lewą rękawiczkę zębami, ściągnął ją, a potem długo męczył się z guzikami płaszcza, aż w końcu sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął XDA... który właśnie przestał dzwonić.

1 nieodebrane połączenie

Wcisnął przycisk i przejechał wykaz rozmów, szukając spisu tych nieodebranych: ***Burroughs, Stephanie***

Poczuł, jak krew zaczyna pulsować mu w skroniach. Nie teraz, nie będzie teraz załatwiał spraw ze Stephanie. Musi jakoś przeżyć ten dzień bez zbędnych scen.

- Kto to? - spytała Kathy.

- Znajomy Jimmy[^]go - powiedział bez wahania. - Pewnie chciał spytać o poniedziałkowe uroczystości.

Wkładał telefon z powrotem do kieszeni, kiedy aparat znów zawibrował. Spojrzał nerwowo na ekran - numer prywatny. Odsunął się od Kathy i od tłumy, wcisnął zieloną słuchawkę i powiedział cicho:

- Słucham?

Głos Stephanie Burroughs był lodowaty: Dlaczego nie odebrałeś przed chwilą? - warknęła.

- Przepraszam wyszeptał. Miałem komórkę w wewnętrznej kieszeni marynarki i żeby ją wyjąć, musiałem zdjąć rękawiczkę i rozpiąć płaszcz. Zanim zdążyłem to zrobić, rozłączyłaś się. Wkładałem go z powrotem do kieszeni, kiedy zadzwoniłaś ponownie. Przepraszam.

Wiedział, że gada głupoty. Kathy zatrzymała się i patrzyła na niego, złościąc się, że odebrał telefon, choć i tak wyszli już z kościoła i przedzierali się przez prostokątne podwórko w stronę wyjścia na parking. Dostałeś mój e-mail, w którym pisałam, że wracam?

Słyszał jakiś hałas w słuchawce, jakby Stephanie była w samochodzie.

- Nie, nie. Nie miałem dostępu do komputera.
- Jakoś ci nie wierzę - burknęła.
- Naprawdę - westchnął. - To jakieś wariactwo. Nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię później.
- Mam nadzieję!
- Pogadamy później. Muszę kończyć. Jestem na wyprowadzeniu Jimmy'ego Morana powiedział w końcu, zdenerwowany, bo Kathy zaczęła iść w jego stronę.
- Co? Nie słyszę cię. Co mówiłeś? Robert podniósł głos:
- Powiedziałem, że jestem na wyprowadzeniu zwłok Jimmy'ego Morana. Zmarł w Boże Narodzenie - dodał, żeby wyjaśnić sytuację i rozłączył się.
- Kto to był?
- Ktoś, kto nie wiedział, co się stało.
- I jak to przyjął?
- Nie wiem - odpowiedział szczerze. - Nie czekałem na odpowiedź. Kiedy dotarli z powrotem do Swords, było już prawie południe. Robert wjechał na podjazd, ale nie wyłączył silnika.
- Nie wchodzisz?
- Chciałem pojechać do biura, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Może trochę popracować, zająć czymś innym. Kathy popatrzyła na męża, jakby chciała skomentować jego słowa, ale powiedziała tylko:
- Powinieneś wejść i odespać. Wyglądasz fatalnie. Chyba ostatnio nic porządnego nie jadłeś i prawie nie spałeś.
- Nie, lepiej pojedę. Miałem zajrzeć do biura już wczoraj, ale nie zdążyłem. Wrócę do domu jak najszybciej. Jestem wykończony.

To była prawda. Emocjonalne przeżycia, fizyczne wyczerpanie i niedobór snu sprawiały, że czuł się, jakby był chory - bolał go każdy miesiąc, a ciało miał napięte i obolałe. Nie chciał co prawda jechać przez całe miasto i mierzyć się z gniewem Stephanie, ale lepsze to niż żeby znów miała dzwonić do domu albo - co gorsza - przyjechać tutaj.

- Niedługo będę - obiecał.

Kiedy Kathy wysiadła z samochodu, Robert zawrócił i wyruszył w długą podróż przez miasto. Otworzył odrobinę okno, by zimne powietrze go otrzeźwiło i zaczął wymyślać różne wersje rozmowy ze Stephanie.

Musiał tylko sprawić, żeby myślała rozsądnie, a to nie powinno być zbyt trudne. Skoro już podejmą decyzję, będzie mu trochę łatwiej.

Rozdział 32

- Witaj, Stephanie.

Pomimo zmęczenia Robert zauważył, że kobieta stojąca przed nim w drzwiach wygląda zachwycająco. Miała na sobie kremową jedwabną bluzkę, czarne spodnie i skromną biżuterię z białego złota, którą często sam jej kupował. Stephanie była elegancka, miała lśniące usta pomalowane nową szminką i błyszczące oczy.

Odsunęła się i wpuściła go do salonu. Dziwne, że minęły tylko trzy dni, od kiedy stał w tym samym pokoju, patrzył na przyniesione prezenty i zastanawiał się, czy na górze znajdzie ciało Stephanie. Nie było tylko zwiędniętych kwiatów, sflaczały balon wciąż leżał na oparciu krzesła. Słyszał, jak Stephanie wchodzi za nim do poko-

ju, i odwrócił się, by na nią spojrzeć. Wydawało mu się, że dostrzega troskę na jej twarzy.

- Dobrze znów cię widzieć - powiedział beznamiętnym tonem.

Stephanie skinęła głową. Wyglądała na opanowaną i chłodną, pewną siebie, spokojną i zrelaksowaną. Robert zaczął zastanawiać się, czy naprawdę była na święta w domu. Nie wyglądało na to.

- Masz ochotę na herbatę? - spytała.

- Herbata. Tak, byłoby miło, dziękuję.

Począł, aż zniknie w kuchni, i zajął swoją ulubioną pozycję w przejściu, oparł się o framugę i założył ręce na piersi. Przed oczami tańczyły mu czarne kropki i z całych sił próbował nie zamykać oczu. Patrzył, jak Stephanie napełnia czajnik wodą z filtrowanego dzbanka i powoli zdał sobie sprawę, że jedyne pytanie, jakie od niej usłyszał od wejścia do domu, to czy ma ochotę na herbatę.

- Wróciłaś dziś rano? - odezwał się w końcu, kiedy zorientował się, że Stephanie nie odezwie się pierwsza.

- Kilka godzin temu - odparła krótko.

- Przepraszam, że po ciebie nie wyszedłem. Nie miałem głowy, żeby sprawdzać pocztę.

Nawet jeśli odebrałby list, co miałby zrobić: pójść na uroczystości pogrzebowe Jimmy'ego, czy odebrać Stephanie z lotniska? Nie odbierał e-maili, bo nie chciał podejmować żadnych decyzji.

- To najzupełniej zrozumiałe, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Lot w porządku?

- Tak. Leciłam przez Paryż, trochę naokoło, ale kupiłam bilet na pierwszą klasę, więc udało mi się zasnąć, a to pomaga.

- Świetnie.

Patrzył, jak Stephanie wyjmuje filiżankę dla siebie i kubek dla niego - wolał kubki - i uśmiechnął się, zadowolony, że pamiętała o jego dziwactwie.

- Jak było na wyprowadzeniu ciała? Dużo ludzi?

- Tak - Robert wzruszył ramionami i westchnął. - Byłem zaskoczony, że pojawiło się tak wiele osób. Pewnie Jimmy też by był. W ostatnich latach narobił sobie wielu wrogów, ale chyba miał jeszcze więcej przyjaciół.

Wszyscy dzisiaj przyszli.

Nagle poczuł, że łamie mu się głos, i po raz pierwszy od dnia, kiedy płakał przy szpitalnym łóżku przyjaciela, na twarzy Roberta pojawiły się łzy. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i szybko otarł oczy. Nie chciał, żeby Stephanie widziała go w takim stanie. Właśnie zagotowała się woda i kobieta krzątała się wokół czajnika, więc Robert był pewien, że niczego nie zauważyła.

- Herbata gotowa.

Kiedy odwróciła się, żeby podać mu kubek, jej twarz miała dziwny wyraz - mieszanina współczucia, zawstydzenia i zmartwienia - domyślił się, że słyszała, jak płacze. Cieszył się, że nie odwróciła się wcześniej, by na niego patrzeć.

- Dałam dwie kostki cukru.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Ostatnich kilka dni to był koszmar, nie spałem zbyt dużo.

Podążył za nią do salonu i usiadł, jak zwykle, na kanapie, na wprost Stephanie. Spojrzał na drugi koniec sofy - jeszcze kilka dni wcześniej siedział tu z Kathy.

Stephanie trzymała w dłoniach maleńką porcelanową filiżankę i powoli piła coś, co, jak rozpoznał po charakterystycznym zapachu, było herbatą z lukrecją. Opowiedz mi, co się stało - poprosiła.

Co się stało? Wydarzenia następowały tak szybko, że działał właściwie bez zastanowienia. Zajął mu chwilę, zanim uporządkował swoje myśli.

- W Boże Narodzenie, niedługo po twoim telefonie, zadzwonili do mnie...

- dodał, nie patrząc na Stephanie - że Jimmy'ego Morana zabrano do szpitala z podejrzeniem ataku serca. Pojechałem tam od razu. Och, Stephanie, on wyglądał potwornie...

Wziął głęboki oddech i napił się herbaty, przypominając sobie Jimmy'ego leżącego w szpitalnym łóżku.

- Powiedział, że na początku zlekceważył te bóle, myśląc, że to niestrawność. Sam ugotował sobie świąteczny obiad i nadział indyka. Doszedł do wniosku, że może nie dopiekł mięsa. Wtedy poczuł ból w lewym ręku i zdał sobie sprawę z powagi sytuacji, więc zadzwonił na pogotowie. Ale było Boże Narodzenie, więc bardzo długo czekał na karetkę.

Zamilkł na chwilę. To był pierwszy raz, kiedy musiał opowiedzieć o ostatnich wydarzeniach.

- Położyli go w jednoosobowym pokoju. Wyglądał staro. Tak staro i krucho... Kiedy na niego spojrzałem, wiedziałem, że nie przeżyje. Jakby już wcześniej się poddał. Zniknęła jego iskra. Okazało się, że próbował dzwonić do Angeli, lecz ona nie odbierała jego telefonów. Frances też nie. Poprosił mnie, żebym skontaktował się z Angelą. Rozmawiała ze mną, ale nie chciała przyjechać. Powiedziała, że skończyła z Jimmym. Złamał jej serce swoimi kłamstwami i romansami, więc bała się, że to kolejny numer.

Zamilkł. Trudno mu było wybaczyć Angeli, że nie przyjechała zobaczyć Jimmy'ego. Wiedział, że miała ku temu powody, ale powinna być w szpitalu. W oczach Roberta znów pojawiły się łzy, ale nie był tego świadomy.

- Zadzwoń do Frances - mówił dalej, prawie szeptem. - Także nie chciała przyjechać. Pokłócili się i wyrzuciła go z domu. Ona również pomyślała, że to jakiś żart. Myślę, że często je obie oszukiwał.

- Zostałeś z nim? - spytała Stephanie.

- Siedziałem przy nim cały dzień i noc, aż... aż umarł - dokończył. - Umarł.

Po policzkach Roberta znów potoczyły się łzy. - Ścisnął moją dłoń i... - zaczął łkać. To była chwila, której nigdy nie zapomni. Ta chwila i ostatnie słowa Jim-my'ego: „Nie odchodź od kobiety, która cię kocha”.

- Przykro mi, Robercie. Tak mi przykro - powiedziała spokojnie Stephanie. - Wiem, że byliście z Jimmym blisko.

- Umarł w samotności, Stephanie - cicho powiedział Robert. Tego także nie mógł wybaczyć Angeli ani Frances.

Nie całkiem. Byłeś przy nim.

- Ale jego żona... jego koch... jego kobieta powinna przy nim być. Ktoś bardziej... bardziej znaczący niż ja. Ktoś, kto go kochał.

- Ty go kochałeś, Robercie zdecydowanie odparła Stephanie. - Jeśli on znaczył tak wicie dla ciebie, to ty także musiałeś być ważny dla niego. Inaczej nie skontaktowałby się z tobą, będąc w szpitalu.

Robert automatycznie pokiwał głową.

- Tak, tak, masz rację. Dziękuję, że mi o tym przypomniałaś.

Kathy powiedziała dokładnie to samo, ale jej również nie uwierzył. Dopił herbatę jednym szybkim haustem i odstawił kubek na podłogę.

- Przepraszam, jestem zupełnie rozbity. Odkąd to wszystko wydarzyło się tutaj we wtorek... - ogarnął po-

kój nerwowym machnięciem ręki - później histeryczne szukanie ciebie, twój telefon w śróde, a potem jeszcze śmierć Jimmy'ego. To dla mnie ciężki tydzień.

- Wiem, rozumiem. A święta to i tak najbardziej stresujący czas w roku. Robert uśmiechnął się ponuro.

- Chwilami myślałem, że sam dostanę zawału. - Przycisnął prawą dłoń do klatki piersiowej i dodał: - To chyba jednak tylko napięcie.

- Na wszelki wypadek powinieneś się zbadać - natychmiast zareagowała Stephanie.

- Zrobię to, obiecuję. Jimmy miał pięćdziesiąt dwa lata - tylko dziesięć więcej ode mnie.

Kiedy tylko znów będą czynne gabinety lekarskie w nowym roku, umówi się na wizytę. Śmierć Jimmy'ego przeraziła Roberta bardziej, niż się do tego przyznawał.

- Wiódł kompletnie inne życie - zauważyła Stephanie.

- Nie aż tak - odparł szybko.

- Ale palił.

- Palił, I lubił tłuste jedzenie.

- I pił - dodała Stephanie - znacznie więcej niż ty.

- Tak, to prawda. Teraz żałuję tylko, że nie udało nam się spotkać na kolacji u Shanahana na Green przed świętami. Byliśmy na drinku w Market Bar ty mi poleciłaś to miejsce, pamiętasz? Wtedy widziałem go ostatni raz, zanim... zanim zobaczyłem go w szpitalu w Boże Narodzenie.

- Przynajmniej udało ci się z nim spotkać. Robert kiwnął głową.

- Tak, cieszę się.

Jednak nie powinno się umierać w wieku pięćdziesięciu lat. Robert nie chciał, by jemu także się to przytrafiło. Następny rok będzie inny, obiecał sobie. Już zdecydował, że

zmieni nie tylko swoje życie zawodowe, ale także każdą inną sferę swojego życia. Zacznie zdrowiej jeść, mniej pić...

- Chcesz jeszcze herbaty? - spytała Stephanie, wyrывая go z zamyślenia.

- Tak, poproszę.

Podniósł kubek z podłogi, podał go Stephanie i usiadł z powrotem na kanapie, opierając głowę na oparciu i zamykając oczy.

Zacznie więcej ćwiczyć. Może przywiezie z sobą do miasta rower i w czasie przerwy na lunch będzie jeździł dokoła Merrion Square albo wzdłuż kanału.

Jakby z oddali usłyszał głos Stephanie:

- Jimmy żył w strasznym napięciu i raczej niezbyt dużo ćwiczył.

Próbował odpowiedzieć, ale wydał tylko nic niezna-czący pomruk.

- A sprawa z Angelą i Frances także musiała na niego wpłynąć:

perspektywa trudnego rozwodu jeszcze bardziej go zestresowała.

Wibrujący telefon obudził go i zaskoczył. Przez chwilę zupełnie nie wiedział, gdzie jest, a potem zobaczył twarz Stephanie. Przez chwilę myślał, że to wszystko było snem, okrutnie rzeczywistym nocnym koszmarem. Wyciągnął telefon z kieszeni, żałując, że nie wyłączył wcześniej wibracji.

- Halo... - zaczął, po czym oblizał spierzchnięte wargi i powtórzył. Halo...

Usłyszał głos Kathy i w jednej chwili wszystko sobie przypomniał:

ostatnie wydarzenia nie były snem, ale na pewno były koszmarem. -

Kathy... tak, wszystko dobrze. Jestem w biurze.

Wiedział, że Stephanie przygląda mu się zimnym, stanowczym spojrzeniem.

- Niedługo będę w domu - dodał i rozłączył się.
- Dlaczego skłamałeś? - zupełnie bez sensu spytała Stephanie.
- Cóż, raczej nie mogłem wyjawic, gdzie jestem, prawda?
- Mogłeś powiedzieć, że mamy do obgadania zaległe sprawy.
- Obiecałem Kathy, że więcej się z tobą nie spotkam.
- I już złamałeś tę obietnicę - rzuciła ze złością.
- Obiecałem jej to, zanim... zanim dowiedziałem się o... o tobie i... i...
- Dziecku?
- Tak. O tym.

Minęło prawie szesnaście lat, od kiedy Kathy powiedziała mu, że jest w ciąży - nie myślał, że jeszcze kiedyś usłyszy te słowa.

Stephanie podniosła się.

- Idę zaparzyć herbatę. Może pójdziesz na górę, weźmiesz prysznic i odświeżysz się? - powiedziała szorstko. - Powinieneś być przytomny i uważny, jeśli mamy rozmawiać; teraz wyglądasz jak żywy trup. Na górze masz jakieś swoje ubrania, a szczoteczka do zębów i maszynka do golenia leżą w szafce w łazience. Weź prysznic i przebierz się, poczujesz się lepiej.

Chciał odmówić, ale myśl o prysznicu była bardzo przyjemna.

- Dobrze, tak zrobię, dzięki. Podniósł się i poczuł, że śmierdzi potem.
- Jezu, ale cuchnę - powiedział z obrzydzeniem.
- To prawda - potwierdziła Stephanie i odwróciła się szybko. Nie był pewien, czy mówiła tylko o zapachu jego ciała.

Idąc po schodach, z trudem stawiał jedną stopę przed drugą. Przez ostatnich kilka dni działał dzięki zastrzyko-

wi adrenaliny, ale teraz zaczynał za to piacie. Weźmie szybki prysznic, porozmawia ze Stephanie o jej ciąży i pojedzie do domu. Spojrzał na zegarek. Powinien wrócić przed piątą... może szóstą. Potem wgramoli się do łóżka i nie wstanie aż do poniedziałku rano.

Rozdział 33

- Robert. Robert.

Robert Walker otworzył oczy i rozejrzał się dookoła. Wiedział, gdzie jest... w łóżku swojej kochanki, Stephanie Burroughs. Uśmiechnął się, kiedy jej twarz pochyliła się nad nim.

- Cześć.

- Cześć.

Obudził się nagle. Uśmiech zniknął mu z twarzy, kiedy zobaczył, że zasłony w oknach są zaciągnięte.

- Mój Boże, jak długo spałem?

- Kilka godzin. Dopiero dziewiąta.

Dziewiąta. Gdzie się podziały popołudnie i wieczór? Pamiętał, że brał prysznic, a strumień gorącej wody był niesamowicie przyjemny. Później zawinął się w szlafrok, żeby wyschnąć, a potem... Nie wiedział, jak znalazł się w łóżku, przykryty grubą kołdrą. Usiadł nagle prosto i zaczął: Muszę iść...

Najpierw musisz coś zjeść - zdecydowanie powiedziała Stephanie.

Siedziała na brzegu łóżka z tacą w dłoniach. Leżała na niej duża, cienka pizza, obok której stała butelka czerwonego wina i dwa kieliszki. -

Niestety musiałam zamówić dodała. - Nie miałam nic w domu, a nie chciałam cię zostawiać samego.

Robert spojrział na pizzę z szynką i ananasem, po czym pokręcił głową - powinien wracać, Kathy będzie zaniepokojona i wściekła - ale zdradził go żołądek, który zaburczał głośno. Robert poczuł, że jest głodny, bardzo głodny.

- Zjem tylko kawałek - powiedział, lekko się uśmiechając.

Jadł szybko, ale prawie nie tknął wina - nie chciał ryzykować kontroli drogowej w drodze do Swords. Już zaczął wymyślać wymówki:

zadzwoił do kilku znajomych z branży i spotkali się, żeby pogadać o Jimmym. Poszli na drinka, a potem na kolację. Nie mógł zadzwonić, bo siadła bateria w komórce. Uwierzy? Wykręt brzmiał przekonująco. Jak wszystkie dobre kłamstwa.

- Kiedy ostatnio jadłeś? - spytała w końcu Stephanie. Pokręcił głową.

- Przełknąłem jakieś byle co w biegu. Kiedy Jimmy... Kiedy Jimmy umarł, musiałem załatwiać formalności i skontaktować się z jego rodziną. Dwóch z jego trzech braci przyjedzie. Porozrzucą ich po całym świecie: Lloyd jest w Australii, Mikey w Kanadzie, a Teddy w Bostonie.

Rozmawiałem z Mikey'em, najstarszym. Powiedział mi, żebym nie czekał z wyprowadzeniem ciała, lecz odłożył pogrzeb, aż uda im się dojechać.

- Kiedy się odbędzie?

- W poniedziałek, trzydziestego, na cmentarzu Gla-snevin. Teddy i Mikey przyjeżdżają jutro rano, tylko Lloyd nie może.

- Szkoda.

- Wiem, jednak nigdy nie byli z sobą blisko. Jimmy nie opowiadał mi o szczegółach, ale wiem, że kiedy rodzice się rozstali, on zamieszkał z matką, a starsi bracia woleli zostać z ojcem. Rozwód zniszczył ich życie i wstrząsnął całą rodziną. Ja przeżyłem to samo.

Spojrzał na Stephanie i uśmiechnął się.

- Przepraszam. Mówię tylko o sobie. Powiedz mi, co robitaś w święta.

Byłaś w domu?

Stephanie przytaknęła. Podniosła tacę i obeszła pokój, by odstawić ją na szafkę przy łóżku. Potem oparła się o parapet i założyła ręce na piersi.

- Pojechałam do domu. W ostatniej chwili, więc musiałam lecieć przez Londyn, ale dotarłam na miejsce w Wigilię wieczorem i cieszę się, że mi się udało. Dobrze było zobaczyć znów rodziców. Zdałam sobie sprawę, że się starzeją, szczególnie tato. Mówi się, że czas ucieka, ale tak naprawdę to pędzi galopem. Spróbuję teraz częściej jeździć do domu, może co dwa, trzy miesiące, żeby mieć z nimi kontakt.

- Dobry pomysł! -- Robert odsunął kołdrę i usiadł na łóżku. Spojrzał na stojący na szafce zegar. Było po dziewiątej i drogi pewnie są śliskie.

Zanim dotrze do domu, minie dziesiątą.

- Naprawdę powinienem już iść - dodał. Włożył bieliznę, skarpetki i spodnie.

Stephanie nagle krzyknęła:

- Poczekaj chwileczkę! Rozmawialiśmy o wszystkim, oprócz najważniejszego: nas. Mnie. I tego, że mogę być w ciąży.

Otworzył szafę i założył jedną z koszul, które trzymał w niej na wszelki wypadek. Zdziwił się reakcją Stephanie. Myślał, że skoro nie wspomniała o ciąży wcześniej, nie było tematu. Uznał, że podjęła już decyzję.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

- Jak bardzo jesteś pewna? - spytał.

- Pewna?

- Pewna, że jesteś w ciąży.

- Prawie zupełnie pewna. Okres spóźnia mi się prawie dwa tygodnie.

- Robiias test?

- Tak. Wynik byt pozytywny. Dlatego wróciłam. Kiwnął głową i włożył koszulę w spodnie. Może nie

był ekspertem w tym temacie, ale dwa tygodnie to nie było aż tak długo.

- Powiedzmy, że jesteś w ciąży: co zamierzasz z tym zrobić?

Stephanie odeszła od okna i stanęła twarzą w twarz z Robertem. Była wściekła.

- Co masz na myśli, mówiąc „z tym”? Zamrugął oczami, zaskoczony:

- Chyba nie myślisz poważnie, żeby urodzić?

- Tak, myślę - wyszeptala.

Zwariowała! Co ona sobie wyobraża? Najwyraźniej w ogóle nie myśli.

Chyba nie zamierza rzucić wszystkiego, co budowała przez ostatnie lata?

Może to wina różnicy czasu i emocjonalnego stanu, w jakim się znajdowała.

- Nie możesz - mówił, usiłując zachować rozsądek. -Masz dom... i pracę. Jak sobie poradzisz z tym i z dzieckiem?

- Poradzę sobie, jeśli ktoś mi pomoże.

W planie noworocznym Roberta Walkera w żadnym wypadku nie było miejsca dla dziecka. On odchowwał już swoje dzieci, miały siedemnaście i piętnaście lat, wszystko już przeżył i nie miał zamiaru doświadczać tego jeszcze raz. Zapinał mankiety koszuli, próbując zebrać myśli. W końcu powiedział ostrożnie:

- Jeśli ja jestem ojcem tego dziecka...

Spoliczkowała go tak mocno, że siła uderzenia odrzuciła mu głowę na bok i poczuł, że ułamany ząb znowu ucierpiał. Zabolalo. Robert był zszokowany, ale też zdziwiony swoim własnym gniewem.

- Jak śmiesz! Jesteś ojcem. Nie było nikogo innego!

- Przepraszam - odparł, wzdychając głęboko i przyciskając dłoń do piekącego policzka. Najwyraźniej to był tydzień bicia po twarzy - oberwał w ten sam policzek po raz drugi. - Może źle dobrałem słowa. Przepraszam. Nie chciałem niczego sugerować.

Naprawdę nie miał złych intencji, nigdy nie wątpił, że jest jedynym mężczyzną w życiu Stephanie.

- No cóż, bądźmy rozsądni. Już mam jedną rodzinę i nie chcę zaczynać jeszcze raz. Ty też nie chcesz. Masz swoją karierę, a dziecko z pewnością pozbawiłoby cię szansy na awans. Żadne z nas nie może sobie pozwolić na wrzeszczącego bachora.

Jeśli uda mu się przemówić jej do rozsądku, powinna go zrozumieć.

Dodał:

-**1** co miałbym powiedzieć Kathy i dzieciom?

Stephanie milczała. Robertowi wydało się, że zaczyna do niej docierać, co mówi. Wiedział, że w końcu zrozumie. On ją wpakował w tę sytuację, więc chciał - nawet bardzo - pomóc się jej wyplątać.

- Oczywiście, jeśli chcesz, żebym pomógł ci podjąć decyzję, sugeruję usunięcie. Naturalnie zapłacę za zabieg i będę przy tobie w klinice.

Uśmiechnął się, bo wpadł na świetny pomysł. Powiedział więc jeszcze:

- Spędzimy weekend w Londynie i sprawa załatwiona. Może nawet uda nam się coś zwiedzić. A kiedy wrócimy do Dublina, będzie jak dawniej. Po cichu zaczął się zastanawiać, kiedy będzie miał czas, żeby pojechać do Londynu - może w połowie stycznia, a na pewno przed końcem stycznia. Po chwili przypomniał sobie, że nie przekazał jej najważniejszego - że chce się do niej wprowadzić. W styczniu będą już miesz-

kali razem, więc nie będzie musiał szukać kolejnych wymówek. Otworzył usta, by jej o tym powiedzieć...

Stephanie odezwała się pierwsza, tak cicho, że ledwo ją słyszał. Zgadzała się z nim czy mu dziękowała?

- Co o tym myślisz? - spytał.

A wtedy ona wybuchnęła nagłym gniewem:

- Wynoś się! Wynoś! Wynoś się!

Ogłupiały i zaskoczony Robert odsunął się od Stephanie. Sięgnęła po najbliższy przedmiot - talerz z pizzą - i rzuciła w niego. Chybiła, a talerz roztrzaskał się o ścianę, zostawiając na niej brzydką krwistoczerwoną plamę od sosu.

- Tu draniu! - krzyknęła, sapiąc. - Ty draniu!

- Stephanie... Ja tylko proponuję...

Nie znał tej kobiety. Była obca, i przerażająca.

- Masz mój klucz. Oddaj mi go - zażądała.

Nie było sensu się z nią kłócić. Wyciągnął klucz z portfela i rzucił go na łóżko, a Stephanie w tym czasie miotała jego koszulą, krawatem i skórzanymi półbutami.

- Stephanie. Porozmawiajmy. Wiem, że jesteś teraz zła, ale...

- Z nami koniec - powiedziała zimno. - Nie waż się więcej do mnie odezwać.

Porozmawia z nią za dzień lub dwa, pomyślał, bo w tej chwili twarz Stephanie była zasłonięta jakąś maską, która ukrywała całą jej urodę.

- Kochałam cię. Kochałam cię całym sercem. A teraz widzę, kim jesteś naprawdę: kolejnym samolubnym draniem. Nie chodzi o problem, który trzeba rozwiązać, tylko o życie i przyszłość. A ty myślisz, że usunięcie wszystko rozwiąże! Szybki zabieg, a potem pozwiedzamy, jakby nic się nie stało? Nienawidzę cię, Robertcie Walkerze. A nawet więcej: gardzę tobą. Wynoś się i nie wracaj.

Robert wybiegł z domu, trzaskając drzwiami, ciągle nie wiedząc, co spowodowało tak wielki gniew Stephanie. Wrzucił na siedzenie pasażera koszulę, krawat i buty, wsiadł i ruszył. Kiedy odjeżdżał, dziękował Bogu, że nie powiedział Kathy o tym, że w poniedziałek, po pogrzebie Jimmy'ego Morana, zamierza od niej odejść.

KSIĘGA TRZECIA

Opowieść żony

Kiedy odkryłam prawdę o jego romansie, znienawidziłam go.

Zdradził mnie, moją miłość i osiemnaście lat naszego małżeństwa.

Ale wciąż go kochałam. A on mówił, że kocha mnie. Czy mu wierzyłam?

Czy mogłam mu jeszcze kiedyś uwierzyć!

Rozdział 34

Wtorek, 24 grudnia Wigilia

Jingle bells... jingle bells...

irytująco wesoła polifoniczna wersja ***Jingle Bells***, którą Brendan wgrał do jej komórki, wytrąciła Kathy Walker z zamyślenia. Nie odrywając oczu z drogi, pogrzebała w torebce leżącej na siedzeniu pasażera. To pewnie któreś z dzieci chce zapytać, gdzie jest. Wyłowiła telefon z torebki, ale zanim odebrała, spojrzała na ekran.

Robert komórka

Nie chciała go słuchać.

Jingle bells..., jingle bells...

W tej chwili mąż był ostatnią osobą, z którą zamierzała rozmawiać, ale wcisnęła zieloną słuchawkę i przełączyła rozmowę na głośnik.

- Tak? - spytała tylko.

Głos męża był skrzeczący i nijaki, bo głośnik pozbawiał mówiącego wszelkich emocji i charakterystycznych cech.

- Cześć... Zastanawiałem się tylko... czy wszystko dobrze.

- W porządku.

W tych okolicznościach to było chyba najgłupsze pytanie, jakie mógł zadać. Jak niby miała się czuć?

- Gdzie jesteś?

- Na rondzie przed Swords. A ty?

- Przy lotnisku. Zatrzymałem się po drodze, żeby dać Maureen jej świąteczną premię.

- To dobrze.

Cóż, przynajmniej w tej sprawie potrafił się zachować. Kathy była wściekła, kiedy dowiedziała się, że mąż nawet nie zadzwonił do Maureen, która od kilku tygodni była na zwolnieniu.

- Mówiła, że z nią rozmawiałaś - powiedział oskarżycielskim tonem Robert.

- Tak.

Teraz rozumiała, dlaczego nie chciał, żeby spotkała się z Maureen, która tak naprawdę była jedną z bardzo niewielu wspólnych znajomych, jakich mieli. Rozumiała też, dlaczego mąż od kilku miesięcy nie zapraszał żony na żadne towarzyskie lub biznesowe kolacje: zapewne był przerażony, że ktoś wspomni coś o jego kochance. Albo, co gorsza, że będzie tam sama Stephanie Burroughs.

- Jak się czujesz? - zapytał, ale jego głos wciąż skrzeczał i zanikał z powodu kiepskiego sygnału.

A jak mam się czuć, Robercie? - warknęła w odpowiedzi. - Właśnie widziałam się z kochanką mojego męża. Dowiedziałam się kilku paskudnych rzeczy. Porozmawiamy później - rozłączyła się.

Właściwie sama nie wiedziała dokładnie, jak się czuje. Myślała, że będzie gorzej, ale jeśli miałyby nazwać ogarniające ją w tej chwili uczucie, byłaby to ulga. Romans Roberta wreszcie wyszedł na jaw, mogli zostawić za sobą podejrzenia i kłamstwa, poradzić sobie z nimi i pójść naprzód. Oprócz ulgi Kathy czuła coś jeszcze: zdziwienie tym, co zrobiła. I dumę. Walczyła o Roberta. I wygrała.

Nikt nie był bardziej zaskoczony i dumny niż ona sama. Nie zdawała sobie sprawy, że potrafi działać tak zdecydowanie.

Planowanie rozmowy z kochanką Roberta było gorsze niż samo spotkanie. Kathy stworzyła sobie w głowie obraz Stephanie Burroughs - wrednej manipulantki, rozbijającej

rodzinę kobiety, która z premedytacją ukradła jej męża. Jednak prawda była zupełnie inna. Jeśli wierzyć Stephanie - a Kathy jej wierzyła - to kochanka męża zgodziła się na romans, ponieważ uwierzyła, że Robert nie kocha swojej żony. Kathy przyglądała się rywalce, a kiedy Robert przyznał, że wciąż kocha żonę, widziała szczery gniew w oczach tamtej kobiety. Właśnie w *tamtęj* chwili Stephanie wycofała się, przyznała do błędu i powiedziała Robertowi, by wracał do Kathy. „Jeśli ona cię przyjmie...” - dodała wtedy. W tamtej chwili Kathy ją lubiła - nawet podziwiała.

W innych okolicznościach, myślała, mogłyby się zaprzyjaźnić.

Kiedy wyjeżdżała na spotkanie ze Stephanie, nie wiedziała, jak skończy się ten dzień. Jadąc przez miasto, przygotowywała się na najgorsze: że Stephanie będzie walczyć o Roberta, a on będzie chciał odejść do swojej kochanki. Kathy ułożyła sobie nawet małe przemówienie, które chciała zaserwować dzieciom. Kiedy w trakcie rozmowy dwóch kobiet wszedł Robert, Kathy była jednocześnie przerażona

i zniesmaczona. Pojawił się w domu Stephanie obładowany prezentami i kwiatami. Kiedy ostatnio przyniósł kwiaty swej żonie? Kiedy ostatnio poświęcił czas na wybranie dla niej prezentu, zamiast w ostatniej chwili łapać pierwszą z brzegu rzecz w Pavillions koło domu? Na szczęście w Dunnes nigdy nie było problemów z wymianą towarów.

Ale Kathy nie musiała wygłaszać swojego przemówienia - przynajmniej na razie - bo Stephanie zrobiła przyzwoitą i honorową rzecz. Odeszła.

Właściwie na tym całym zamieszaniu najgorzej wyszedł Robert. Okłamał żonę, okłamał Stephanie... Pewnie samego siebie też okłamał. Jak wyobrażał sobie zakończenie swojego romansu? A może był jednym z tych mężczyzn, którym wydawało się, że mogą mieć wszystko, że mogą mieć żonę

i kochankę bez żadnych konsekwencji? Ale Robert w ogóle nie myślał. Przynajmniej nie głową.

Kathy zjechała z ronda i skręciła w główną ulicę Swords, zupełnie zakorkowaną z powodu Wigilii, skręciła więc szybko w lewo, w wąską boczną uliczkę. Chciała szybko dotrzeć do domu. Musiała przygotować indyka na jutrzejszy obiad, choć sama nie miała wcale apetytu. Jej żołądek marudził od chwili, kiedy wyjechała z Swords, by dotrzeć do domu kochanki męża. Jak już przeżyją święta, będzie nalegała, by odwiedzili poradnię małżeńską. Ich problem zdecydowanie wymagał profesjonalnej pomocy. Robertowi się to nie spodoba, wiedziała o tym, ale to miał być jeden z warunków. Jeśli mają zostać z sobą, wszystko musi się zmienić. On będzie musiał się zmienić. Ona spróbuje zrobić to samo, obiecała sobie. Bez wątpienia, gdyby bardziej zwracała uwagę na męża, na firmę, na ich związek, Robert nie znalazłby czasu ani okazji, by rozpocząć, a potem kontynuować romans ze Stephanie.

Skręcając w osiedle, Kathy nagle uśmiechnęła się. Przyszła jej do głowy dziwna myśl: powinna być wdzięczna. Przynajmniej teraz wiedziała, że ich małżeństwo przechodzi kryzys, i dostała szansę, żeby je naprawić, zanim problem okaże się nie do rozwiązania. Jej zmarła matka zawsze mawiała, że Kathy potrafi znaleźć dobre strony każdej sytuacji. Matka nie żyła od półtora roku... mniej więcej tyle samo Irwał romans Roberta.

Kathy zastanawiała się, czy te dwa wydarzenia mogą być w jakikolwiek sposób z sobą powiązane, ale wydało się to niemożliwe. Chciałaby, by Margaret (hilda żyła; bardzo potrzebowała teraz dobrej rady).

Zwolniła i skręciła w stronę domu. Mimo że zrobiło się bardzo zimno, mnóstwo dzieci ubranych w grube kurtki, czapki i kaptury biegało dookoła. Kathy wiedziała, że okutane w te wszystkie ubrania maluchy nie-

wiele słyszały i widziały. Zawsze, kiedy tędy jechali, przypominała o tym Robertowi - twierdziła, że za szybko przejeżdża ten kawałek, ale jej nie słuchał. Tak naprawdę już od bardzo dawna nie stosował się do rad żony w żadnej kwestii. Kathy uśmiechnęła się: ona sama od dawna nic mu nic doradziła. Co stało się z pewną siebie, opanowaną młodą kobietą, która chciała założyć własną firmę producencką, aby przygotowywać filmy dokumentalne i fabularne? Osiemnaście lat małżeństwa, dzieci i dom - oto, co się stało. Może czas zacząć od nowa.

Sytuacja była poważna, lecz Kathy wydawało się, że najgorsze mają już za sobą i udało im się wyjść z opresji, zachowując resztki godności. Przed nimi ciężki czas, jednak wciąż kochała Roberta - choć w tej chwili go nie lubiła - a on twierdził, że kocha ją. Jeśli to prawda, mogą zacząć od nowa i zrobić coś razem.

Przy krawężnikach i na podjazdach parkowało znacznie więcej samochodów niż zwykle: Boże Narodzenie to czas dla rodziny i dla gości. Kathy włączyła kierunkowskaz i wjechała na podjazd. Zauważyła, że tuż za nią ulicą nadjeżdża duży, ciemnoniebieski SUV. Uśmiech na ustach Kathy zbladł: najwyraźniej też będzie miała gościa kogoś, z kim wolała nie dzielić się ostatnimi nowinami - swoją starszą siostrę, Julię.

Rozdział 35

Musimy porozmawiać. - Brzmi poważnie - swobodnie odparła Kathy, podchodząc do zlewu, by napełnić czajnik.

- Bo jest źle - potwierdziła Julia. Westchnęła z przesadą i zajęła swoje ulubione miejsce przy kuchennym stole.

Mimo że Julia była tylko pięć lat starsza o siostry, wyglądała, ubierała się i zachowywała znacznie poważniej. Kathy poczuła grzeszną satysfakcję, że kiedy ostatnio były razem na zakupach, sprzedawczyni wzięła je za matkę i córkę.

Kathy denerwowała się: najwyraźniej Julia w jakiś sposób dowiedziała się o romansie Roberta. Jeśli tak, bardzo w jej stylu było przybiec i zaanonsować nowiny osobiście po to, by zobaczyć wyraz twarzy swojej siostry.

- Chodzi o Sheilę - zaczęła scenicznym szeptem Julia, kiedy zrozumiała, że Kathy sama nie zapyta, co się stało.

Kathy od razu wiedziała, co za chwilę usłyszy i dlaczego siostra przyjechała do niej w Wigilię. Dobre wiadomości Julia przekazywała przez telefon, ale złe - zawsze osobiście.

- Sheilę? - zapytała obojętnym głosem. - Co znów zrobiła?

- Sheila... Spotyka się z kimś - zaczęła Julia i nagle zamilkła.

Obie słyszały, jak otwierają się główne drzwi, a potem Robert mówi coś do dzieci siedzących w pokoju obok. Wszedł do kuchni i zwrócił się do szwagierki, choć patrzył tylko na Kathy:

- Cześć, Julio.

Podszedł do zlewu, by móc spojrzeć na obie kobiety. Kathy zastanawiała się, czy naprawdę widzi w oczach męża strach? Potem zrozumiała:

Robert zapewne myśli, że to ona zaprosiła starszą siostrę, by opowiedzieć jej o romansie męża. Czy naprawdę tak mało ją znał? Miała ochotę nic nie mówić, żeby jeszcze trochę się podenerwował, ale nie chciała, by sam Robert powiedział coś, co sprowokuje Julię.

- Julia właśnie opowiada mi o Sheili - powiedziała więc, nie spuszczać wzroku z twarzy męża. Widziała, jak się uspokaja i schodzi z niego napięcie, a kiedy palce mężczyzny łąpały za krawędź zlewu, zauważyła, że ze zdenerwowania aż zbieleły mu kostki.

- Wszystko u niej w porządku? - spytał ze sztuczną swobodą.

- Ma romans z żonatym mężczyzną - powiedziała Julia pospieszonym, nerwowym tonem, po czym zamilkła, czekając na odpowiedź.

Kathy przyglądała się siostrze, kiedy ta ogłaszała nowiny. Czy właśnie w ten sposób Julia - i podobne jej kobiety - rozpuszczały plotki o romansie Roberta? Czy wszystkie miały ten sam zaskoczony i przerażony wyraz twarzy, choć w ich głosie wyraźnie było słychać nutkę podekscytowania, jakby prowadziły zwykłą konwersację nad filiżanką herbaty?

- No i? Robert zmarszczył brwi. - Co to ma wspólnego z nami?

Kathy zobaczyła, że mąż zerka na nią, a dopiero potem odwraca się do Julii.

- No tak, powinnam była się domyślić, że nie zrozumiesz - powiedziała zirytowana Julia. - Jak każdy facet -dodała i mówiła dalej do Kathy: - Dzwoniłam dzisiaj do Sheili, żeby potwierdzić, czy przyjdzie na obiad w dzień Świętego Stefana.

Kathy nagle stwierdziła, że nie ma ochoty jechać do Julii na trwający godzinami obiad w dniu Świętego Stefana. Powinna spędzić czas z Robertem, bo dziś wieczorem na pewno się to nie uda, jutro tym bardziej. Muszą mieć wolny choć jeden dzień, by porozmawiać o przyszłości.

- Powiedziała, że tak - kontynuowała Julia - ale pod jednym warunkiem: że będzie mogła przyprowadzić swojego nowego faceta. Ucieszyłam się, oczywiście. Sheila

ma trzydzieści pięć lat, najwyższy czas, żeby się ustatkowała, a jeśli chce mieć dzieci, to zegar tyka.

Westchnęła głęboko i nerwowo oblizała usta.

Julia i jej mąż Ben nie mieli dzieci i Kathy zdawała sobie sprawę, że siostra rekompensuje sobie to, matkując dwóm młodszym siostróm i siostrzeńcom. Zerkając na Roberta, Julia znów zwróciła się do Kathy:

- Okazało się, że jej chłopak nie jest już wcale chłopakiem: jest starszy od Sheili o pięć lat - dokończyła zasapana.

Kathy nie musiała liczyć: Stephanie Burroughs była siedem lat młodsza od Roberta, a pięć od niej samej. Pewnie powinna być wdzięczna losowi, że mąż nie zdradza jej z jakąś dwudziestolletnią blond zdzirą.

- A potem powiedziała mi, jak on się nazywa - ciągnęła Julia. Allen McLachlan. I pomyślałam, że znam to nazwisko. Nie jest zbyt popularne. Więc mówię jej: „Znam jednego Allena McLachlana, gra z moim Benem w golfa”

Julia z satysfakcją pokiwała głową. - A wtedy ona odpowiedziała, że chyba wcale nie przyjdzie w czwartek.

Robert stał za Kathy siedzącą na krześle, patrząc na ogród. Usłyszała jak pyta:

A dlaczego podejrzewasz, że on jest żonaty? Słyszała, że Robert próbuje powstrzymać złość. Julia westchnęła.

- Bardzo chciała, żebym poznała tego Allena, dopóki nie dowiedziała się, że mogę go znać. To nie jest częste nazwisko, a ten Allen McLachlan, którego zna Ben, przechwalał się, że ma kogoś na boku. Dodałam dwa do dwóch: musiało chodzić o Sheilę.

- Dublin jest taki mały - cicho powiedziała Kathy. Każdy zna kogoś, kto zna kogoś innego - dodała, kierując te słowa ni to do siostry, ni do męża.

- Pomyślałam chwilę i oddzwoniłam do niej.

- Żartujesz! - oburzyła się Kathy.

- Naprawdę.

- To nie twoja sprawa.

Kiedy Julia przejęła w rodzinie rolę matki i moralnej opiekunki, zastanawiała się Kathy. Nagle uświadomiła sobie, że siostra zaczyna ją irytować.

- Cóż, możesz tak myśleć, ale mnie się wydaje, że jest odwrotnie. Nie chcę cudzołożnika przy moim stole.

- To trochę staroświecki pogląd jak na dzisiejsze czasy - ostrożnie odparł Robert.

Julia spojrzała na niego chłodno:

- Nie sądzę. Zadzwoiłam do niej. Spytałam wprost. I wiecie, co ona miała czelność mi odpowiedzieć?

- Że to nie twoja sprawa - warknął Robert. Już nawet nie próbował ukryć rozdrażnienia.

Kathy dostrzegła, że mąż patrzy na nią - zmarszczyła czoło i delikatnie pokręciła głową.

- Nie - odpowiedziała Julia. - Przyznała się. Prosto z mostu. Allen McLachlan jest żonaty. Więc ja powiedziałam od razu, że nie będzie mile widziana w moim domu w Świętego Stefana.

- A dlaczego mi to mówisz? - spytała Kathy, czując coraz większe znużenie i wyczerpanie. To, czy Sheila miała romans, nie było sprawą ani jej, ani Julii. Co dało starszej siostrze prawo do osądzania innych i - co ważniejsze - do rozpuszczania plotek?

Julia spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Bo... Bo...

- To jest sprawa Sheili. I tylko jej - ciągnęła Kathy, próbując pohamować złość. - To, z kim się spotyka, nie ma nic wspólnego z tobą czy mną.

- On jest żonaty! - zaprotestowała Julia. - Sheila rozwala szczęśliwe małżeństwo.

- A skąd to wiesz? - zirytowała się Kathy. - Skąd wiesz, że to małżeństwo jest szczęśliwe?

Julia patrzyła na nią zaskoczona, na przemian otwierając i zamykając usta. Spodziewałaby się usłyszeć od młodszej siostry każdą odpowiedź - ale nie taką. Zaczerwieniła się.

- Do romansu potrzeba trojga - mówiła Kathy. - Kochanki, męża i żony, Dopiero przez działanie tych trzech osób może zacząć się romans.

Julia odepchnęła krzesło i wstała.

- Cóż, nie takiej reakcji spodziewałam się po tobie. I nie wiem, skąd bierzesz te dziwaczne pomysły - pewnie z gazet, które bezustannie czytasz. Zony w takich sytuacjach są zawsze niewinne i zawsze dowiadują się ostatecznie.

Może i dowiadują się ostatecznie, zgodziła się Kathy, ale nigdy nie są całkiem bez winy.

- Nie wiem, czemu te kobiety - kochanki - tak polują na żonatych facetów. Naprawdę nie wiem!

Podniosła płaszcz z krzesła i włożyła go. Nie mogła się jednak oprzeć i dodała jeszcze:

- Mam nadzieję, że nie będziesz musiała przechodzić przez to, co przeżywa teraz biedna żona Allena McLachlana!

Kathy czuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a gniew ustępuje poczuciu winy i koszmarnemu zmęczeniu. Później zrozumiała, że Julia źle zinterpretowała wyraz twarzy jej i Roberta jako złość i oburzenie.

- No cóż, chyba nie wyszło tak, jak chciałam - nerwowo mówiła Julia. - Przykro mi. Nie miałam zamiaru sugerować, że...

Zawstydzona, zbierała się do wyjścia.

- Sama wyjdę.

Zatrzymała się jeszcze na chwilę, zanim wyszła z kuchni i spytała:

- Przyjdziecie na obiad w Świętego Stefana, prawda?

- Damy ci znać - zdecydowanie odpowiedział Robert, zanim Kathy zdążyła zareagować. - Dobranoc, Julio. I Wesołych Świąt.

Kathy zdecydowała, że z całą pewnością nie przyjdą na ten obiad.

Spojrzała na Roberta, mając nadzieję, że da jej spokój. Musiała pomyśleć... i chciała porozmawiać z Sheilą. Z zamyślenia wyrwał ją nieznośny dźwięk metalu ocierającego o kamień. Od razu wiedziała, co się stało: pokarało tę wścibską wiedźmę!

- Zahaczyła o skrzynkę pocztową - powiedział Robert. Stał przy zlewie, zaparzając herbatę. - Zaparkowała pod takim kątem, że nawet ja nie potrafiłbym wyprowadzić tego wielkiego SUV-a z podjazdu, nie uderzając w coś przy okazji.

Wiedziała, że mąż mówi tylko po to, by wypełnić ciszę; gadał byle co, żeby uniknąć rozmowy na najważniejszy temat. Postawił na stole imbryk ze świeżą herbatą i usiadł na krześle wcześniej zajmowanym przez Julię. Nalał Kathy filiżankę.

- Myślę, że kilka dni temu zareagowałabym inaczej - cicho odezwała się Kathy. Ale kiedy stajesz się częścią romansu, zaczynasz postrzegać różne rzeczy zupełnie inaczej.

- Wiedziałaś o Sheili? - spytał.

Tak, wiedziała. Kolejna niespodzianka w tym tygodniu niespodzianek.

Kathy trzymała filiżankę w dłoniach i spoglądała w parujący płyn: mąż zawsze robił za mocną herbatę.

- Powiedziała mi w poniedziałek - odparła spokojnie. - Siedziałyśmy w jej samochodzie pod siłownią przy M50.

Widziała, że Robert zamarł. Klub fitness i siłownia, do której chodził, znajdowały się właśnie przy M50.

- Siedziałam i patrzyłam, jak mój mąż całuje inną kobietę - dokończyła. Tamten moment był dla niej decydujący.

Aż do tamtej chwili romans Roberta nie był do końca rzeczywisty.

Wiedziała, że coś się dzieje, miała dowody, ale były to głównie poszlaki i plotki. Jednak gdy zobaczyła swojego męża, który brał w ramiona inną kobietę i całował ją w usta - to był cios. Kathy doznała fizycznego bólu: prawdziwego i przeszywającego.

I nagle poczuła, że też chce go zranić, by zapłacił za to, na co ją naraził. W jej oczach i wyrazie twarzy musiał zauważyć coś dziwnego, bo nagle odsunął się. Pewnie podejrzewał, że zaraz oberwie w twarz filiżanką gorącej herbaty... i w tej chwili naprawdę miała ochotę to zrobić. Ale spokojnie odstawiła filiżankę na spodek - porcelana była częścią prezentu ślubnego od babci Kathy.

- Zadzwońłam do ciebie - powiedziała. - Siedziałam w samochodzie kilka jardów od was i zadzwoniłam.

Kiwnął głową i zarumienił się.

- Zapytałam, o której będziesz w domu - ciągnęła Kathy, a on znów przytaknął. -- Powiedziałeś, że właśnie wyjeżdżasz z biura i będziesz w domu za czterdzieści minut.

Wstała nagle i odwróciła się, by Robert nie dostrzegł lez w jej oczach. Zaczęła krzątać się przy zlewie, dokładnie myjąc i susząc filiżankę, a po chwili, kiedy się uspokoiła, odwróciła się, by uprzątnąć kuchenny stół.

- Od jak dawna... od jak dawna wiesz? - spytał w końcu, nie patrząc na nią. - O nas? O mnie?

- Od niedawna. Czemu pytasz? Myślisz, że mogłabym udawać, że nie wiem o romansie mojego męża?

Kathy była dumna, że udaje jej się mówić spokojnym i niewzruszonym głosem.

- Nie. Nigdy tak nie myślałem - przyznał Robert.

Kiedy już odkryła jego romans, nie mogła tego ukrywać. Musiała zareagować i mieć nadzieję, że mąż w końcu się opamięta. Gdyby nic nie zrobiła, nie potrafiłaby wytrzymać sama z sobą. Nie mogłaby nic nie robić i patrzeć na Roberta, wiedząc, że ciągnie dalej swój romans.

Kathy wyciągnęła z półki książkę kucharską i prze-kartkowała ją, potem rozłożyła na stole i przejrzała listę składników. To była część świątecznego rytuału. Książka kucharska należała do jej matki; na marginesach znajdowały się uwagi i poprawki napisane drobnym, wyraźnym pismem Margaret Childs. Kathy wiedziała, że Julia bardzo chciała mieć tę książkę: co roku przed świętami próbowała ją pożyczyć, a siostra odmawiała, dając jej tylko ręcznie spisane przepisy na indyka, szynkę i wieprzowinę. Kathy odwróciła się w stronę szafek i zaczęła wyjmować składniki nadzienia do indyka.

- Może usiądziesz i porozmawiasz ze mną? - poprosił nagle Robert.

Kathy nie odpowiedziała na tę prośbę, tylko ciągnęła swój monolog:

- Domyśliłam się w zeszły czwartek, kiedy pisałam kartki świąteczne. A gdy zaczęłam coś podejrzewać, łatwo było poskładać wszystko do kupy. Znalazła dowody, bo Robert stał się nieostrożny, zdawała sobie z tego sprawę. Zrobił się lekkomyślny - tak długo bez przeszkód kontynuował swój romans, że przestał się z tym kryć.

- W twoim biurze znalazłam mandat za przekroczenie prędkości. Złapali cię w Ballymun w październiku... a miałeś wtedy być w Belfaście, na kolacji z klientem.

Kathy zaczęła wrzucać chleb do miksera, by pokruszyć go na kawałki - czerpała przyjemność z patrzenia na Iwarz męża, podczas gdy ostrza obracały się z dźwiękiem podobnym do wiertła dentystycznego.

Wiedziała, jak bardzo Robert nienawidzi dentysty... choć mimo to nie omieszkał zafundować sobie niedawno paru bardzo drogich zabiegów stomatologicznych. Ciekawe, czy uczynił to pod wpływem Stephanie. No i siłownia, nowe ubrania, uwaga, którą zaczął poświęcać swojemu wyglądowi. Czy to nie były pierwsze oznaki tego, że ma romans?

- Potem przypomniałam sobie inne noce, kiedy byłeś poza domem, spotykałeś się z klientami, piłeś z nimi, jadłeś kolacje... - ciągnęła. - I wiesz co? Nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy podpisałeś z nimi choć jedną umowę. Miałeś jeść kolację z Jimmym Moranem u Shanaha-na na Green w zeszłym tygodniu. Zadzwoiłam, żeby to sprawdzić - nie mieli twojej rezerwacji.

Właściwie to miałem... - zaczął Robert, ale mikser znów zaczął się obracać i ostrza zagłuszyły rozmowę.

- A potem znalazłam bilingi telefoniczne w biurze -Kathy odwróciła się, a na jej twarzy widać było rozczarowanie. - Setki rozmów, Robercie. Setki. Pierwsza rozmowa rano. Ostatnia wieczorem. Wszystkie na ten sam numer komórkowy albo ten sam telefon stacjonarny.

Pamiętała, jak wiele lat temu, zanim się pobrali, Robert zawsze dzwonił do niej późno w nocy, żeby powiedzieć „dobranoc”. Wydawało jej się to bardzo romantyczne.

I od razu przypomniałam sobie te wszystkie poranki, kiedy wychodziłeś z domu bez słowa, dni, kiedy byłeś zbyt zajęty, żeby zadzwonić i spytać, jak się czuję, dni kiedy wracałeś późno, a ja byłam już w łóżku. Mijały całe tygodnie, a my odzywaliśmy się do siebie ledwie slo-

wem. Jednak znajdowałeś czas, żeby dzwonić do swojej kochanki kilkanaście razy dziennie, każdego dnia.

- Maureen mówiła mi, że znalazłaś bilingi - wymamrotał.

- Potwierdziła tylko to, co już wiedziałam. Podała mi daty. Mówiła, że to się toczy od roku. Stephanie powiedziała, że od osiemnastu miesięcy.

Jaka jest prawda?

Już znała prawdę, ale chciała, by sam się przyznał.

- Czerwiec zeszłego roku... wtedy był pierwszy raz.

- Pierwszy raz czego? - warknęła.

Widziała, że Robert odwraca się przez ramię w stronę salonu. Słyszała wyraźnie głosy Brendana i Theresy. Wołała nie myśleć, jak ostatnie wydarzenia wpłyną na dzieci. Oboje uwielbiali swojego ojca: co pomyślą o nim, kiedy okaże się, że zdradził ich wszystkich? Będą go winić, czy może obwinia Kathy?

- Może porozmawiamy gdzieś na osobności? - poprosił Robert.

Potrząsnęła zdecydowanie głową. W tej chwili to jest najbardziej odosobnione pomieszczenie w domu. Jeśli pójdziemy na górę, dzieci nabiorą podejrzeń, że pakujemy prezenty i będą tam w pięć minut. Teraz myślą, że przygotowujemy nadzienie do indyka, a to ich nie interesuje. Dostrzegła odbicie męża w szybie i widziała, że poruszył się, by podejść bliżej.

Robert wstał, obszedł stół i stanął obok Kathy. Pomóc ci?

- Nie - odparła.

Wcisnęła przycisk w mikserze i znów rozległ się warkot. Kiedy umilkł, odezwała się:

- Nie wiem, co z nami będzie, Robercie. Minie dużo czasu, zanim zaufam ci ponownie. Dużo czasu, zanim będę-

de mogła spojrzeć na ciebie, nie czując obrzydzenia - dodała z goryczą. Zauważyła, że Robert wyciąga rękę, by jej dotknąć, ale odskoczyła jak oparzona. - Zostaw! - warknęła. Nie chciała, by jej dotykał, choćby palcem. Świadomość, że całował Stephanie, obejmował ją, sypiał z nią, wywoływała mdłości.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - Wiem, że to banał, ale nigdy nie chciałem cię zranić. Musisz mi uwierzyć - nie miałem takiego zamiaru. Jakie w takim razie miał zamiary? Tak, to był banał. To samo mówią inni mężczyźni przyłapani na zdradzie. A Robert nie myślał o konsekwencjach: to było najgorsze. Był gotowy poświęcić osiemnaście lat małżeństwa, osiemnaście lat wspomnień, miłości, zaufania dla krótkiej chwili namiętności. Czy tylko tyle było warte ich małżeństwo?

- Pozwoliłem sobie na ten związek... - zaczął Robert.

- Romans! - krzyknęła Kathy. - Nazwij to po imieniu, to był romans, a ty jesteś cudzołożnikiem!

Wcześniej Julia użyła tego słowa. Wtedy Kathy pomyślała, że dawno go nie słyszała. Było staromodne, pochodziło z innych, łatwiejszych czasów, kiedy obowiązywała inna moralność i różnice między złem a dobrem były jasno określone. Wyraz „cudzołożnik¹” idealnie określał Roberta.

- Zacząłem romans ze Stephanie w czerwcu zeszłego roku. Byłem samotny, Kathy, bardzo samotny. Chciałem z kimś porozmawiać, wyzalić się, potrzebowałem kogoś, kto będzie się mną interesował. Próbowałem rozmawiać z tobą - już nie wiem, ile razy. Ale ty nie chciałaś.

Kathy skoncentrowała się na jedzeniu, nic nie mówiąc, za to słuchając uważnie męża. Czy to była prawda? Nie interesowała się nim? To działało w dwie strony: Ro-

bert nie zajmował się domem i dziećmi. Jednak Kathy, kiedy kilkakrotnie powtórzyła sobie ten zarzut, zrozumiała, że nie może zaprzeczyć.

Naprawdę nie interesowała się firmą ani tym, jak radzi sobie Robert...

- Nigdy nie spytałaś, jak stoją sprawy, wydawałaś się zupełnie niezainteresowana tym, jak mozolnie, dzień po dniu, próbuję utrzymać firmę na powierzchni. Nie jestem pewien, czy w ogóle byłaś świadoma, jakie mieliśmy problemy. Byliśmy blisko, bardzo blisko, pójścia na dno. Maureen mówiła to samo i Kathy poczuła nagle wszechogarniające poczucie winy. Czyżby była tak bardzo zajęta domem i dziećmi, że zapomniała o wszystkim innym?

Otworzyła lodówkę i zajrzała do środka, szukając kiełbasy.

Jeśli było tak źle, dlaczego Robert nie poprosił, by usiedli i porozmawiali? Pewnie gdyby go o to spytała, powiedziałaby, że nic nie mówił, bo nie chciał jej denerwować.

- Byłem samotny - powtórzył Robert. Wiedział, że żona się porusza, ale nie patrzył na nią. - My już nie... nie kochaliśmy się wcale. Kiedy próbowałem, odwracałaś się do mnie plecami albo byłaś tak niechętna, jakbyś uważała seks ze mną za obowiązek.

Cóż, pod koniec długiego dnia, który zwykle zaczynał się o siódmej rano, gdy wstawał Robert, a kończył się, kiedy pozmywała i powycierała naczynia oraz przygotowała obiad na jutro, nie miała już siły na seks.

- W ogóle nie było ci przyjemnie. A wiesz, jak ja się czułem? Jak śmieć, właśnie tak. Nie znośłem tego uczucia.

Nie lubiła mu odmawiać, ale już dawno temu zrozumiała, że mają z mężem inne potrzeby: ona lubiła kochać

się wczesnym rankiem, wtedy miała najwięcej energii -potem cały dzień był łatwiejszy. Robert wolał uprawiać seks wieczorem, by po wszystkim móc zapaść w głęboki, nieruchomy sen.

- Więc po jakimś czasie przestałem się w ogóle starać, przyznaję - mówił dalej Robert. - Ale - i nie traktuj tego jak krytyki, to tylko stwierdzenie faktu - ty też się nie starałaś.

- Twierdzisz, że to moja wina, że znalazłeś sobie kochankę? - ze złością spytała Kathy, ale w głębi serca wiedziała, że w tym, co mówi mąż, jest trochę racji. Nie pamiętała, kiedy ostatnio to ona zainicjowała seks. Dawno temu - zbyt dawno.

- Nie - westchnął. - Nie próbuję z tobą wygrać, chcę ci tylko pokazać, jak to się stało, że znalazłem się w tej sytuacji. Pozwoliłem sobie na ten romans, Kathy, bo byłem pewien - całkowicie - że już mnie nie kochasz. Kathy odwróciła się na pięcie, stanęła naprzeciw męża i otworzyła usta, ale podniósł dłoń, by ją uciszyć.

- Wiem. Mówię ci tylko, jak się czułem, jak postrzegałem sprawy. Kiedy dzisiaj stałaś w salonie Stephanie i powiedziałaś, że mnie kochasz, nikt nie był bardziej zdziwiony niż ja sam.

- Nigdy nie przestałam cię kochać - pospiesznie odezwała się Kathy, choć w ciągu ostatnich kilku dni przestała go... lubić.

- Nawet teraz? - spytał, próbując się uśmiechnąć.

- Nie jestem pewna, co czuję do ciebie w tej chwili -powiedziała szczerze.

- Ale to, że stoimy tu teraz, po tym wszystkim, chyba coś oznacza.

- Co? - dociekał Robert.

- Że może ja też biorę na siebie część odpowiedzialności za to, co się stało. Przestałeś mnie obchodzić. A jeśli

małżeństwo ma przetrwać, obie strony powinny się sobą interesować. Ty przestałeś interesować się mną, a ja tobą.

- Czy coś by pomogło, gdybym przyznał, że bardzo, bardzo mi przykro? Spojrzała na niego.

- Przykro z jakiego powodu? Żałujesz, że miałeś romans? - spytała swobodnie, choć była śmiertelnie poważna.

- Żałuję, że sprawiłem ci ból i przysporzyłem zmartwień. Tylko tyle miał do powiedzenia.

Przynajmniej nie skłamał, że żałuje swojego romansu, Wiedziała, że tak nie jest. Dostrzegła to w oczach Roberta, a ledwo kilka godzin temu zapewniał przecież, że kocha Stephanie.

- Cóż, cieszę się, że wyznałeś mi prawdę - powiedziała.

- Nigdy z rozmysłem bym cię nie skrzywdził - wyszeptał Robert.

- A jednak to zrobiłeś, Robertcie - powiedziała wprost. - Zraniłeś mnie i upokorzyłeś. Minie sporo czasu, zanim ci wybaczę.

- Co z nami będzie? - spytał.

O niczym innym nie myślała, jadąc do domu. Rozważała wszystkie możliwości i wciąż dochodziła do tych samych wniosków. Wzięła głęboki oddech i odezwała się pospiesznie, nie chcąc, by jej głos zdradził zdenerwowanie:

- Wydaje mi się, że mamy dwa wyjścia: możemy zostać razem, ustalić nowe zasady, zacząć jeszcze raz i poukładać nasze sprawy. Albo mogę wystąpić o rozwód.

Patrzyła, jak jej ostatnie słowa dochodzą do męża. Myśl o rozwodzie była przerażająca - Kathy nie miała pojęcia o formalnościach, nie potrafiła sobie wyobrazić po-

działu dóbr, ewentualnej sprzedaży domu i firmy, przenoszenia dzieci do innych szkół. Musiałaby znaleźć pracę...

- No dobrze, porozmawiamy o tym później, może jutro - Robert nawet nie próbował ukryć drżenia w swoim głosie. - Oboje jesteśmy zmęczeni i nie myślimy zbyt jasno. Przynajmniej ja nie - dodał. Odetchnął głęboko i powiedział:

- Muszę cię o coś poprosić.

- Poprosić!

Potwierdził skinieniem głowy. Jeśli zdecydujesz, że mam odejść zrozumieć, jeśli tak będzie - czy możemy przez jakiś czas nie mówić o tym dzieciom? Nie chcę im psuć Bożego Narodzenia.

Kathy spuściła głowę i odwróciła wzrok. Miała zamiar poprosić niemal o to samo.

- Nie zrobię tego - obiecała. - Spróbujmy przeżyć następnych kilka dni jak cywilizowani ludzie.

Jeśli się pogodzą, dzieci nie będą musiały o niczym wiedzieć.

- Dziękuję - odparł szczerze.

- Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć, Robertcie? - spyła nagle.

- O czym?

- Że ode mnie odchodzisz.

Znała już odpowiedź, ale chciała ją usłyszeć od męża.

- Jeszcze nie zdecydowałem - wymamrotał. ~ Pewnie w weekend.

Coś w środku Kathy pękło na pół.

- Nie jesteś pewien.

- Nie jestem - przyznał.

- A mimo to Stephanie wydawała się przekonana, że powiesz mi zaraz po świętach, żebyście mogli razem spędzić Sylwestra.

- Tak, rozmawialiśmy o tym.

- A może chciałeś znaleźć jakąś wymówkę i zostać tutaj? - zgadywała Kathy. Zdziwiła się, że w głosie męża nie było słycać stuprocentowego przekonania.

- Kathy - odpowiedział zgodnie z prawdą. - Nie mam pojęcia, co bym zrobił. Ale tak, chciałem ci powiedzieć, że odchodzę, pewnie w sobotę albo w niedzielę.

Drań! - syknęła Kathy. Czuła, jak zaczyna się gotować z wściekłości. Miała ochotę wrzeszczeć i wyc. Chciała uderzyć, niczym szpony wbić mężowi paznokcie w twarz. Jak to możliwe, że tak swobodnie mówił o tym, że odejdzie od niej po osiemnastu latach małżeństwa? Położyła mu dłonie na piersi i odepchnęła od siebie. - Ty bezduszny, nieczuły draniu! Robert odsunął się od niej i obszedł stół.

- Przepraszam, Kathy, naprawdę. Podjąłem tę decyzję, wierząc, że mnie nie kochasz. Zanim dowiedziałem się prawdy.

Kathy odwróciła się i zajęła przygotowywaniem nadzienia, ugniatając je ze złością. Kiedy już upewniła się, że panuje nad swoim głosem, powiedziała spokojnie:

Jeśli mamy odbudować nasze życie i nasz związek, musimy być z sobą szczerzy.

Spojrzała w górę, widząc, że mąż przygląda się jej odbiciu w oknie, i dodała:

- Będziesz ze mną szczerzy, Robercie? Możesz mi to obiecać?

- Tak. Mogę - odpowiedział.

- W takim razie obiecaj mi coś jeszcze.

- Co tylko zechcesz.

- Musisz przysiąc - że będziesz się trzymał z dala od tej kobiety.

Dobrze - odpowiedział szybko. - Zresztą myślę, że po dzisiejszym dniu nie będzie chciała mnie znać. Potem odwrócił się i wyszedł.

Kathy oparła się o zlew i wyjrzała w ciemną noc, widząc jedynie swoje odbicie zniekształcone w okiennej szybie. Stephanie powiedziała, że już go nie chce... ale problem w tym, czy Robert zaakceptuje jej decyzję? Czy on nie chce już Stephanie?

Rozdział 36

Kathy siedziała z łokciami opartymi na kuchennym stole, z czołem przyciśniętym do prawej dłoni i słuchawką telefonu przyłożoną do ucha.

- Odbierz, odbierz.

Włączyła się sekretarka i grzeczny, bezbarwny męski głos wyrecytował:

- W tej chwili nie ma nikogo, kto mógłby odebrać twój telefon. Zostaw wiadomość po sygnale. Dziękuję.

- Sheila? Sheila, jesteś?

Usłyszała kliknięcie i po chwili odezwał się lekko rozbawiony głos Sheili:

- Jestem, jestem. Sprawdzam telefony, bo Julia mnie ściga.

- Tak myślałam. Była u nas dziś wieczorem. -Aha.

Kathy usłyszała serię szeleszczących odgłosów, potem tąpnięcie, a kiedy Sheila odezwała się ponownie, jej głos był lekko przytłumiony.

- Przepraszam - odezwała się. Po chwili znów mówiła wyraźnie: - Jestem w łóżku, musiałam się położyć. Po-

wtórz mi, co mówiła Julia. Ale wcześniej, powiedz, czy byłaś u Stephanie Burroughs?

- Cóż... - zaczęła powoli Kathy. - To z pewnością będzie wyjątkowa Wigilia. Owszem, byłam u Stephanie.

Po krótkiej przerwie Kathy znów usłyszała szelest i domyśliła się, że siostra już nie leży, tylko siedzi na łóżku.

- O mój Boże... kiedy o tym mówiłaś, myślałam, że żartujesz.

- Musiałam to zrobić.

Kathy urwała, bo usłyszała, że na górze zamykają się drzwi gabinetu Roberta, a potem mąż schodzi po skrzypiących schodach.

- Poczekaj chwilę - powiedziała szybko, odkładając telefon. Zanim dotarła do kuchennych drzwi, Robert już wyszedł głównym wejściem i zniknął w ciemności. Kathy wychyliła się do holu,

- Wychodzisz? - spytała, próbując zachować spokój.

- Chciałem zaparkować samochód - wyjaśnił. - Przedtem musiałem stanąć na ulicy.

Kathy nie czekała na dalsze tłumaczenia. Wróciła do kuchni, zamknęła drzwi i podniosła słuchawkę.

- Przepraszam odezwała się do młodszej siostry. - Wydawało mi się, że Robert gdzieś wychodzi, ale tylko parkował samochód.

- Czekaj, czekaj! Przed chwilą powiedziałaś, że byłaś u tej całej Burroughs, a teraz mówisz, że Robert ciągle jest w domu. Co się stało? Kathy szybko streściła Sheili wydarzenia minionego dnia. Nie przestając mówić, wbiegła na górę i wślizgnęła się do sypialni. Stojąc za zasłoną, spojrzała na dół, na podjazd. Robert powoli i ostrożnie przemieszczał samochód. Jednak nie kłamał. Przyglądała się przez chwilę mężowi i zastanawiała, czy jeszcze kiedyś mu zaufa. Czy

powinna? Przecież nie może bezustannie denerwować się, gdy on wychodzi z domu, stale sprawdzać, gdzie i z kim jest, spisywać stanu licznika, potwierdzać każdej wymówki, którą jej poda na usprawiedliwienie późnych powrotów. Tak nie można żyć. Nikt by nie mógł. Więc i ona także.

Odwróciła się i zbiegła z powrotem do kuchni. Właśnie zamykała za sobą drzwi, kiedy usłyszała trząśnięcie -Robert wrócił do domu. Schody zaskrzypiały i zamknęły się drzwi od gabinetu. Podłoga na górze zatrzeszczała, kiedy mąż wszedł do swojego królestwa.

- Więc przyjąłeś go z powrotem - powiedziała Sheila spokojnie.

- To było trochę bardziej skomplikowane, niż mi się wydawało - odparła Kathy.

- Zawsze tak jest. Jeśli chodzi o romans, nic nie jest białe albo czarne. Może mieć tylko różne odcienie szarości.

Kathy pokiwała głową. Zaczynała to rozumieć.

- Co teraz będzie? - spytała młodsza siostra.

- Nie wiem - odpowiedziała zgodnie z prawdą Kathy. Robert i ja musimy porozmawiać, poważnie porozmawiać. I pójść na terapię małżeńską. A ja chcę wrócić do firmy, znów mieć nad nią kontrolę...

Razem z potokiem słów, z oczu Kathy popłynęły nagle potoki łez.

Rozplakała się na całego, szlochając tak mocno, aż rozboleł ją żołądek i wszystkie wnętrzności. Przez chwilę bała się, że zwymiotuje.

- Kathy, och, Kathy - powiedziała ze współczuciem Sheila. - Zaraz przyjadę.

Kathy odetchnęła głęboko i spróbowała się uspokoić.

- Nie, nie, lepiej nie. Zostań, gdzie jesteś, Sheila. Drogi są fatalne, nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś ci się stało.

Przycisnęła dłonie do oczy i otarła łzy.

- Poradzę sobie - obiecała, wiedząc, że to nieprawda. Upłyną tygodnie, a może miesiące, zanim poczuje się lepiej. - Daj mi tylko trochę czasu.

- Wolałabyś nie wiedzieć? - spytała Sheila. Odpowiedź Kathy była natychmiastowa:

- Nie. Musiałam wiedzieć. Ale cieszę się, że sama na to wpadłam. Powoli, kawałek po kawałku, odkrywałam prawdę i to pozwoliło mi ją jakoś zaakceptować. Gdyby wszystko spadło na mnie znienacka, załamałabym się.

- Nasza ukochana siostra z chęcią przekazałaby ci tak wspaniałą wiadomość - ponuro skomentowała Sheila.

- No właśnie.

Z telefonem przyciśniętym ramieniem do ucha, Kathy zaczęła sprzątać ze stołu, wkładając filiżanki i talerze do zmywarki. Powinna przygotować warzywa na jutrzejszy świąteczny obiad i przypilnować, żeby dzieci choć raz poszły punktualnie do łóżka. Chciała, by jutro rano wczesnie wstały: Boże Narodzenie było jedynym dniem w roku, kiedy cała rodzina szła do kościoła, a lepiej było zdążyć na jedną z porannych mszy. Były krótsze i przychodziło na nie mniej dzieci. Podłoga na górze zaskrzypiała i Kathy zastanowiła się, czy Robert pójdzie jutro z nimi do kościoła?

Pytania. Romans to tylko kolejne pytania. W ciągu ostatnich kilku dni, od kiedy znalazła nazwisko Stephanie Burroughs w telefonie Roberta i zaczęła go podejrzewać o romans z tą kobietą, Kathy zadała sobie już milion pytań. Nagle wszystko, co kiedyś brała za pewnik, okazało się podejrzanym. Wszystko, co zbudowało osiemnaście lat małżeństwa, zniknęło.

Dlaczego? - powiedziała głośno, zapominając, że cały czas rozmawia z siostrą.

- Dlaczego co?
 - Chyba zastanawiałam się, czemu on mnie zdradził.
 - Bo mógł - natychmiast odpowiedziała Sheila.
 - Ciągłe myślę, czy mogłam temu zapobiec, powstrzymać go, gdybym tylko była... nie wiem, gdybym była bardziej obecna - dokończyła.
- W słuchawce rozległ się cichy brzęczek, kończyła się bateria.
- Mów szybko, zanim telefon padnie. Co cię napadło, żeby mówić Julii o Allenie?
- Śmiech Sheili brzmiał odrobinę sztucznie.
- Był tutaj, kiedy z nią rozmawiałam. Przyszedł mi powiedzieć, że dziś wieczorem oznajmi żonie, że od niej odchodzi. Do mnie.
 - Sheila!
 - Prosiłam go, żeby tego nie robił. Allen jest zabawny, czarujący i elegancki, ale także odrobinę zarozumiały i nudny. Lubię jego towarzystwo, ale nie jest kimś, z kim mam ochotę spędzić resztę życia. Przez ostatnich kilka tygodni obiecywał mi niezwykle piękny prezent świąteczny. I dzisiaj nie mógł się już powstrzymać: chciał powiedzieć wszystko żonie, a potem przyjechać do mnie, żebyśmy mogli spędzić razem nasze pierwsze Boże Narodzenie. To był ten prezent!
 - Bardzo romantyczny - z goryczą zauważyła Kathy.
 - Bardzo. Prosiłam go, żeby nie mówił żonie w czasie świąt, bo to i tak nerwowy tydzień. Więc oskarżył mnie, że wstydzę się z nim pokazywać. Mówił, że nie przedstawiłam go swojej rodzinie - i w tej chwili zadzwoniła Julia. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale nagle usłyszałam siebie samą, jak pytam, czy mogłabym przyprowadzić na obiad mojego faceta. Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony: Julia czy Allen.

- Jego nazwisko brzmiało znajomo.
- Tak. Dublin jest taki mały. Poznała jego nazwisko, chwilę pomyślała i znów zadzwoniła, pytając prosto z mostu, czy on nie jest żonaty. A potem zaczęła wypytywać, czyjego żona wie o naszym romansie i denerwować się, że tego tak nie zostawi. Tylko co to ma z nią wspólnego?
- Wiem. Robert spytał ją o to samo.
- W każdym razie wydzwania do mnie cały wieczór, pewnie chcąc przedyskutować tę sytuację.
- Allen jeszcze jest u ciebie?
- Nie, przekonałam go, by wrócił do domu i nic nie mówił żonie.
- Co zrobisz?
- Nie mam pojęcia. Spróbuję przetrzymać go do po świętach. A potem go rzucę. Postaram się być miła, ale jeśli się nie uda, będę brutalna.
- Przeprowadzisz go do Julii na obiad?
- No co ty! Wyobrażasz sobie, co by się tam działo? Pewnie nawet nie otworzyłaby mu drzwi.

Telefon pisknął i głos Sheili umilkł. Bateria padła. Kathy odstawiła słuchawkę i zastanowiła się, czy nie pójść do sypialni i nie zadzwonić stamtąd jeszcze raz, ale stwierdziła, że Sheila może poczekać. Miała sporo roboty przed pójściem spać i chciała się zająć wigilijnymi czynnościami. Rozmowa z Sheilą o jej romansie z żonatym mężczyzną nie pozwalała Kathy zapomnieć o własnych problemach. A w tej chwili chciała o nich zapomnieć, choćby na chwilę. Chciała, by było tak, jak w zeszłym roku.

Uświadomiła sobie jednak, czując żal i gorycz, że w zeszłym roku Robert spotykał się już ze Stephanie. Kathy przycisnęła dłonie do ust i zbiegła do toalety na dole, gdzie uklękła i zwymiotowała.

Rozdział 37

Środa, 25 grudnia Boże Narodzenie

Kathy Walker otworzyła oczy wyrwana nagle ze snu. Nie wiedziała, co ją obudziło.

Poszła do łóżka zaraz po północy, kiedy udało jej się skończyć pracę w kuchni, wypełnionej teraz zapachami świąt. Cynamon, korzenne przyprawy, jedzenie i świece -aromaty, które od teraz zawsze będą się jej kojarzyły ze zdradą. Przewróciła się na drugi bok i spojrzała na zegar: prawie pierwsza.

Dom był nieruchomy i cichy. Kathy wiedziała, że padał śnieg, jeszcze zanim stoczyła się z łóżka i odsunęła zasłony. Świat za oknem był zupełnie biały, skrzypiący, magiczny i czysty. Później zaczną jeździć samochody, droga pokryje się brudną, czarną breją, a dzieci zmieniają ścieżki w błyszczące tafle ślizgawek. Jednak w tej chwili świat zatracił ostrość, a wszystko wokół wyglądało pięknie i świeżo.

Kathy wślizgnęła się na powrót do ciepłego łóżka, położyła na plecach i patrzyła w sufit. W pokoju powinno być całkiem ciemno, ale leżący na zewnątrz śnieg oświetlał sufit alabastrowym blaskiem.

Białe Boże Narodzenie.

Ostatnio, kiedy padało w Boże Narodzenie, była jeszcze dzieckiem.

Powinna jakoś uczcić tę aurę - ale nie w te święta, nie dzisiaj.

Wczoraj - czy naprawdę ledwie wczoraj? - spotkała się z kochanką swojego męża.

Wczoraj podeszła do nieznanej kobiety i spoliczkowała ją.

Wczoraj ta kobieta oddała jej męża. Wczoraj, wczoraj, wczoraj. Niecałe dwanaście godzin temu, a wydawało się, że minęła cała wieczność.

Kathy przycisnęła obie dłonie do burczącego brzucha. Od chwili, kiedy wyjechała z domu w Swords, żeby dotrzeć do domu Stephanie Burroughs po drugiej stronie miasta, nad kanałem, jej żołądek na przemian kurczył się, bolał i piekł jak przy niestrawności. Kiedy wysiadała z auta przed domem tamtej kobiety i położyła rękę na brzuchu, wydawało jej się, że wymiotuje.

W drodze powrotnej Kathy dwa razy musiała zjechać z drogi, otworzyć okno i odetchnąć głęboko, by poczuć się lepiej. Uwierający ból wrócił, przypominając o minionym dniu. Wieczorem i teraz, w nocy, czuła się coraz gorzej. Przypominając sobie spotkanie i rozmowę z kochanką męża, coraz dotkliwiej odczuwała protesty swojego żołądka i wymiotowała tak długo, aż czuła tylko gorycz w gardle. Było tak źle, że napiła się nawet prosto z butelki maaloksu, którego nie znosiła kredowy płyn pokrywał język i usta mlecznym osadem.

Kathy spojrzała na drugą stronę łóżka.

Roberta nie było. Nawet nie próbował przyjść do ich wspólnego łóżka, więc pewnie spędzi noc na fotelu w swoim gabinecie. Nie była pewna, co by zrobiła, gdyby spróbował położyć się obok niej. Pewnie by wyszła i poszła spać na dół. Powinna się była domyślić, że Robert nie będzie chciał dopuścić do sytuacji, w której żona mogłaby zmusić go do rozmowy.

Wiedziała, że jeszcze nie jest na to gotowy. W przeszłości kłócili się i sprzeczali jak każda para. Taktyka Roberta była prosta: określić swoje stanowisko i odmówić dalszej dyskusji na dany temat. Po kilku nieudanych pró-

bach nawiązania rozmowy Kathy zazwyczaj odpuszczała, a mąż wygrywał walkowerem. Tym razem miało być inaczej: musieli porozmawiać o przyszłości.

Jeśli w ogóle mają jakąś przyszłość.

Nagle usłyszała cicho zamykane drzwi, a potem niespokojne kroki na skrzypiących schodach. Wyteżając wszystkie zmysły, domyśliła się, że Robert porusza się na dole, chwilę później słyhać było kliknięcie, kiedy wyciągał wtyczkę w salonie pod sypialnią i szum czajnika w kuchni.

Później długa cisza i odgłos zamykania kuchennych drzwi. Szybkie kroki po schodach, otwieranie i prawie natychmiastowe zamknięcie drzwi do gabinetu. Kroki na schodach tym razem były głośniejsze... jakby Robert włożył buty.

Kathy usiadła wyprostowana na łóżku, serce waliło jej jak młotem.

Czyżby wychodził?

Zagrzechotał łańcuch przy frontowych drzwiach, które cicho otworzyły się i zamknęły.

Wyszła z łóżka, stanęła zmarznięta przy oknie i patrzyła, jak mąż wyprowadza samochód z podjazdu. Nie włączył przednich reflektorów, bo oświetliłyby sypialnię, ale światła stopu zostawiały na śniegu krwistoczerwoną smugę.

Jechał do tamtej.

Myślała... myślała... Kiedy wrócił z nią do domu, wydawał się naprawdę skruszony. Miała nadzieję, że jeśli tylko przetrwają kilka następnych dni, będą mogli żyć dalej. Prosiła go, by nie spotykał się więcej ze swoją kochanką, a Robert złożył obietnicę - choć bez specjalnego przekonania.

Powiedział wtedy o Stephanie: „Myślę, że po dzisiejszym dniu nie będzie chciała mnie znać”.

Skłamał.

Kathy już nie płakała... była tylko zła i bezradna. Co miała robić? Co mogła zrobić? Pozbyć się go? Zebrać jego ubrania i rzeczy, wepchnąć je do walizek i wyrzucić

przez okno do ogrodu? A może zadzwonić do Stephanie i powiedzieć jej, że Robert jest w drodze i może nie wracać do domu?

Czy miał zamiar wrócić?

Kathy włożyła szlafrok, wyszła z sypialni i poszła do gabinetu Roberta. Było tu gorąco i duszno, w powietrzu wyczuwało się zapach starego płynu do golenia i kwaśny odór potu. Wszystko zdawało się w porządku - może nawet za bardzo. Stosik papierów na biurku był zdecydowanie porządniejszy - zapewne gdyby przejrzała go znowu, nie znalazłaby już mandatu i wyciągu z karty VISA.

Zeszła na dół, do kuchni, gdzie koło telefonu leżała kartka:

Włączył się alarm w biurze - pojechałem sprawdzić, co się dzieje.

W pierwszej chwili chciała wziąć telefon i zadzwonić do firmy ochroniarskiej, by potwierdzić tę wiadomość. Nawet podniosła słuchawkę, lecz zmieniła zdanie i odłożyła ją. Jeśli mają zacząć wszystko od nowa, musi na powrót zaufać mężowi. Już raz się pomyliła, kiedy sześć lat temu oskarżyła go o romans. Tamte podejrzenia zniszczyły ich małżeństwo; nie chciała popełnić tego błędu po raz drugi. Może naprawdę włączył się alarm w biurze... ale przecież nie słyszała, by dzwonił telefon. Sprawdziła wykaz połączeń - od telefonu Julii nie było żadnych przychodzących rozmów. Jeśli dzwonili z firmy ochroniarskiej, czy najpierw wybierali numer komórki Roberta, czy telefonu domowego? Kathy poczuła ulgę. Zostawiła kartkę tam, gdzie ją znalazła, wróciła na górę i weszła do zimnego łóżka.

Leżąc w ciszy, słyszała, jak śnieg uderza w okno i topi się na szybie.

Nagle zaczęła modlić się o bezpieczny powrót męża.

Jednak gdzieś w głębi serca tliła się myśl - słaba, ale nieustająca - że pojechał do Stephanie. Jeśli tak było, to koniec. Koniec.

O w pół do piątej, kiedy wrócił, Kathy ciągle nie spała.

Minuty wlokły się, sekundy mijały wolno jedna za drugą, a każda niosła z sobą inny przerażający scenariusz: ciało Roberta przy drodze... samochód dachujący po wypadku na dwupasmówce... Robert w ramionach kochanki.

Kilka razy sięgała po telefon, by wykręcić numer komórki męża albo firmy, czy nawet Stephanie. Nie zadzwoniła. Jeśli wyszedł z naprawdę ważnego powodu, nie chciała, by wiedział, że go sprawdza.

Kiedy zobaczyła smugę reflektorów na drodze i usłyszała, jak samochód, skrzypiąc, powoli jedzie po oblodzonej ulicy, wiedziała, że to on. Poczowała tak ogromną ulgę, że zadrżała z emocji.

Wygramoliła się z łóżka, wstała i patrzyła na zbliżające się audi. Przednie światła zgasły, by nie oświetlać frontu domu, a potem Robert wjechał na podjazd. Kathy wychyliła się, wyglądając zza zasłony i patrzyła, jak mąż wysiada. Wyraz ogromnego zmęczenia, który dostrzegła na jego twarzy, świadczył, że na pewno nie pojechał do Stephanie. Gdyby był u kochanki, spędziłby tam całą noc, a jeśli nawet chciał wrócić, zanim dzieci się obudzą, powinien wydawać się bardziej zadowolony.

Słyszała otwierające się drzwi i przez chwilę chciała zejść na dół, by spytać o biurowy alarm, ale wołała, by mąż nie wiedział, że zauważyła jego zniknięcie. Zaskrzypiały schody, drzwi do gabinetu otworzyły się i zamknęły, a potem Kathy usłyszała syk powietrza, kiedy Robert opadł na krzesło.

Cisza.

Kathy siedziała na krawędzi łóżka przez kilka chwil, które wydały się jej wiecznością. Potem cicho wyszła z pokoju na półpiętro i zatrzymała się przed drzwiami gabinetu. Otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

Robert spał twardo w swoim fotelu, ciągle ubrany w skórzany płaszcz i rękawice. Twarz miał bladą i nawet we śnie bardzo zmęczoną. Na pewno był w biurze. Poczowała się odrobinę winna, że podejrzewała go o coś innego.

Miała zamiar nauczyć się od nowa, jak ufać mężowi. Tak zrobi, obiecała sobie. Stała w drzwiach, patrzyła, jak Robert śpi w ubraniu, i podjęła noworoczne zobowiązanie: zrobi wszystko, by ocalić to małżeństwo, bo mimo bólu i cierpienia, na które ją naraził, mimo upokorzenia, jakiego doznała, wciąż kochała męża.

Boże dopomóż, wciąż go kochała.

Rozdział 38

Przez następne kilka godzin bardziej drzemała, niż spała.

Kiedy tylko zamknęła oczy, wydarzenia ostatnich kilkunastu godzin wracały natrętnie. Nagle Kathy przypomniała sobie spojrzenie Stephanie, kiedy ta otworzyła drzwi i zobaczyła w nich Kathy. Dziwne, ale nie wydawała się wcale zdziwiona; może także poczuła ulgę, że coś się wreszcie zmieni.

Gdy chodziło o romans - czas nic istniał. Romans rozgrywał się w czasowej bańce. Dopiero kiedy ktoś go odkrył albo gdy się skończył, kochankowie mogli znów żyć swoim życiem. Ona sama była uwięziona w świecie kłamstw, niedomówień i aluzji, podobnie jak Stephanie przez ostatnie

osiemnaście miesięcy. Pomiedzy nimi trwał Robert, rozpuszczając kłamstwa, próbując balansować między dwoma światami, mówiąc obu kobietom to, co chciały usłyszeć.

Kiedy wczoraj odwiedziła Stephanie, czas znów zaczął płynąć - cieszyła się, że Robert do nich dołączył. Oszczędziło jej to konieczności rozmowy z nim, w której pewnie kłamałby i obalił wszystkie jej dowody. Nie miała żadnych wątpliwości, że tak właśnie by było. Robert miał zawsze gotową odpowiedź.

Usłyszała jakiś szmer. Najpierw pomyślała, że to dzieci wstają, by sprawdzić, co „Mikołaj” w osobach mamy i taty zostawił im pod choinką, lub raczej po to, by upewnić się, że „Mikołaj” przyniósł dokładnie to, o co prosiły.

Otworzyły się drzwi od łazienki, potem Kathy usłyszała powolne ciężkie kroki - wiedziała, że to nie dzieci. Widocznie Robert także nie mógł spać. Kathy wyszła z łóżka i podeszła do okna. Ogród i ulica wyglądały jak na świątecznej pocztówce. Na nieskalanej białej powierzchni nie było żadnych śladów -nawet te zostawione przez auto Roberta trzy godziny wcześniej zostały już zupełnie przykryte. W niektórych domach paliły się światła. Kathy widziała opatulone w szlafroki dzieci w salonie domu naprzeciwko, które /gromadziły się wokół choinki i rozrywały opakowania swoich prezentów.

Przypomniała sobie własne dzieciństwo i ten szczególny wieczór, kiedy obudziła się i dostrzegła, że w nocy padał śnieg. Dzielila pokój z Sheilą obudziła wtedy siostrę. Miały po dziesięć, jedenaście lat, wystarczająco dużo, by zacząć podejrzewać, że Mikołaj nie istnieje, ale nie dość, by przestać w niego wierzyć. Na wszelki wypadek. Okryte kocem stały przytulone w oknie, patrzyły na śnieg i na świat, który znały tak dobrze, zmieniony nie do poznania. Lu-

strowały dachy okolicznych domów, szukając na śniegu śladów reniferów, zdecydowały jednak, że magiczne renifery prawdopodobnie nie zostawiały żadnych śladów.

Pamiętała doskonale, co w tamte święta dostała pod choinkę. Wielką lalkę z kręconymi włosami i oczami, które ciągle się zacinały, zestaw do namalowania morskiego krajobrazu, którego nigdy nie dokończyła, komiksy *Bunty* i *Mandy* oraz dwie bluzki, z których jedna ciągle miała metkę domu handlowego Boyers... Pomyślała wtedy, że to dziwne miejsce jak na zakupy dla Mikołaja.

Nie pamiętała ani świąt poprzedzających tamte, ani tych, które przyszedły potem, Śnieg sprawił, że było to szczególne Boże Narodzenie.

Wspomniała także inne: pierwsze święta po śmierci ojca; pierwsze po ślubie; rok urodzenia Brendana, później Theresy; pierwsze święta w tym domu, Reszta zlała się w jedno - to samo jedzenie, te same filmy w telewizji, to samo zdziwienie pod koniec dnia - „już po wszystkim?”.

I to Boże Narodzenie. Na pewno doda je do listy tych niezapomnianych. Obawiała się, że nie tylko nie zapomni tegorocznych świąt, ale że wpłyną one na wszystkie następne.

Z rozmyślań wyrwało ją ponowne skrzypnięcie schodów. Odwróciła się od okna i wślizgnęła z powrotem do łóżka.

Drzwi sypialni otworzyły się, a żółte światło z korytarza wlało się do środka. Usłyszała, jak Robert krząta się po jej stronie łóżka i stawia filiżankę ze spodkiem na szafce. Nie pamiętała, kiedy ostatnio przyniósł jej herbatę.

- Kathy - wyszeptał charczącym, zmęczonym głosem. - Kathy...?

Otworzyła oczy. Wyglądał fatalnie. Pod oczami miał głębokie worki, a skóra na twarzy była obwisła. Próbowwała się nie martwić.

- Przyniosłem ci herbatę - powiedział i dodał po chwili: - Wesołych Świąt.

- Wychodziłeś w nocy.

Nie to chciała powiedzieć, nie miała zamiaru pytać go o nic, ale musiała wiedzieć; musiała zadać pytanie i usłyszeć odpowiedź męża. Bardzo starała się, by jej głos brzmiał spokojnie.

- Włączył się alarm w biurze. Zadzwonili do mnie z firmy ochroniarskiej. Musiałem tam pojechać.

Przyglądała się jego twarzy, szukając w niej prawdy. Skąd miałyby wiedzieć, że kłamie? Kłamał od półtora roku, a ona niczego nie zauważyła - pewnie teraz jest już ekspertem w tej dziedzinie.

- Długo cię nie było - podniosła się w łóżku i naciągnęła kołdrę pod brodę. Drogi są paskudne. Byłem jedynym kierowcą na dwupasmówce, jechałem bardzo wolno. A kiedy dotarłem na miejsce, musiałem czekać na firmę ochroniarską.

Przesunął się, by stanąć przy oknie i spojrzeć na budzący się dzień. Czy dlatego, że nie mógł spojrzeć jej w twarz? Nie, przecież kłamał już tysiące razy, nawet patrząc żonie prosto w oczy.

- Rozumiem, że w biurze wszystko było w porządku. Pokiwał głową.

- Pewnie śnieg albo lód spadł z sąsiedniego budynku, uderzył w dach i włączył jeden z czujników. Słyszałem, jak inne alarmy dzwoniły na Merrion Square, kiedy wracałem do domu.

Kathy skinęła głową. Brzmiał wiarygodnie, zwłaszcza jeśli chodziło o włączenie się alarmu. Pewnie sam nie wymyśliłby takich szczegółów.

- Wypij herbatę - powiedział. - Dzieci na pewno wkrótce wstaną.

Wyszedł cicho z sypialni. Kathy usłyszała, jak zamyka drzwi w gabinecie.

Usiadła, pijąc chłodną już herbatę. Czuła się winna, nie powinna podejrzewać, że wymknął się do Stephanie.

Nie poszli na mszę o dziesiątej.

Kiedy Kathy skończyła swoją herbatę, zamknęła oczy - tylko na chwilę - i obudziła się dopiero za dziesięć dziesiąta, przekonana, że ostatnie wydarzenia były koszmarem, przerażającym snem. Musiała jedynie otworzyć oczy i rozejrzeć się wokół, a zobaczy Roberta leżącego u jej boku. Stephanie i ostatnie dwadzieścia cztery godziny, cały zeszły tydzień, staną się tylko...

Otworzyła oczy.

To nie był sen.

Słyszała dochodzące z dołu przytłumione odgłosy. Mimo że wcześniej była już zupełnie obudzona i przytomna, teraz poruszała się jakby w zwolnionym tempie. Włożyła szlafrok i cicho zeszła na dół. Dzieci właśnie otwierały prezenty, a Kathy, wchodząc, usłyszała głos Teresy:

- Dzięki, tato. Skąd wiedziałeś, że tego szukałam?

Robert stał obok choinki, gdzie rodzeństwo rozrzucało po podłodze ozdobne opakowania. Kiedy weszła Kathy, starał się wyglądać na zmieszanego i odparł:

- Przecież wiecie, że miałem pomocnika. Jak zawsze. Kathy odwróciła się i skierowała w stronę kuchni.

Czuła, że mąż idzie za nią. W rękach trzymał dwa byle jak opakowane prezenty.

- Wesołych Świąt - szepnął niezręcznie i podał je żonie. Ciekawe, co kupił swojej kochance, myślała Kathy.

Nie mogła nic porównać wręczonych jej dwóch małych paczuszek z pięknie zapakowanymi pudłami, które przyniósł wczoraj do domu Stephanie. Gdzie się po-

działy kwiaty i balony? Przez chwilę zastanawiała się, czy przyjąć podarunki. Cokolwiek to było, na pewno nigdy ich nie włoży ani nie użyje: chciała zapomnieć o tych świętach. Ale poddała się i wzięła paczuszki z rąk męża.

- Dzięki - powiedziała tylko. Wydało jej się, że Robert ma zamiar schylić się ku niej, oczekując pocałunku i uścisku, więc szybko się odwróciła.

- Dostaniesz swoje później - dodała, nie patrząc mu w twarz. - Są na górze, w garderobie. A teraz zbieraj się. Jeśli się nie pospieszymy, nie zdążymy do kościoła nawet na jedenastą. A suma zawsze trwa strasznie długo.

W przyszłym roku, obiecywała sobie Kathy, wychodząc z kościoła, zdąży na poranną mszę. Bardzo poranną mszę. Dzisiejsza co kilka minut była przerywana piszczącymi dźwiękami gameboya na zmianę z irytującymi piskami czyjegoś telefonu, bardzo realistycznymi rykami płaczącej lalki i strzałami z broni maszynowej Action Mana.

Kiedy wychodzili przez bramę, wpadli na Julię, wokół której zebrał się wianuszek kobiet. Wszystkie jednak z radością uciekły, kiedy podeszła do nich Kathy.

- Jesteście wreszcie, miałam nadzieję, że was tu spotkam - zaczęła Julia, po czym przelotnie pocałowała Kathy i Roberta w oba policzki. -

Wesołych Świąt, Wesołych. I mamy białe Boże Narodzenie - czyż to nie urocz.

Obróciła ostatnie zdanie z pytania w stwierdzenie.

- Wy też urocz. Wyglądacie, choć nie powinnaś zakładać tych spodni w taką pogodę.

Kathy ubrała się zwyczajnie, w ulubione wełniane spodnie, czarne kozaki i - choć wiedziała, że wygląda w nim na małą i przysadzistą - gruby, niebieski płaszcz.

Wyglądał jak koc, ale w dużym, wysokim kościele często były przeciągi. Julia natomiast ubrała się w stylu, który Kathy nazywała „wiejskim”: tweedowa spódnica, skromne bryczesy, długa marynarka i kapelusz z piórkami. I ona śmiała doradzać siostrze w sprawach mody! Kathy musiała się powstrzymać, by nie zrobić głupiej miny.

- A teraz, jeśli chodzi o jutro - zaczęła Julia - zbierzemy się około...

- Nie przyjdziemy - przerwała jej Kathy.

Julia spojrzała na nią zdezorientowana, po czym zerknęła na Roberta i mówiła dalej:

- Zaczniemy około czwartej...

- Chyba nie usłyszałaś Kathy - uśmiechnął się Robert. - Zdecydowaliśmy, że w tym roku nie przyjdziemy.

Julia otwierała usta jak ryba bez wody.

- To tradycja,

- Więc ją złamiemy - odparł Robert.

- I zaczniemy nową - dodała Kathy. - Wesołych Świąt, Julio. Uściskaj od nas Bena.

Odwróciła się i odeszła.

Robert skinął głową swojej zaskoczonej szwagierce i pobiegł za Kathy.

- Dzięki - odezwała się żona.

- Za co?

- Za to, że mnie poparłeś.

- Powinniśmy to zrobić wieki temu.

- Masz rację. Ale teraz nadszedł czas na zmiany - odparła, patrząc na niego uważnie.

Robert kiwnął głową, ale spojrzenie miał nieobecne. Potem zamrugał oczami i uśmiechnął się.

- Co ona miała na głowie? Wyglądała jak ta kobieta z *Co ludzie powiedzą?*, ta koszmarna snobka, pani Bouquet.

- Bucket poprawiła męża Kathy i roześmiała się, a on wraz z nią. Kiedy wsiadali do samochodu, pomyślała, że dawno nie śmiali się tak bez troski w swojej obecności.

Rozdział 39

Gdy zadzwonił telefon, Kathy poczuła, jak skręca się jej żołądek, a odrobina dobrego humoru, która została jej po mszy, nagle znika.

Odsunęła się od kuchenki i słyszała, jak Brendan woła:

- Tato, telefon.

- Odbierz - wymamrotał w odpowiedzi Robert.

- To do ciebie. Jak zawsze.

Wycierając ręce o pasiasty fartuch, Kathy skierowała się do jadalni, kiedy Robert - z podkrążonymi oczami i wymizerowaną twarzą - pojawił się w kuchni i podniósł słuchawkę.

- Halo?

Zastanawiała się, kto może dzwonić o tej porze w Boże Narodzenie i natychmiast pomyślała o Julii. Z pewnością siostra spędziła ostatnie kilka godzin na wpędzaniu się w świąteczną gorączkę i teraz znalazłaby tysiąc powodów, dla których Walkerowie powinni przyjść na jutrzejszy obiad.

Po chwili rozmowy niezawodnie pojawi się argument: „tak chciałaby nasza matka”.

- Halo? - powtórzył Robert.

Kathy spojrzała na męża, podnosząc pytająco brwi. Widziała, jak przełyka ślinę, oblizuje spierzchnięte wargi i uśmiecha się.

- Tak... jasne... - powiedział i dodał: - I Wesołych Świąt, wzajemnie.

Odetchnął i mówił dalej:

- Poczekaj sekundę, wyjdę z pokoju, dalej od telewizora.

- To Jimmy Moran - powiedział do Kathy, przyciskając słuchawkę do piersi. - Dzwoni z życzeniami.

Kathy skinęła głową, powoli wbijając szpikulec w indyka.

- Życz mu ode mnie Wesołych Świąt. Tylko nie rozmawiaj zbyt długo, za chwilę będę podawała obiad.

Robert przeszedł do holu.

- Zaraz wrócę.

Słyszała, jak wchodzi po schodach na górę i już wiedziała, że na pewno nie wróci „zaraz”. Jak zwykle. Spojrzała na blat, upewniając się, że wszystko jest na swoim miejscu. To był jedyny tak obfity posiłek, który przygotowywała w ciągu roku. Kiedy dzieci były młodsze, co wieczór gotowała tak zwany „porządny obiad”, a w weekendy coś specjalnego pieczeń albo jagnięcinę. Jednak gdy dzieci dorastały, a Robert często pracował w sobotnie poranki, przygotowywała już tylko proste potrawy. Kiedy Brendan i Theresa weszli w okres nastoletni, nie mieli czasu, żeby siedzieć przy stole i jeść, więc Kathy często gotowała tylko dla siebie i Roberta. A ostatnio jadła sama. Mąż wracał do domu „niegłodny” albo „po wielkim lunchu”. Teraz zastanawiała się, jak często ją wtedy okłamywał, bo jadał posiłki z kochanką.

Odgoniła od siebie tę myśl.

Skoro nie jadać jutro do Julii - a była zdecydowana, że nie pojedą może powinni zaprosić Jimmy'ego Morana i Sheilę? Tylko co, jeśli Sheila zechce przyprowadzić swojego faceta? Kathy westchnęła: niech go przyprowadzi. Nie jej sprawą było osądzanie czyjegoś związku, nie powinna tego robić.

Usłyszała, jak drzwi do gabinetu Roberta zamykają się, a kiedy mąż zszedł na dół, wyglądał trupio blado. Twarz miał białą, a worki pod oczami wyglądały teraz jak siniaki.

- Wszystko w porządku?

- Mówił, że tak - odparł Robert, oblizując wargi.

- Nie z nim, z tobą.

- Tak, tak, w porządku. Jestem tylko wyczerpany - przyznał. - Może po obiedzie zdrzemnę się trochę. Jeśli mogę - dodał.

- Przecież robisz to co roku - przypomniała mu.

Rozsunęli długi stół w jadalni i przykryli go obrusem z irlandzkiego lnu, który wyjmowali tylko w ten jeden dzień w roku. Na stole stały cztery pełne nakrycia - Theresa zajęła się ułożeniem noży i widelców we właściwej kolejności, a Brendan naszykował duże talerze oraz mniejsze na przystawki.

Robert siedział u szczytu stołu, Kathy naprzeciwko niego, dzieci po bokach. Kathy przyglądała się stołowi, próbując jak najlepiej zapamiętać każdy szczegół. Być może to będą ich ostatnie święta w domu. Co roku - zwykle w Boże Narodzenie mniej więcej o tej porze - planowała, że w następnym roku wyjadą gdzieś na święta. W jakieś ciepłe i słoneczne miejsce. Odkąd jako dziecko odkryła, że pory roku na południowej półkuli są odwrotne niż na północnej, marzyła, by spędzić Boże Narodzenie na plaży w Australii. W przyszłym roku, obiecywała sobie. W przyszłym roku.

Nie miała apetytu. Robert zresztą też, jak zauważyła z satysfakcją.

Dobrze, że czuł się równie fatalnie, jak ona. Dzieci oczywiście natychmiast pochłonęły domową zupę pomidorową, a Brendan dokończył także porcję ojca.

Kathy wstała i zaczęła zbierać talerze, kiedy telefon znów zadzwonił. Dostrzegła dziwny, nieznany jej wyraz twarzy męża.

- Niech się włączy sekretarka - powiedziała szybko. - To jeden z niewielu posiłków, który ta rodzina może zjeść razem.

Robert pokiwał głową, ale wstał od stołu.

- Lepiej odbiorę. Tylko chwilka.

Kathy westchnęła i zaniósła talerze do kuchni. W przyszłym roku muszą koniecznie wyjechać. Włożyła naczynia do zlewu i zajęła się indykiem, który stygł na desce. Zdjęła z niego aluminiową folię, wdychając aromaty mięsa i przypraw.

- Halo? Tak, tu Robert Walker...

Słuchając strzępów rozmowy Roberta, włączyła elektryczny nóż i zaczęła dzielić indyka na porcje. Brendan będzie chciał nogę, a Robert białą pierś i mięsne nadzienie. Theresa po raz kolejny przechodziła okres wegetariański i jadła tylko jarzyny.

- Dzień dobry, siostrze. W czym mogę pomóc?

Siostrze? Kathy odłożyła nóż i podeszła do kuchennych drzwi, podnosząc pytająco brwi. Zakonnica? Pielęgniarka? Z głosu i wyrazu twarzy Roberta wiedziała, że był równie zdezorientowany jak ona.

- Jamesa... Nie znam... Ach, mówi pani o Jimmym Moranie.

Kathy zmarszczyła czoło. Jimmy Moran? Przecież przed chwilą dzwonił.

- Wszystko w porządku? - pytał Robert. Spojrzał na żonę, wzruszył ramionami i po chwili dodał:

- Dzisiaj?

Przykrył dłonią słuchawkę i szeptem wyjaśnił Kathy:

- Szpital Mater. Jimmy tam leży.
- Przecież rozmawiałeś z nim mniej niż pół godziny temu - zdziwiła się. Robert już jej nie słuchał.
- Tak, tak, słucham... tylko dziwna to pora na wizyty. Boże Narodzenie i takie tam,..

Kathy odwróciła się i wyłączyła elektryczny nóż z kontaktu. Jeśli Jimmy miał kłopoty, wiedziała, że Robert do niego pojedzie.

- To pilne? - spytał Robert, a potem, najwyraźniej odpowiadając na pytanie pielęgniarki, dodał: - Tak, dobrym przyjacielem.

Kathy patrzyła, jak wyraz twarzy Roberta zmienia się nagle: w jego oczach dostrzegła strach.

- Proszę mu powiedzieć, że wkrótce się pojawię. Odłożył słuchawkę i spojrzał na żonę:

- Przepraszam, muszę jechać.
- Rozumiem. Powinieneś. A jak ci się z nim rozmawiało wcześniej?
- Normalnie - odpowiedział.
- Jedź. Weź płaszcz i rękawice. Zrobię ci herbatę do termosu.

Kathy stała w drzwiach, patrząc, jak Robert powolutku wyprowadza auto z podjazdu. Z przyzwyczajenia pomachała mu, po czym odwróciła się i zamknęła za sobą drzwi. Ciekawe, kiedy znów zobaczy męża. Gdy wróciła do jadalni, dzieci siedziały już przed telewizorem, a ona nie miała ochoty wołać ich z powrotem do stołu. Jedzenie świątecznego obiadu bez Roberta wydawało się po prostu niewłaściwe.

Przechodząc obok telefonu, zatrzymała się i spojrzała na listę odebranych połączeń. Ostatni wyświetlił się numer

8032000 - z pewnością należący do szpitala Mater. Poprzednie połączenie nie pokazało numeru. Nieznany wyskakiwało tylko przy połączeniach międzynarodowych. Jimmy Moran miał mieszkanie w Tempie Bar. Kathy pamiętała, że był tam zwykły miejski numer, zaczynający się na 67 albo 69. Może dzwonił z zastrzeżonego numeru. Wówczas jednak na ekranie pokazywał się numer prywatny.

Zdając sobie sprawę z tego, co robi, poczuła się winna, że znów szpieguje Roberta. Odwróciła się i zajęła sprzątaniami kuchni, pakowaniem mięsa, zawijaniem jarzyn i przelewaniem sosów - jabłkowego, serowego i żurawinowego do małych pojemników. Prawie całe jedzenie może poczekać. Wiedziała, że dzieci za kilka godzin będą szukać czegoś do przekąszenia, odkroiła więc plastry indyka i szynki, odłożyła je na dwa małe talerze, przykryła folią i postawiła na środku stołu.

- Zostawiłam wam trochę mięsa, jeśli zechcecie sobie zrobić później kanapki. I pilnujcie telefonu, dobrze? - powiedziała do dzieci, siedzących na dwóch krańcach kanapy i zajętych jedną z nowych gier, które Brendan dostał do swojego X-Boxa. - Wasz ojciec pojechał odwiedzić w szpitalu wujka Jimmy'ego. Idę na górę się zdrzemnąć. Nie spałam zbyt dobrze leżąc nocy.

- Kiedy tato wróci? - spytała Theresa, nie odrywając oczu od ekranu.

- Nie mam pojęcia - odparła zgodnie z prawdą. - To zależy od sytuacji w szpitalu. Zadzwoń, jak się czegoś dowie.

- Dwie godziny temu zabrali go na badania - opowiadał Robert dziwnie brzmiącym głosem, jakby stał w jakimś korytarzu. - Próbuję się dowiedzieć, jak się czuje i jakie są wyniki, ale pielęgniarki nie mogą mi nic powiedzieć. Mają zbyt dużo roboty.

Kathy leżała w łóżku, wpatrując się w sufit. Obok niej na kołdrze wałała się gruba powieść; próbowała czytać, ale słowa rozmazywały się na stronie i nie miały żadnego sensu.

- Jak wyglądał? - spytała.

- Wyglądał koszmarnie, Kathy. Kiedy go zobaczyłem, przestraszyłem się, że już nie żyje.

Słyszała w głosie męża autentyczny strach. Mimo że Robert nigdy by się do tego nie przyznał, wiedziała, że traktuje Jimmy'ego Morana jak przyszywanego ojca. Kathy lubiła ich starszego przyjaciela, ale wiedziała, jaki miał wpływ na Roberta - szczególnie na jego stosunek wobec kobiet. Jimmy należał do mężczyzn traktujących płęć przeciwną jak obiekty do zdobycia, które należało zaciągnąć do łóżka, a potem przykuć do zlewu.

- Jest twardy jak stare buty, Robertcie, wiesz o tym. Poradzi sobie.

Po chwili ciszy usłyszała, że dźwięk w słuchawce zmienia się, jakby Robert wyszedł z korytarza.

- Przepraszam, że zrujnowałem ci święta - powiedział nagle.

- Nie to zrujnowało moje święta. Były zmarnowane, zanim Jimmy zachorował.

- Wiem - przyznał skrzeczącym i zanikającym głosem.

- Gdybyś został dziś w domu, pewnie znów zaczęlibyśmy się kłócić - dodała.

- Pewnie tak - zgodził się.

- Może ten czas spędzony osobno okaże się... pożyteczny. Oboje spojrzymy na siebie z dystansem

Leżała w ciemnej sypialni, słuchała stłumionych dźwięków telewizora z jadalni... było jej źle. Nie wiedziała, jak fatalnie się czuje, dopóki nie położyła się do łóżka i poczuła, jak stres, który gromadził się w jej ciele przez cały dzień, powoli zaczyna odpływać.

- Tak, tak, masz rację.
- Przemyślmy wszystko - dodała.
- Nie robię nic innego - odparł.
- Porozmawiamy, kiedy wrócisz do domu. Zaraz zagonię dzieci do łóżek. Może zjemy małą kolację.
- Byłoby miło... tak, już od dawna nie siedzieliśmy i nie rozmawialiśmy. Będzie jak kiedyś.

Kathy usiadła na łóżku i wyjrzała na ulicę. Ciężkie, szare chmury, które gromadziły się na niebie przez całe popołudnie, przyniosły śnieg. Świat na zewnątrz zrobił się biały i nieruchomy.

- Myślisz, że uda ci się dzisiaj wrócić do domu? - spytała.
- Wolałbym poczekać i zobaczyć, jak się czuje Jimmy. Nie chcę go zostawiać samego.

Kathy zmarszczyła czoło. Tak nie powinno być. Jimmy był jednym z najbardziej towarzyskich ludzi, jakich знаła.

- Jest sam? Myślałam, że Angela albo Frances do niego przyjadą. Chyba ich nie zasypało, prawda?
- Może i zasypało, ale nie dlatego ich tu nie ma. Obie odmówiły. Okazuje się, że przez te wszystkie lata Jimmy ciągle je okłamywał i w końcu czeka go za to kara - odpowiedział.

Kathy pokiwała głową. Wiedziała, że prędzej czy później Jimmy Moran będzie musiał zapłacić za niebezpieczne związki z kolejnymi kobietami i przyjaciółkami. A to, jak traktował żonę i ostatnio także kochankę, wołało o pomstę do nieba. Robert postępował tak samo, pomyślała.

- Zostanę jeszcze trochę... jeśli mogę usłyszała.
- Oczywiście. Tutaj bardzo mocno pada; nawet wolę, żebyś został w mieście, niż jechał autem po takich drogach. Personel chyba nie będzie miał sumienia cię wyrzucić.

- Może masz rację. Prześpię się na jednym z pustych łóżek.

Kathy usłyszała w słuchawce piknięcie i Robert zaklął.

- Bateria mi siada - powiedział szybko.

- Czy w pokoju jest telefon? - spytała od razu. Poruszył się, potem coś kliknęło, jakby włączał światło.

- Podyktuję ci...

Zapisała numer w notesie przy telefonie.

- Słuchaj, lepiej kończmy, zachowam resztki baterii. Znasz numer, dzwoń, jeśli zechcesz. Będę tu przez następnych parę godzin, a jeśli zdecyduję się zostać, zadzwonię.

- Ucałuj ode mnie Jimmy'ego - powiedziała Kathy i rozłączyła się.

Jeszcze przez chwilę siedziała, patrząc na padający śnieg. Potem otworzyła prezenty od Roberta. Naszyjnik był śliczny, ale zadziwiająco podobny do tego, który dostała od niego kilka lat temu. Szaliki też okazały się ładne, choć bardzo zwyczajne. Miała takich tuzin. Pewnie wybrał podarunki w Pavillions. Może będzie mogła je zwrócić w przyszłym tygodniu.

Przypomniała sobie, że nie dała mężowi kupionych dla niego prezentów. Otworzyła dolną szufladę i wyjęła duże, prostokątne pudełko opakowane w kilka arkuszy świątecznego papieru. W środku była skórzana teczka, z inicjałami RW wygrawerowanymi złotymi literami z przodu. Do pudełka dołączony był bilecik. Napisała go, zanim odkryła romans męża, i przez chwilę miała ochotę go wyrzucić. Napisała kilka słów o tym, jak bardzo kocha Roberta i dziękuje mu za wszystko, co zrobił dla nich przez ostatni rok. Zdecydowała, że jednak zostawi kartkę. Jego bilecik był tradycyjny -

Dla mojej żo-

ny - z okolicznościowym wierszykiem, pod którym dopisał **Z wyrazami miłości i** na bazgrał nieczytelny zawijas.

Zaniosła pudełko do gabinetu męża i położyła je na biurku obok komputera. Spojrzała na ekran i przez chwilę pomyślała, że sprawdzi jego e-maile. Jednak szybko odwróciła się, zniesmaczona swoją podejrzliwością.

Kiedy Robert wrócił, Kathy drzemała w salonie przy wyłączonym telewizorze i ledwo tłącym się kominku. Mimo że nie minęła jeszcze północ, dzieci już spały-jego nieobecność zepsuła cały dzień. Telefon dzwonił dwa razy -Kathy zrywała się nagle, by odebrać. Jednak widząc numer Julii, nie podnosiła słuchawki. Starsza siostra nie zostawiła wiadomości na sekretarce. Kathy nie miała ochoty rozmawiać z Julią - na pewno by się pokłóciły. Chciała zadzwonić do Sheili albo Maureen, żeby pogadać, ale w końcu tego nie zrobiła. Potrzebowała czasu, by pomyśleć i zaplanować przyszłość - na to też nie miała siły. W jej głowie kłębiły się różne myśli, w jednej chwili gniewała się na Roberta, a w następnej mu współczuła. Dopadły ją wątpliwości i nienawiść do samej siebie. Przecież mogła zrobić coś, by zapobiec tej sytuacji.

Reflektory samochodu oświetlające salon wyrwały ją z zamyślenia. Otworzyła drzwi, jeszcze zanim Robert wysiadł z samochodu. Przedtem wyglądał na zmęczonego i chorego. Teraz mogła mu tylko współczuć. Miał skórę koloru pergaminu, na wpół zamknięte oczy, a plecy przygarbione, jakby dźwigał na nich cały świat. Kiedy wszedł do domu, zapragnęła objąć go i mocno przytulić, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale wyraz jego twarzy zniechęcił ją tak bardzo, że odsunęła się szybko.

Wiedziała, co się stało, zanim otworzył usta i powiedział „Nie żyje”.
Jimmy Moran umarł.

Robert wszedł po schodach i zamknął za sobą drzwi gabinetu, nie mówiąc ani słowa więcej. Słyszała kroki, kiedy stapał po podłodze, potem zapadła cisza.

Kathy Walker zamknęła drzwi na zamek i wyłączyła światła. Była zmęczona, obolała i sztywna, jakby powaliła ją grypa.

Wdrapała się na górę i zatrzymała przed drzwiami gabinetu z głową zwieszoną na jedną stronę. Przez kilka chwil nasłuchiwała, a potem otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Robert leżał na krześle. Mimo że spał, unosił brwi, a oczy poruszały się szybko pod zamkniętymi powiekami. W tej chwili było jej go ogromnie żal. Postanowiła, że wszystko się zmieni. Nie powinien być tutaj, spać na niewygodnym krześle, w ubraniu, które nosił cały dzień. Powinien znaleźć się w łóżku, przy niej, a ona powinna go przytulić i pocieszyć.

Podeszła do szafki, wyciągnęła gruby koc, zaniósła go do gabinetu i opatuliła Roberta. Jęknął przez sen, ale nie obudził się.

Zanim wyszła z pokoju, obejrzała się i podjęła decyzję: przeszłość zostawiać za sobą. Zapomną o tym, co się stało, uratują swoje małżeństwo. Zaczną od nowa.

Rozdział 40

Czwartek, 26 grudnia

- Dzięki za teczkę... i za kartkę - powiedział Robert, biorąc z rąk Kathy kubek z herbatą.

- Pomyślałam, że już najwyższy czas, żeby kupić ci nową: stara jest w wieku Brendana i dokładnie tak wygląda.

Zauważyła, że położył kartkę od niej na monitorze komputera.

Robert odwrócił się, by spojrzeć na świetnie wyprawioną skórzaną teczkę leżącą na stole.

- Będę o nią dbał - obiecał.

- Jak się trzymasz? - spytała, rozglądając się po gabinecie, który odzwierciedlał psychiczny stan właściciela: niegdyś uporządkowany, teraz był w kompletnej rozsypce. Na krzesłach wały się stosy ubrań; koc, którym go przykryła - wylądował na podłodze, a papiery i akta były porozrzucane w różnych miejscach.

- Szukałem adresów - odparł Robert, odwracając się do komputera i wskazując ekran kiwnięciem głowy. Kathy zauważyła, że otworzył folder „Kontakty” w Outlooku. - Angela mówiła, że jest zbyt rozbita, żeby załatwiać formalności pogrzebowe - dodał z goryczą. - Choć kiedy zadzwoniłem do niej wczoraj, żeby poinformować ją o śmierci Jimmy'ego, nie wydawała się przygnębiona. Słyszałem w tle odgłosy imprezy.

- Są święta, Robertcie - delikatnie przypomniała mu Kathy.

- A Frances w ogóle nie rozumiem. Ostatnio, kiedy z nią rozmawiałem, wydawała się pijana albo naćpana. Wcale nie zmartwiła się tym, że ojciec jej dziecka nie żyje.

- Przecież ich związek wydawał się raczej trwały, prawda?

- Myślę, że on kochał ją bardziej niż ona jego - odpowiedział Robert.

Przestała się nim interesować, kiedy wyszło na jaw, że nie zrobi z niej gwiazdy.

- Jimmy długo ją okłamywał i składał obietnice bez pokrycia.

- Wiem! - zirytował się Robert. - Przepraszam - dodał natychmiast. - Wiem, jaki był. Często rozmawiałem z nim i owszem, masz rację - jego kłamstwa obróciły się przeciwko niemu. Myślałem jednak, że ta śmierć coś zmieni.

- Śmierć nie zmieni tego, co czujemy do kogoś - powiedziała Kathy. - Nawet po śmierci nikt nie staje się lepszy, niż był za życia.

- Pewnie masz rację. Ale zawsze był moim przyjacielem i lubiłem go, bardzo lubiłem, pomimo jego wad.

- Wiem o tym.

- W każdym razie stało na tym, że próbuję wyciągnąć jakieś informacje z Angeli, która udaje, że mi pomaga. Znalazłem w końcu adres Michaela - Mikeya - Morana, najstarszego z braci. Mieszka w Kanadzie. Właśnie sprawdzałem internetową książkę adresową, szukając jego numeru. Choć nawet jeśli go znajdę, będę musiał poczekać - w Toronto jest pięć godzin wcześniej.

- Wiesz, jak im się układało?

- Nie bardzo. Chyba się przyjaźnili, choć mieszkali daleko od siebie.

Odwrócił się nagle od komputera. Gdy go znajdzie, załatwi sprawę pogrzebu, a potem skontaktuję się z ludźmi z branży. Napiszę też notkę dla prasy.

Spojrzał na żonę.

- Przepraszam. Chyba nie będzie dzisiaj ze mnie żadnego pożytku.

- Rób, co musisz - odparła. - Spróbuj jednak trochę odpocząć. Jesteś wykończony.

- Jestem - przyznał. - Zdrzemnę się później. A ty co będziesz robić? - uśmiechnął się. - Pojedziesz do Julii?

- Po moim trupie - odparta i zaczerwieniła się, zdając sobie sprawę ze swojej gafy. - Przepraszam. Gadam od rzeczy.

- Tak, ale to zabawne, sama przyznaj. Jeśli nie pojedziesz do niej, ona pewnie przyjedzie tutaj.

- Wybrała zły dzień na kłótnie - ponuro oświadczyła Kathy.

- Ach, Kathy, jak dobrze cię słyszeć!

- Maureen... Wesołych Świąt - ostrożnie zaczęła Kathy.

- Wszystko w porządku? Maureen zareagowała natychmiast, wyczuwając coś dziwnego w tonie Kathy.

- Raczej nie. Jimmy Moran zmarł wczoraj.

Po chwili ciszy Maureen westchnęła i odezwała się:

- Biedny Jimmy. Mój Boże dodała nagle. - Przecież on był młodszy ode mnie. Co się stało?

Kathy stała przy kuchennym oknie i patrzyła, jak Brendan i Theresa budują krzywego bałwana z tyłu ogrodu. Niebo było bezchmurne, a jasne słońce odbijało się w każdej możliwej powierzchni. W oddali Kathy widziała wielkie niebieskoczarne chmury, zbierające się na północy.

Znow będzie padać.

- Kathy? - Maureen wyrwała ją z zamyślenia.

- Przepraszam - odparła szybko. - Zmarł na zawał. Zadzwonili wczoraj do Roberta ze szpitala, wczesnym popołudniem. Pojechał tam i był z Jimmym do końca.

- Jak się trzyma?

- Kiepsko - przyznała Kathy.

- Nigdy nie rozumiałam tej ich przyjaźni. Jimmy zwykle nie miał dobrych kontaktów z młodszymi. Może się bał, może był zazdrosny - ale z Robertem od razu zaskoczyli.

- Chciałam ci powiedzieć. Wiem, że go znałaś.
- Znałam go ponad dwadzieścia pięć lat - cicho odparła Maureen. - Czasami nawet go lubiłam. Dogadywaliśmy się, bo, jak mówił, ja nigdy bym się z nim nie przespała. Był uroczy - dodała z westchnieniem. - Ale był też obrzydliwym i genialnym kłamcą. Co czyniło z niego idealnego producenta - dodała ze śmiechem. - Kiedy pogrzeb?
- Jeszcze nie wiem. Robert próbuje wszystko załatwić. Najwyraźniej ani Angela, ani Frances, nie chcą mieć z tym nic wspólnego. Nie przyjechały nawet do szpitala.
- Nie dziwię się.
- Robert próbuje skontaktować się z braćmi Jim-my'ego.
- Nie wiedziałam, że miał rodzinę - zdziwiła się Maureen.
- Trzech braci, w Ameryce, Kanadzie i Australii, jeśli dobrze pamiętam. Robert nie jest dzisiaj zbyt komunikatywny. Fizycznie i emocjonalnie to wrak.
- Wpadł do mnie w Wigilię. Powiedział mi, że spotkałyście się ze Stephanie. Jak się trzymasz? - delikatnie spytała przyjaciółka.
- Dobrze - szybko odparła Kathy.
- Szczerze - nalegała Maureen.
- Sama jestem wrakiem.
- Nic dziwnego. Wiesz, jakbyś chciała pogadać z kimś, kto wie, co przechodzisz, wystarczy, że do mnie zadzwonisz.
- Wiem. Dzięki.
- W oczach Kathy lśniły łzy, zmieniając ogród w tęczę rozmazanego światła. Po chwili odezwała się:
 - Co robisz dziś po południu? Jesteś wolna?
 - Nie mam żadnych planów - Maureen nie była zaskoczona zaproszeniem.

- Nie zjedliśmy wczoraj świątecznego obiadu. Robert pojechał do szpitala, zanim zaczęłam podawać. Może przyjedziesz? Będzie moja siostra, Sheila - pamiętasz ją? Zadzwoń do niej i poproszę, żeby po ciebie podjechała, nie będziesz musiała prowadzić. Zgódź się, proszę.
- **Z** przyjemnością - bez wahania odparła Maureen.
- Świetnie. Przyda mi się towarzystwo - przyznała Ka-thy. - I ktoś do pogadania. Robert jest zajęty sprawami pogrzebu Jimmy'ego, więc pewnie wróci późno. Będziemy we trzy.
- Przyjadę obiecała Maureen.
- Poproszę Sheilę, żeby zabrała cię koło trzeciej.
- Będę gotowa.

Rozdział 41

Dopiero kiedy Kathy zobaczyła Maureen i Sheilę stojące przed drzwiami, rozpląkała się. Nerwowy szloch pojawił się gdzieś w środku, aż cała zatrzęsała się z emocji. Przyjaciółka i siostra wzięły ją w ramiona i przytuliły mocno, pozwalając się Kathy wypłakać i wyrzucić z siebie ból i gniew.

Potem Maureen poprowadziła je od drzwi w stronę kuchni i kazała usiąść na krześle.

- Zrób herbatę - zasugerowała Sheili, podczas gdy sama pogrzebała w swojej małej torebce i wyjęła stamtąd lnianą chustkę, którą zaczęła ocierać oczy Kathy, jakby była dzieckiem.

Kathy wciąż szlochała.

- Przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło. Maureen kucnęła obok.

- Nie masz za co przepraszać. Tyle przeszłaś przez ostatnich kilka dni.
- Gdzie dzieci? - spytała Sheila.
- Oboje wyszli - na różne imprezy.
- A Robert?

- Na górze. Śpi. Przynajmniej tak myślę. Od godziny nie słyszałam żadnego ruchu.

Kathy wstała i ostrożnie poprawiła makijaż.

- Cóż, mogłam sobie darować malowanie, prawda?

- Wyglądasz ślicznie - zapewniła Sheila.

Kathy miała na sobie prosty garnitur w kolorze burgunda, kupiony pół roku wcześniej na brązowe przyjęcie, którego nigdy nie założyła. Robert odwołał wyjście w ostatniej chwili... przedtem o tym nie pomyślała, ale teraz domyślała się, dlaczego zrezygnował z tamtej imprezy.

Sheila włożyła jedwabną sukienkę w kolorze ostrygi, z delikatnym wzorkiem, a Maureen - jak zawsze elegancka i wyrafinowana - czarne spodnie i biały sweter z golfem.

- Dzięki, że przyszłyście - szczerze odezwała się Kathy. - Zaczynałam powoli wariować. Tylko z wami mogę porozmawiać o tym, co się dzieje. Ale nie zrobię tego dodała. - Obiecałam sobie, że coś zjemy, napijemy się i nie będziemy gadać o Robertcie.

Maureen przysunęła sobie krzesło i usiadła obok Kathy. Miała dzisiaj prawie przezrocyste oczy w kolorze szarego, popołudniowego nieba, wyglądała starzej, poważniej niż zwykle.

- Nie myśl sobie, że któraś z nas każe ci dotrzymać tej obietnicy.

Sheila postawiła przed Kathy filiżankę z herbatą.

- Po drodze rozmawiałam z Maureen - wie o mojej sytuacji.

- Żadnych tajemnic, co? - spytała Kathy.
- Nie między nami - potwierdziła Maureen. Skinieniem głowy podziękowała Sheili za filiżankę pachnącego Earl Greya, która stała przed nią na stole. - Pamiętałaś
- zdziwiła się, zadowolona.
- Pamiętałam.

Kiedy matka sióstr zmarła półtora roku wcześniej, Maureen energicznie przystąpiła do działania i pomogła im wszystko zorganizować. Pojawiła się w domu Julii w czasie czuwania przy zwłokach właśnie z pudełkiem Earl Greya.

- Mam mnóstwo jedzenia, o wiele za dużo. Wczoraj nikt u nas nie zjadł całego obiadu - odezwała się Kathy.
- Brendan i Theresa robili sobie wieczorem frytki w mikrofalówce. Niezły bożonarodzeniowy posiłek, co?

Przeniosła wzrok z Maureen na Sheilę i dodała:

- Możemy zjeść tutaj albo w jadalni.
 - Zróbmy to, jak należy - odparła Maureen. - Chodźmy do jadalni.
- Pokój pachniał choinką i kadzidełkami, zmieszanymi z torfowym smrodkiem z kominka. Trzy kobiety zniosły tam plenery z zimnym mięsem, miski z warzywami i butelkę białego wina z lodówki. Już otwarte czerwone stało przy kominku. Kathy zajęła swoje zwyczajowe miejsce, a Maureen i Sheila usiadły na krzesłach dzieci. Kiedy Kathy nakładała jedzenie, jej siostra nalewała wino czerwone dla siebie i Maureen, białe dla Kathy - a potem podniosły kieliszki, by wznieść toast.
- Za co pijemy? - spytała Kathy.
 - Za następne święta - odparła Maureen - oby były lepsze niż tegoroczne.
 - Amen - zgodziła się Kathy.

Jadły w milczeniu przez kilka chwil. Kathy nagle odkryła, że jest głodna, a potem uświadomiła sobie, że przecież nie jadła nic porządnego od... poniedziałkowego wieczoru, zanim zobaczyła swojego męża całującego inną kobietę. Jej żołądek nie przyjmował od tamtej pory stałych pokarmów.

- Cieszę się, że tu jesteśmy - odezwała się Sheila. - Myślałam, że zwariuję u siebie. Od kiedy postanowiłam, że nie pójdę do Julii na resztki w dniu Świętego Stefana, pozostało mi jedynie oglądanie musicali w telewizji i indyk od Marksa i Sparksa. Z nadzieniem - dodała znacząco. Spojrzała na starszą siostrę i dodała: Nie zaprosiłaś Julii?

- Nie. Wolałam cieszyć się towarzystwem ludzi, których lubię.

- Ona jest twoją siostrą - delikatnie przypomniała Maureen.

- Kiedy człowiek się starzeje, zaczyna uświadamiać sobie, że może wybierać sobie rodzinę - taką, która stanie się ważniejsza od tej biologicznej.

- Hej... - oburzyła się Sheila.

Kathy wzięła siostrę za rękę i powiedziała:

- Czasem to te same osoby.

- Dzięki.

- Julii wydaje się, że musi zrealizować swoją misję - wyjaśniała Maureen.

- Myśli, że potrzebujecie matki, więc narzuciła sobie tę rolę. Nie ma własnych dzieci, prawda?

Sheila i Kathy pokręciły głowami.

- Bądźcie stanowcze, ale delikatne. Myślę, że obie się z nią liczycie.

Siostry przytaknęły.

- Julia przypomina mi moją siostrę - zauważyła Maureen.

- Znam cię tak długo, a nie wiedziałam, że masz siostrę - zdziwiła się Kathy.

- Marion. Młodsza ode mnie o cztery lata. Pomyślałam dziś o niej pierwszy raz od bardzo dawna - Maureen uśmiechnęła się z przekąsem. - Była przyjaciółką Jimmy'ego Morana. Bardzo dobrą przyjaciółką - dodała znacząco.

- Gdzie ona jest... co się stało? spytała Sheila, patrząc na siostrę.

- Jest w Los Angeles. Miała dwóch albo trzech mężów, teraz prowadzi znaną firmę rekrutującą aktorów. Kiedy Jimmy próbował zrewolucjonizować irlandzki rynek filmowy, Marion była jego człowiekiem w Hollywood. Pokłóciłyśmy się. Nie o Jimmy'ego, choć miał w tym swój udział - i oddaliśmy od siebie.

- Tęsknisz za nią? - spytała Sheila.

- Czasami - przytaknęła Maureen, ale od razu pokręciła głową. - Szczerze mówiąc, rzadko o niej myślę. Potrafiła być strasznie wredna. Stare wspomnienia... niezbyt przyjemne zresztą. Chciałam do niej zadzwonić i powiedzieć o śmierci Jimmy'ego, ale wolę nie wtrącać się do jej życia - ani nie chcę, żeby ona wtrącała się do mojego.

Maureen sączyła wino, czerwona szminka zostawiała idealny odcisk ust na krawędzi kieliszka. Mówiła dalej:

- Kathy ma rację. W miarę upływu czasu ludzie, którymi się otaczasz, stają się tak samo ważni jak ci, z którymi jesteś związana więzami krwi. Spojrzała na Sheilę.

- W samochodzie zaczęłaś opowiadać mi o Allenie.

- Biedny Allen - Sheila zaśmiała się bez przekonania. - Tak bardzo mnie kocha... albo myśli, że mnie kocha.

- Dla facetów to jedno i to samo - zauważyła Maureen.

- Najwidoczniej jestem miłością jego życia. Zaraz po rugby i sportowych samochodach. Cóż, zanim w końcu udało mi się go pozbyć we wtorek, kazałam mu obiecać, że nie powie nic żonie. Przysiągł mi to.

Powiedziałam, że musimy porozmawiać i coś zaplanować.

Kathy skupiła się na swoim kieliszku. Nie czuła się dobrze, słuchając tej rozmowy. Robert i Stephanie prowadzą pewnie podobne rozmowy, szukając odpowiedniego dnia, by Robert mógł powiedzieć żonie, że odchodzi.

- Zgodził się milczeć. Skończę z nim, jak szybko się da. I po problemie. Tylko że...

- Julia? - zgadła Kathy.

- Julia. Grozi, że powie jego żonie, która wyrzuci go z domu, a on na kolanach przyjdzie do mnie!

Sheila potrząsnęła głową.

- Porozmawiam o tym z Julią. Będzie awantura, ale nie mam wyboru. W każdym razie ja podjęłam już decyzję.

Spojrzały na nią pytająco.

- Dam sobie spokój z żonatymi facetami i z tymi, którzy mają kobiety, kochanki, byłe dziewczyny i inne takie. Nigdy przedtem nie pomyślałam o „tych innych” kobietach.

Dotknęła dłoni siostry i dodała:

- Ale patrząc na ciebie... widzę, co się dzieje i zaczynam rozumieć, jakim koszmarem może być zdrada, jak może być bolesna. Przedtem o to nie dbałam. Zakładałam, że skoro faceci zdradzali, to dlatego, że w ich związkach źle się działo.

- Tak było. Tak jest - z goryczą potwierdziła Kathy. Maureen natychmiast się wtrąciła:

- Dobra decyzja - pochwaliła. - Też przeżyłam swoje. Też mnie zdradzano, sama zdradzałam i bywałam kochanką... I wiecie co? To nigdy się nie udaje. Nigdy.

- Czy małżeństwo może przetrwać romans? - poważnie zastanawiała się Kathy.

- Może. A po zdradzie może nawet okazać się silniejsze - odparła Maureen. Jednak z mojego doświadczenia wynika, że romans nie przetrwa, jeśli wyjdzie na jaw. Faceci zawsze wracają do swoich żon, jeśli te chcą ich przyjąć. Kochanka zazwyczaj zostaje sama.

Maureen dostrzegła, że Sheila przygląda się jej z drugiej strony stołu i przytakuje, mówiła więc dalej:

- Nikt nie chce mieć reputacji kochanki. Po niedługim czasie przestają cię zapraszać na przyjęcia, tak na wszelki wypadek, gdybyś chciała uwieść kolejnych żonatych mężczyzn. A jeśli już gdzieś idziesz, wszystkie stare dziady lecą na ciebie z nadzieją, że mają szansę.

Podniosła kieliszek, który Sheila natychmiast napełniła.

- Faceci! Kto ich potrzebuje?

Kathy odsunęła talerz. Straciła apetyt. Spojrzała na Maureen i spytała:

- Znasz Roberta. Jak mam go zatrzymać? Przyjaciółka oparła brodę na dłoni i spojrzała na Kathy: - A chcesz go zatrzymać?

Tak.

- Dlaczego?

- Ponieważ go kocham... - urwała, myśląc intensywnie, poprawiła się. - Bo jest ojcem naszych dzieci.

- Jesteś przy nim szczęśliwa? - spytała Maureen.

- Tak... kiedyś byłam. Ale byliśmy młodszy, mieliśmy mniej obowiązków...

Maureen zdecydowanie pokręciła głową:

- Więcej obowiązków. Młoda para, świeżo po ślubie, dzieci w drodze, biznes się rozkręcał, dom trzeba było spłacać. Byłaś pod większą presją, a, jak sądzę, nigdy nie byliście z sobą tak blisko, jak wtedy.

Kathy przytaknęła. Tak było. Potem przyzwyczailiście się do siebie, może trochę sobą znudziliście. Pozwoliłaś, by twój związek stał się rutyną. Kathy znów skinęła głową.

- To rutyna zabija związek. Nuda. Maureen ścisnęła dłoń Kathy i dodała:

- Wiem, że przez to przebrniecie. Kochasz go, to dobry początek, a on mówi, że kocha ciebie.

- Tak powiedział.

- Tylko od teraz powinien być z tobą szczery. Oboje powinniście.

Żadnych sekretów, żadnych kłamstw.

- I musi obiecać, że nie będzie się z nią spotykał - dodała Sheila.

- Już mi to obiecał - Kathy westchnęła. - Macie rację. Miałam nadzieję, że uda nam się porozmawiać, ale jak dotychczas wszystko nam przeszkadza. A teraz Robert jest taki zmęczony - emocjonalnie i fizycznie. Musiał jechać do biura w środku nocy.

Maureen spojrzała znacząco na Sheilę.

- Po co? - zapytała z udawaną nonszalancją.

- Zadzwonili z firmy ochroniarskiej, że włączył się alarm w firmie.

Okazało się, że wszystko w porządku, tylko śnieg spadł na dach. Roberta nie było przez trzy godziny. Jazda w śniegu po oblodzonej drodze pewnie była koszmarna. Po powrocie padał z nóg, a potem z wiadomych przyczyn znów musiał wyjść w Boże Narodzenie.

Maureen popijała wino.

- Ciekawe, czemu nie zadzwonili do mnie - myślała głośno. - Też jestem w spisie alarmowym. Zresztą moje nazwisko jest pierwsze, bo mieszkam bliżej.

Dostrzegła zatroskany wyraz twarzy Kathy i dodała:

- Być może Robert skreślił mnie z tej listy, kiedy poszłam na zwolnienie.

- Może - odparta Kathy, choć nikt przy stole w to nie uwierzył. Wstała nagle i zaczęła zbierać talerze. - Kto ma ochotę na świąteczny pudding?
- Z masłem z brandy?
- Świeżo zrobionym - przytaknęła Kathy nienaturalnie wesołym głosem.

Rozdział 42

Piątek, 27 grudnia

Kathy odczekała, aż zamknęły się drzwi od łazienki i usłyszała kliknięcie zamka, a prysznic zaczął mruzczeć. Wtedy zaczęła działać. Miała najwyżej sześć czy siedem minut. Szybko wyszła z sypialni, cicho przeszła korytarzem i weszła do gabinetu Roberta. Komputer wciąż był włączony, na ekranie mrugał tylko wygaszacz.

Musiała wiedzieć.

Wcześniej czuła się winna, że wciąż podejrzewa męża o coś. Teraz już nie. Musiała poznać prawdę i miała zamiar zrobić wszystko, by to osiągnąć. Przypomniała sobie powiedzenie: „Prawda cię wyzwoli”.

Pewnie było prawdziwe, bo w tej chwili czuła się uwięziona jak mucha w pajęczej sieci kłamstw, podejrzeń, wątpliwości i kolejnych pytań, które zżerały ją od środka.

Nasłuchując dźwięku prysznicza, usiadła na krześle przed monitorem i ruszyła myszką.

- *Wprowadź hasło.*

Kathy zamrugała, zaskoczona. Tego przedtem nie było. Nie wiedziała, że Robert zabezpieczył wygaszacz hasłem. Instynkt podpowiadał jej, żeby uciekała - nie chcia-

la, by ją przyłapał - ale nie ruszyła się z miejsca, wpatrując się w czarne litery w szarym prostokącie. - **Wprowadź hasło.**

Wiedziała, że do włączenia komputera używał swojej daty urodzin jako hasła, ale przecież niemożliwe, by to samo zrobił przy wygaszaczu, prawda?

A jednak.

Wcisnęła 10101962 i pokazał się ekran. Outlook był ciągle otwarty, a w nim wiadomość od brata Jimmy'ego. Kathy kliknęła na skrzynkę odbiorczą, szukając maila od Stephanie.

Nic nie znalazła.

Przesunęła kursor w dół, weszła do folderu „Wysłane” i oniemiała, widząc ogromną liczbę listów. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wysłał dziesiątki e-maili, zaczynających się od słów: „Przykro mi poinformować Pana/Panią, że nasz dobry przyjaciel...”. Skierowane były do przyjaciół Jimmy'ego, jego kolegów, dziennikarzy z branży i do trzech braci Moranów.

W końcu Kathy znalazła to, czego szukała choć miała nadzieję nie znaleźć - na samym dole ekranu. E-mail wysłany do Stephanie Burroughs w środę rano - w Boże Narodzenie - o 8:15.

Droga Stephanie,

Nie wiem, co się z tobą dzieje. Bardzo się martwię. Próbuje dodzwonić się do ciebie do domu i na komórkę, ale nie odpowiadasz. Przepadłaś jak kamień w wodę. Proszę, skontaktuj się ze mną. Daj znać, że wszystko w porządku.

Dziś rano poszedłem nawet do ciebie do domu. Otworzyłem drzwi swoim kluczem. Martwię się, że nie ma po tobie śladu, a wiem, że nie wyjechałaś. Zaglądałem do szafy - wszystkie twoje ubrania wciąż tam są.

Martwię się, że coś ci się stało albo że coś sobie zrobiłaś.

Odchodzę od zmysłów.

Nie mam pojęcia, jak skontaktować się z Sally, a nie znam żadnych innych twoich przyjaciół. Jeśli wkrótce nie uda mi się ciebie odnaleźć, spróbuję zadzwonić do Charlesa Flintojfa. Myślę też, że może powinienem pójść na policję i zgłosić twoje zaginięcie.

Kiedy odbierzesz tę wiadomość, proszę, proszę, odezwij się.

Kocham cię. Robert

Kathy patrzyła na ekran, a słowa zaczęły rozmywać się i znikać, kiedy do jej oczu napłynęły łzy. Oto był: dowód, którego szukała; dowód, że Robert wciąż był w kontakcie ze Stephanie. Otarła łzy i jeszcze raz przeczytała list... zdziwiona, zmarszczyła czoło. Coś było nie tak. Wysłał wiadomość po powrocie do domu w wigilijną noc. Musiał więc pojechać wtedy do domu Stephanie, by ją znaleźć.

Kathy usłyszała dźwięk zakręcanej wody i prysznic ucichł. Chciała wydrukować e-mail, ale nie wiedziała, ile to potrwa. Wróciła kursorem do skrzynki odbiorczej, najechała na e-mail od brata Jimmy'ego i wymknęła się z pokoju. Miała nadzieję, że zanim Robert wróci z łazienki, włączy się wygaszacz ekranu.

Weszła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku. Spodziewała się znaleźć wiadomości od Roberta do kochanki albo od Stephanie do niego, ale na pewno nie tej treści. Nie musiała drukować tekstu. Wyrył się jej głęboko w pamięci.

Dziś rano poszedłem nawet do ciebie do domu. Otworzyłem drzwi swoim kluczem.

Skłamał i pojechał do domu Stephanie w wigilijną noc... ale jej tam nie było, więc Robert martwił się, że coś się stało.

Nie wiem, co się z tobą dzieje. Bardzo się martwię.

Musiał to napisać ledwo kilka godzin po tym, jak obiecał, że nie spotka się więcej ze Stephanie. Nawet kiedy składał tę obietnicę, martwił się, że nie zobaczy już swojej kochanki, co znaczyło, że próbował się z nią skontaktować przez cały tamten wieczór. Musiał się bardzo niepokoić, skoro jechał przez miasto w burzę śnieżną, żeby ją odnaleźć. Kathy zastanawiała się, co wtedy myślał - że znajdzie jej ciało? Pochlebiał sobie. Kobiety takie jak Stephanie nie popełniały samobójstwa dla facetów takich jak Robert.

Kathy zdziwił własny spokój. Właśnie znalazła kolejne dowody na niewierność Roberta i jego kłamstwa. Powinna być bardziej zła... a czuła tylko smutek. Smutek i zmęczenie.

Skoro już zaczęła...

Siedząc na krawędzi łóżka, przejrzała swój stary notes, aż znalazła potrzebny numer.

- Pro-Alarms. Mówi Tony. W czym mogę pomóc?

- Dzień dobry, Tony. Mówi Kathy Walker, R&K Productions. Jestem waszym klientem.

- Dzień dobry, pani Walker. Czy może pani podać kod zabezpieczający?

- Kod zabezpieczający?

- Prosimy, aby nasi klienci podali nam numer, który tylko oni będą znali. Kiedy się z nami kontaktują, używamy go jako hasła, by zweryfikować ich tożsamość.

- Aha - Kathy spojrzała do notesu. Obok numeru firmy nie było żadnego innego. Potem przypomniała sobie. - Jedyne numer, jaki tu mam, to 10101962.

- Dziękuję bardzo. Musiałem się tylko upewnić.

- Rozumiem. Tony, mógłbyś sprawdzić, czy w wigilijną noc, dwudziestego piątego grudnia, w siedzibie R&K Productions włączył się alarm?

Słyszała, jak stuka palcami po klawiaturze.

- Moi przyjaciele wracali wtedy z przyjęcia i wydawało im się, że słyszą dzwonek.

- W raportach nic nie ma. Z pewnością nie. Może to był alarm w budynku obok.

- Pewnie tak. Jeszcze jedno, czy mógłbyś potwierdzić, że macie Maureen Ryan i Roberta Walkera na swojej liście alarmowej w tej właśnie kolejności?

- Tak, pani Walker. Najpierw kontaktujemy się z panną Ryan. Jeśli jest niedostępna, dzwoniemy do pana Walkera.

- I macie jego oba numery? Komórki i domowy? Tak. Zawsze dzwoniemy najpierw na numer domowy, szczególnie w nocy, potem ewentualnie na komórkę.

Świetnie. Dziękuję, Tony, bardzo mi pomogłeś. Wesołych Świąt.

- Nawzajem, pani Walker. Już wiedziała.

Dzwoniła do firmy ochroniarskiej, by sprawdzić, czy rzeczywiście Robert dostał wezwanie, a potem już z biura pojechał do Stéphanie; skoro i tak był w mieście. Ale tak nie było. Jechał w fatalnych warunkach wyłącznie po to, by zobaczyć się z kochanką.

Zmęczenie przywaliło Kathy jak wielki głaz. Powieki same się zamykały, a głowa ciążyła. Chciała tylko wczłgać się do łóżka, zwinąć w ciepły kokon i zasnąć głębokim, spokojnym snem. Jednak nic by tym nic osiągnęła. Kiedy się obudzi, wszystko będzie jak dawniej.

Czy może winić męża za to, co zrobił?

Ta niespodziewana myśl zaskoczyła Kathy. Usiadła nieruchomo na krawędzi łóżka, wyglądając przez okno na zaśnieżone ulice.

Próbuję dodzwonić .się do ciebie do domu i na komórkę, ale nie odpowiadasz. Przepadłaś jak kamień w wodę... Nie wiem, co się z tobą dzieje... Bardzo się martwię... Martwię się, że coś ci się stało albo że coś sobie zrobiłaś.

Martwił się o tamtą kobietę. Kochał ją - Kathy musiała to zaakceptować. A miłości nie można zakręcić jak kranu z wodą, wiedziała o tym. Przecież nawet po tym wszystkim, co zrobił jej mąż, sama nadal go kochała. Rozumiała, że Robert wciąż darzy Stephanie uczuciem. Przyznał się, kiedy rozmawiali we wtorek: powiedział wtedy, że wciąż kocha je obie. Próbował więc skontaktować się z nią, ale mu się nie udało, więc zaryzykował jazdę przez miasto, by sprawdzić, czy nic się jej nie stało. Nie porzucił jej. Kathy nie mogła nie podziwiać takiej lojalności, oddania. A potem przypomniała sobie, że to właśnie były zalety mężczyzny, w którym dawno temu się zakochała.

Usłyszała, jak otwierają się drzwi do łazienki, a chwilę później zamykają te w gabinecie.

Mężczyzna, za którego wyszła osiemnaście lat temu, był dobry, łagodny, troskliwy, szczerzy i lojalny. Przede wszystkim lojalny. Lubiła myśleć, że zachował w sobie te cechy. Pod wpływem impulsu Kathy zerwała się, uklękła na podłodze i wyciągnęła spod łóżka spore pudło. Wewnątrz, prawie zapomniana pod stertą koszulek, których nigdy nie nosiła, kryła się mała walizeczka z materiału. Położyła ją na łóżku, zaciągnęła zasłony i otworzyła. W środku znajdowały się setki, może nawet tysiące zdjęć

w różnych formatach, zrobionych w święta, urodziny, pierwszy dzień szkoły dzieci, w czasie wizyt w zoo, chrztów, komunii i bierzmowania. Na samym dnie leżało białe lniane pudełko, a w nim album ze ślubnymi fotografiami. Kathy otworzyła pudełko i wyjęła ciężki, oprawiony w skórę tom ze złożonymi stronami. Odrobina osiemnastoletniego confetti wysypała się na kołdrę.

Kathy nie pamiętała, kiedy ostatnio zaglądała do tego albumu. Pewnie parę lat temu, kiedy Theresa znienacka zapytała ją, jak wyglądała ślubna suknia matki.

Odwróciła księgę. Pierwsze strony, na których wklejono zdjęcia zmarłych rodziców, przywołały zbyt wiele smutnych wspomnień. Kathy wiedziała, że jak tylko zacznie je oglądać, rozpłacze się. Ostatnie strony zawierały fotografie z przyjęcia weselnego.

Kathy wygładziła nieco pogniecioną folię i spojrzała na pierwsze lepsze zdjęcie: szczęśliwa para tańcząca na środku pustego parkietu. Robert - wysoki, przystojny i elegancki w swoim edwardiańskim fraku, z oczami wpatrzonymi w młodą żonę, przytulający ją, jak gdyby była z delikatnej porcelany. Kathy wyglądała tak młodo miała tylko dwadzieścia dwa lata, a wyglądała na osiemnaście - z wielkimi oczyma, niewinna i przeszczęśliwa. Ubrana była w suknię ślubną, która teraz butwia-ła zapakowana w bibułkę w walizce na strychu. Osiemnaście lat później Kathy bardzo wyraźnie pamiętała całe fragmenty tamtego dnia: płaczącego po raz pierwszy ojca, który ujrzał córkę schodzącą po schodach w ślubnej sukni; chwilę, kiedy wysiadała z samochodu przed kościołem; sekundę, w której powiedziała „tak”, a potem jakiś czas później, kiedy zrobiono to zdjęcie, tańczącą w ramionach swojego męża. Nigdy nie czuła się taka piękna i tak kochana.

Była dumna z tego, że została panią Walker. Robert był dobry, opiekuńczy i wrażliwy; przyjaciele i rodzina zawsze mogli na nim polegać. Kathy kochała go za te cechy, których przecież wciąż nie stracił. Kiedy zadzwonili ze szpitala, ani przez moment nie zastanawiał się, czy pojechać do swojego przyjaciela. Rozumiała to. A potem zrozumiała też, że ta sama cecha charakteru kazała mu jechać w nocy, by sprawdzić, czy u Stephanie wszystko jest w porządku. Dzięki Bogu, nie znalazł w jej domu niczego strasznego.

Mógł jej jednak powiedzieć. Nie powinien kłamać. Uśmiechnęła się, próbując wyobrazić sobie taką rozmowę. „Och, Kathy, wiem, że właśnie odkryłaś, że cię zdradzam, ale chciałbym wpaść na chwilę do Stephanie i sprawdzić, czy wszystko dobrze. Przepadła gdzieś i nie mogę się z nią skontaktować”. Co miałaby mu odpowiedzieć? „Jedź”?

Przedostatnie zdjęcie w albumie to grupowa fotografia wszystkich przyjaciół. Kathy przeraziło, jak niewiele nazwisk pamięta. Za Robertem stoi Jimmy Moran. Spotkała go wtedy po raz pierwszy. Po drugiej stronie, wyglądając nieco egzotycznie w skąpej sukience, Maureen Ryan. Kim była jednak cała reszta i gdzie się wszyscy oni podzieli? Dziewczyna w różowej sukience, z którą chodziła do college'u; chłopak ze śmieszna bródką - chyba młody reżyser, który w tamtym czasie pracował w RTE. Jeśli dobrze pamiętała, ciągle tam był.

Utrata przyjaciół... to także cena, którą trzeba zapłacić za małżeństwo. Oczywiście utrzymywali z sobą kontakt przez jakiś rok, ale potem powoli, jeden po drugim, wyjeżdżali, żenili się, zmieniali zawody i znikali.

Pojawiali się nowi przyjaciele: sąsiedzi, z którymi zawarła znajomość, odprowadzając dzieci do szkoły; znajo-

mi Roberta, z którymi czasem się spotykali, ale nie nawiązała żadnych głębszych przyjaźni. Kathy zrozumiała to wczoraj, kiedy tak bardzo chciała z kimś porozmawiać, z kimś, kto zrozumie delikatny problem zdrady i romansu, kimś wrażliwym i dyskretnym. Jedyne osoby, które przyszły jej wtedy do głowy, to Sheila i Maureen, Przez chwilę myślała, czy nie zaprosić przyjaciółki i sąsiadki Rose, ale mimo że ją lubiła, nie była pewna, czy wiadomość by się nie rozniosła.

Ostatnim zdjęciem w albumie był portret Roberta i Kathy w srebrnej owalnej ramce. Uśmiechali się do aparatu nieśmiałymi uśmiechami, w których widać było obawę. Ślubowali sobie wtedy miłość, wierność i uczciwość. Kathy pamiętała oburzenie swej matki, ponieważ w czasie mszy nie użyto słów „dotrzymywać posłuszeństwa”.

Mimo że Robert złamał przysięgę, wciąż go kochała i dbała o niego. Nie była tylko pewna, czy ciągle go szanuje. Cokolwiek to znaczyło.

Nigdy go jednak nie zdradziła, nigdy nie spojrzała na innego mężczyznę - nawet nie przyszło jej to do głowy.

Kathy zamknęła głośno album i zdecydowała, że nie może go winić za to, że martwił się o Stephanie Burroughs. Mężczyzna, którego poślubiła, tak właśnie by zrobił. Cieszyła się, że choć to się nie zmieniło.

Nie mogła jednak wybaczyć słów zawartych w ostatniej linijce e-maila:

Kocham cię.

Próbowała zbagatelizować to zdanie. Kocham było tak często nadużywanym i wyświechtanym słowem. Ludzie podpisywali swoje e-maile i listy „z wyrazami miłości”, „kocham” itp. , nawet o tym nie myśląc.

Kocham cię.

Nie, Kathy nie miała złudzeń co do znaczenia tych słów. Robert wciąż kochał Stephanie. Jedynym pociesze-

niem mogio być teraz wspomnienie rozmowy, którą Kathy odbyła ze Stephanie w Wigilię. Patrzyła, jak kochanka męża odwraca się ku niemu i mówi: „Kocham cię, Robercie, tak samo jak Kathy. Ale nie mogę cię mieć”.

Może Robert wciąż pragnął Stephanie, ale ona - Kathy była pewna, prawie pewna - już nie chciała Roberta.

Rozdział 43

Niedziela, 28 grudnia

Stała w drzwiach, obserwując męża. Siedział skulony na małym łóżku, które wstawiła dla niego do gabinetu. W ciągu ostatnich kilku dni bardzo się postarzał, zauważyła. A może to ona zaczęła patrzeć na niego inaczej? Spotkała Roberta, kiedy miał dwadzieścia lat i zawsze wyobrażała sobie go w takim właśnie wieku. Oglądając wczoraj zdjęcia w albumie, dostrzegła, jak wiele czasu upłynęło: starzeli się, byli już prawie w średnim wieku. Skończyła zapinać swój czarny wełniany płaszcz i powiedziała delikatnie:

- Musimy iść.

Robert podniósł nieprzytomny wzrok.

- Nie wiedziałem, że jest tak późno - wymamrotał.

- Drogi będą śliskie. Powinniśmy wyjechać trochę wcześniej. Dzieci zdecydowały, że zostaną. Właściwie prawie wcale nie знаły Jimmy'ego. To nie była prawda: ona sama zachęciła dzieci, żeby zostały, w razie gdyby na uroczystości pojawiły się żona i kochanka Jimmy'ego, co doprowadziłoby do awantury. Był jeszcze jeden powód, do którego jeszcze mniej chciała

się przyznać. Przypuszczała, że ludzie z branży wiedzą o romansie Roberta i Stephanie. Nie zamierzała ryzykować, że dzieci usłyszą jakieś plotki. Robert podniósł się.

- Tak, oczywiście - powiedział z roztargnieniem. - Kilka godzin temu rozmawiałem z Lloydem, bratem Jimmy'ego z Australii. Nie uda mu się przyjechać na pogrzeb. Nie dostanie urlopu.

- Szkoda - próbowała nie ujawniać emocji.

- Tak, ale przynajmniej pojawią się Mikey i Teddy. Jimmy by się ucieszył.

Kathy zatrzymała męża w przejściu i wygładziła kołnierz jego czarnego garnituru, a potem poprawiła krawat.

Myślę, że Jimmy byłby bardzo dumny z tego, co dla niego zrobiłaś przez ostatnie dwa dni - powiedziała, po czym skręciła i zeszła na dół. Zajrzała do dzieci.

- Wychodzimy. Niedługo będziemy obiecała.

- Pa, mamó, pa, tato! - zawołała Theresa. Brendan nie mógł się odezwać, bo właśnie brał na swoim X-Boksie niebezpieczny zakręt na torze w Monte Carlo.

Kathy wyszła za Robertem z domu, zamykając za sobą drzwi i uśmiechnęła się, kiedy mąż pomagał jej wsiąść do auta. To był dawny Robert: może coś się jednak zmieni.

Robert obszedł samochód dookoła i wsiadł. Zapuścił silnik i włączył ogrzewanie na pełną moc, by odparować szyby.

- Dzięki - odezwał się nagle, zaskakując ją. - Za łóżko... i przygotowanie garnituru.

Pomyślałam, że masz dość zmartwień. Nie dodała, że kiedy wczoraj wstawiała łóżko do gabinetu, a mąż był w domu pogrzebowym, skorzystała z okazji: przejrzała jego pocztę i sprawdziła e-mail. Nic nie znalazła.

- Cóż, jeszcze raz dziękuję. Także za to, że ze mną jedziesz.

- Znałam Jimmy'ego. Lubiłam go, mimo że był nicponiem, chcę uszanować jego pamięć. I wesprzeć ciebie.

Robert skinął głową w milczeniu, ale dostrzegła, że się wzruszył. Założył okulary słoneczne, a ona wyjęła swoje z małej czarnej torebki. Lubiła blade zimowe słońce, niezliczone odbłaski na śniegu i padające cienie. Może w przyszłym roku, zamiast jechać do Australii, wybiorą się na jakieś zimowe słońce. Może narty w Austrii - zawsze chciała tam pojechać.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Jestem trochę nieprzytomny - odpowiedział po chwili. Prowadził w milczeniu, po czym dodał: - Wiesz, wczoraj albo przedwczoraj zdałem sobie sprawę, że znałem Jimmy'ego ponad dwadzieścia lat. Prawie połowę mojego życia.

- Był na naszym weselu - przypomniała Kathy, myśląc o oglądanych wczoraj zdjęciach. Wtedy nas sobie przedstawiłeś.

- Nie pamiętam.

- A ja tak.

- Był czas, kiedy widywałem go każdego dnia przez miesiąc, a potem nie spotykałem całymi tygodniami. Ale nawet wtedy zawsze czułem się tak, jakbyśmy nigdy się nie rozstawali.

- Kiedyś zazdrościłam ci tej przyjaźni. Cieszyłam się tylko, że Jimmy nie jest kobietą - wyznała Kathy, ale urwała nagle, zdając sobie sprawę, co właśnie powiedziała.

- Zabawne, co? - cicho odparł Robert. - Facet może bardzo blisko przyjaźnić się z drugim facetem i nikt tego nie skomentuje, ale jeśli to kobieta, od razu wszyscy zaczynają plotkować.

- Dawniej myślałam, że kobieta i mężczyzna mogą tworzyć zupełnie platoniczny związek mówiła Kathy. - Teraz... teraz nie jestem tego pewna. A przecież kobieta mogła stworzyć bliski związek z kobietą i nikt nigdy nie poddawał go w wątpliwość. Robert miał rację: postaw obok siebie mężczyznę i kobietę, a ludzie od razu zaczną mieć jeźzarami.

- Jednak Jimmy miał wiele kobiet-przyjaciółek, które nie były jego kochankami. Mówił, że jeśli obie strony zdają sobie sprawę, że nie będzie między nimi seksu, mogą zawiązać prawdziwą przyjaźń.

Kathy nie była wcale taka pewna, że Jimmy mówił prawdę. Wiedziała skądinąd, że próbował poderwać każdą spotkaną kobietę. Choć, trzeba przyznać, zawsze był dżentelmenem.

- A ty jak myślisz? - spytała męża.

- Nie wiem - odpowiedział. - Poza kontaktami służbowymi, nie mam towarzyskich stosunków z wieloma kobietami.

- Z wyjątkiem twojej kochanki! wypaliła Kathy, zdziwiona i zła, że wyrwało jej się coś, co i tak musiało w końcu zostać powiedziane. - Przepraszam. Nie chciałam dzisiaj poruszać tego tematu. Wiem, że cierpisz. Szanuję to.

Kiedy Robert odezwał się znowu, jego głos był spokojny, jakby ostrożnie dobierał słowa.

- Przez ostatnie kilka dni nie mieliśmy okazji, żeby porozmawiać o tym, co się stało.

- Porozmawiamy, jak to wszystko się skończy - zdecydowanie odparła Kathy. - Myślę, że powinniśmy pójść do poradni małżeńskiej.

- Chyba nie mam ochoty na to, by ktoś obcy wtrącał się w nasze życie.

Wiedziała, że tak zareaguje. To nie był temat do dyskusji.

- Nie będę się z tobą kłócić. To nie jest propozycja. Jeśli chcesz ze mną zostać - jeśli mamy być razem - musimy zacząć od nowa. Chcę, żebyśmy poszli do poradni, by oczyścić atmosferę i omówić przyczyny, dla których oddaliśmy się od siebie.

- Praca nas rozdzieliła - wypalił Robert z nieukrywanym gniewem. - To, że pracowałem bezustannie, żeby spłacić hipotekę i mieć na chleb. Jeśli o to chodzi - praca jest jedynym powodem. Gdybyś była bardziej zaangażowana w działanie firmy - i bardziej interesowała się mną - wiedziałabyś, o czym mówię.

Kathy z rozmysłem pozwoliła sobie na okazanie irytacji.

- Nie próbuj twierdzić, że to wszystko moja wina.

- Już ci powiedziałem, że to nie jest twoja wina - warknął Robert. - Cały ten bałagan powstał wyłącznie przeze mnie. Przyznaję się do tego.

Patrzyła, jak oddycha powoli, próbując się uspokoić.

- Porozmawiamy o tym za dzień lub dwa - zakończył. Kathy ulżyło.

Niech na razie tak zostanie.

Kiedy wysiadała z samochodu przed domem pogrzebowym w Malahide, Robert podał jej rękę. Zwlekała tylko chwilę, po czym przyjęła pomoc i zrozumiała, że właściwie to mężowi potrzebne jest wsparcie. Przez gruby wełniany materiał czuła, jak trzęsą mu się ręce.

Rozpoznała bardzo wiele znajomych twarzy ze świata rozrywki i zdziwiła się, że tak wielu z nich jest z Robertem na „ty”. Nie wiedziała, że miał aż tak dobre kontakty. Przedstawiał ją jako swoją żonę i, mimo że spodziewała się znaczących spojrzeń i niewybrednych komentarzy, nic takiego się nie zdarzyło. Uświadomiła so-

bie jednak, jak bardzo straciła kontakt z branżą, w której kiedyś pracowali razem. Przyszła nawet Angela, uczepiona ramienia znanego prezentera telewizyjnego, pocałowała przelotnie Roberta w oba policzki i podziękowała mu za wszystko, co zrobił. Kathy poczuła, że otacza ją mgła ciężkiego, piżmowego zapachu perfum bardziej odpowiednich na wieczór w operze niż poranny pogrzeb. Frances się nie pojawiła. Kiedy weszli do domu pogrzebowego, Kathy wolała trzymać się z tyłu. Półtora roku temu, kiedy umarła jej matka, stała już w takiej sali - wspomnienia były ciągle świeże i bolesne.

- Idź - wyszeptała do Roberta i popchnęła go do przodu.

Stojąc pod ścianą, obserwowała, jak podchodzi do trumny, w której leżał ubrany w czarny garnitur Jimmy. Bardzo się zdziwiła, kiedy Robert pochylił się i pocałował przyjaciela w czoło. Wzruszyła się. To była cecha męża, której przedtem nie знаła. Widziała, jak rusza ustami, i zastanawiała się, jakie ostatnie słowa kieruje do swojego starego przyjaciela. Kiedy Robert wrócił do wszystkich, poruszał się sztywno, jak starzec, więc wsunęła prawą rękę pod jego ramię i podtrzymała go.

Modlitwy były krótkie i bezosobowe - dokładnie takie, jak te wypowiedziane na pogrzebie matki. Potem Robert został poproszony do trumny, która wyglądała na zadziwiająco ciężką. Trumnę postawiono na ramionach sześciu mężczyzn, którzy wynieśli ją z domu pogrzebowego. Kathy szła z tyłu, ze wzrokiem wbitym w Roberta, bojąc się, że mąż się przewróci. Widziała, jak słabnie, kiedy fotografowie zaczęli robić zdjęcia trumny ładowanej do karawanu. Chwilę później podeszła do niego, złapała za ramię

i pociągnęła w kierunku samochodu. Chciała zaproponować, że poprowadzi, jednak Robert powinien skupić się przez chwilę na czymś innym.

- Jimmy by się ucieszył - powiedziała.

Robert nie odezwał się, dopóki nie ustawił auta za samochodem pogrzebowym i karawanem.

- Na pewno - zgodził się.

- Znał wielu ludzi.

- Niektórzy prowadzili z nim interesy, a inni - tak jak ja - korzystali z jego pomocy w początkach kariery. Pewnie w kościele będzie znacznie więcej ludzi, a w poniedziałek na pogrzebie - jeszcze więcej.

Kathy spojrzała z boku na męża.

- Cieszę się, że Angela przyjechała - powiedziała. Oboje widzieli tył jej głowy w samochodzie domu pogrzebowego przed nimi.

- Dziękowała mi, że się wszystkim zająłem. Nie wyglądała na zmartwioną. Znał wszystkich - ciągnął Robert swoją poprzednią myśl, mówiąc bez ładu i składu. - Myślałem nawet, żeby spytać go, czy nie wszedłby ze mną w spółkę - dodał, urywając nagle.

Kolejna rewelacja. Zabolało, ale powiedziała tylko:

- Bez pytania mnie o zdanie?

- Nie, oczywiście miałem zamiar najpierw porozmawiać z tobą - oświadczył niepewnie.

- Jedną z rzeczy, którą musimy wyjaśnić, jest moja pozycja w firmie.

Mam połowę udziałów - przypomniała.

To i tak czysta teoria - odparł. Chyba wciąż mówił o Jimmym.

- Musimy zmienić wiele rzeczy, Robercie - powiedziała twardo Kathy.

- Tak, musimy - wymamrotał odpowiedź.

Kathy zganiła Roberta:

- To twój telefon?

Mąż spojrzał na nią, nie rozumiejąc, o czym mówi. Powoli wychodzili z kościoła po krótkiej mszy i przyjęciu ciała.

- Coś wibruje - powtórzyła Kathy.

Nie słyszała dzwonka, ale czuła wibracje przechodzące przez rękę, za którą trzymała męża. Uśmiechała się do ludzi, których ledwie rozpoznawała, i patrzyła, jak Robert obmacuje swój płaszcz.

- Och, rzeczywiście - wymamrotał.

Złapał lewą rękawiczkę zębami, ściągnął ją, a potem długo męczył się z guzikami płaszcza, aż w końcu wyciągnął XDA... który właśnie przestał dzwonić.

- Kto to? - spytała Kathy, widząc, jak przegląda wykaz połączeń.

- Znajomy Jimmy'ego - powiedział bez wahania. - Pewnie chciał spytać o poniedziałkowe uroczystości.

Wkładał telefon z powrotem do kieszeni, kiedy znów zawibrował.

Kathy już przeszła kilka kroków, zanim zauważyła, że mąż nie idzie obok niej. Obejrzała się do tyłu i zobaczyła, że stoi pod jedną z kolumn otaczających małe kwadratowe podwórkę przed kościołem, z telefonem przyciśniętym do ucha. Widziała, jak porusza ustami. W pewnej chwili popatrzył na nią i uśmiechnął się.

Kathy odwróciła się i zaczęła iść w jego kierunku. Słyszała jego głos, odbijający się od kamiennych kolumn i przechyliła głowę, próbując coś zrozumieć. „Jimmy zmarł w Boże Narodzenie” - wyłapała.

- Kto to był?

- Ktoś, kto nie wiedział, co się stało.

- I jak to przyjął?

- Nie wiem. Nie czekałem na odpowiedź.

Coś w jego reakcji zaniepokoiło Kathy. Była za szybka, zbyt zgrabna. Coś było nie tak. Jeśli mówisz komuś, że umarł przyjaciel, wypadaloby podać jakieś szczegóły.

Chyba że chciał się pozbyć tego kogoś.

Boże - czemu nie może po prostu przejść nad tym telefonem do porządku dziennego? Jeśli szybko nie rozwiąże sprawy z Robertem, zwariuje. Nie powinna szpiegować swojego męża, sprawdzać jego poczty, czytać e-maili, podsłuchiwać rozmów.

Porozmawia z nim jutro. Nie przyjmie żadnych wymówek. Będzie musiał się zdeklarować. Dziś wybrał swojego przyjaciela - rozumiała i akceptowała to. Ale teraz będzie musiał wybrać żonę jako najważniejszą w swoim życiu.

Rozdział 44

Właśnie kończyły się południowe wiadomości, kiedy Robert wjechał na podjazd przed domem. Kathy pochyliła się, by zgasić radio, ale Robert nie zamierzał wyłączać silnika. Trzymając dłoń na klamce, odwróciła się, by spojrzeć na męża. Mimo że twarz Kathy pozostała bez wyrazu, a głos był spokojny i opanowany, wiedziała dobrze - aż przeszły ją dreszcze - że mąż nie zamierza iść do domu, a za chwilę zaserwuje jej jakąś wymówkę, twierdząc, że musi jechać do miasta.

- Nie wchodzisz?

- Chciałem pojechać do biura, sprawdzić, czy wszystko w porządku - powiedział, poprawiając lusterko i włączając wycieraczkę tylnej szyby.

Unikał patrzenia Kathy w oczy. - Może trochę popracować, oderwać się.

Powinieneś wejść i odespać. Wyglądasz fatalnie. Chyba ostatnio nic porządnego nie jadłeś i prawie nie spałeś.

Nie, lepiej pojedę. Miałem zajrzeć do biura już wczoraj, ale nie zdążyłem. Wrócę do domu jak najszybciej. Jestem wykończony. Niedługo będę - dodał po chwili.

Mogła oczywiście zaprotestować. Mogła nalegać, by wszedł do domu, ale zamiast tego Kathy Walker wysiadła z samochodu bez słowa.

Wiedziała, że ją okłamuje.

Wiedziała, dokąd jedzie.

Kathy otworzyła drzwi, weszła do holu i zamknęła je za sobą, nie odwracając się. Od razu zajrzała do dzieci. Wyglądały, jakby od paru godzin się nie ruszyły. Brendan zawzięcie grał w wyścigi, a Theresa siedziała koło niego, mrużąc wskazówki.

- Lewo... lewo... lewo... uważaj na ten niemiecki wóz z prawej.

- Wróciłam - odezwała się Kathy,

Zamiast odpowiedzi usłyszała tylko kilka niewyraźnych chrząknięć w ramach powitania.

- Ale znowu muszę wyskoczyć na godzinę. Poradzicie sobie sami?

Zareagowali. Oboje odwrócili się, patrząc na matkę z tym specyficznym wyrazem twarzy, ćwiczoną, od kiedy skończyli trzynaście lat mieszaniwą zdziwienia i pogardy.

- Wrócę tak szybko, jak się da. Ojciec pojechał do biura. Też powinien niedługo wrócić.

Kathy odwróciła się i zgarnęła swoje klucze ze stolika w holu.

Sprawdziła, czy ma komórkę w kieszeni, po czym wyszła z domu.

Niespiesznie wyprowadziła skodę z podjazdu. To nie wyścig. Lekki samochód ślizgał się na drodze i Kathy mocniej zabiło serce: czy to nie byłaby ironia losu, gdyby teraz

zginęła w wypadku? To z pewnością rozwiązałyby wszystkie problemy Roberta. Krótki okres żałoby i nikt nie byłby zdziwiony, gdyby młody wdowiec poślubił Stephanie Burroughs, która pocieszała go w trudnym okresie. Pewnie sprzedaliby dom Stephanie i przeprowadzili się tutaj, do Swords.

Gdyby zginęła w wypadku, z pewnością wróciłaby na ziemię, by straszyć męża i jego kochankę.

Kiedy już wyjechała na główną drogę, lód zniknął i trudno było stwierdzić, że w ogóle padało. Kathy zdziwiła się, że ruch jest tak intensywny. Na dwupasmówce widziała sporo samochodów z północy. Przypomniała sobie, że zaczęły się już zimowe wyprzedaże i pewnie mieszkańcy tamtej części kraju przyjechali zarobić na kursie mocnego funta wobec euro. Skrzyła z dwupasmówki i wjechała do miasta wzdłuż Malahide. Kiedy zbliżała się do centrum, zobaczyła wielkie tablice, które informowały, że wszystkie parkingi są pełne.

Stojąc w korku na Amiens Street, Kathy podniosła telefon z siedzenia pasażera. Upewniła się, czy w pobliżu nie ma żadnego policjanta, i wykreciła numer Sheih. Siostra podniosła po pierwszym sygnale.

- Właśnie miałam do ciebie dzwonić - wykrzyknęła. Wielkie umysły myślą podobnie.

- Jak było rano?

- Dobrze. Dużo ludzi. Pojawiła się żona Jimmy'ego, Angela, ale kochanki nic było, więc uniknęliśmy nieprzyjemnych scen. Może w poniedziałek.

- A Robert?

- Rozkojarzony. Niespokojny. Poczekaj chwilę... - powiedziała, kładąc telefon na kolanach i zmieniając bieg, kiedy pociąg Luas zajechał jej drogę. Potem przełączyła rozmowę na głośnik.

- Słyszysz mnie?

- Kiepsko. Jesteś w samochodzie?
- Tak - krótko odpowiedziała Kathy. - Po uroczystościach, kiedy wróciliśmy do domu, Robert poinformował mnie, że jedzie do biura.
- Ah - westchnęła Sheila. - Chcesz się ze mną spotkać?
- Nie... nie, dzięki, nie tym razem.
Sheila towarzyszyła siostrze, kiedy ta po raz pierwszy jechała szpiegować Roberta i jego kochankę.
- Możesz jednak coś dla mnie zrobić. Wiem, że mają piętnaście i siedemnaście lat, ale zjrzyj do dzieci i poczekaj, aż wrócę, dobrze? Mówili, że chcą zaprosić kilkoro znajomych na małą imprezę, ale nie chcę, żeby to wymknęło się spod kontroli. Nie wiem, kiedy przyjadę.
- Dobrze, pojedę. Dotrę tam za godzinę.
- Może jednak wybrał się do biura - Kathy mówiła bardziej do siebie niż do Sheili.
- Może odparła siostra swobodnie, choć żadna z nich w to nie wierzyła.
- Dzięki. Będę pod komórką.
- Kathy, wiesz, że tak dłużej nie można - delikatnie napomknęła Sheila.
- Wiem - westchnęła. - Ale muszę się upewnić.
- Już jesteś pewna - zauważyła Sheila.
- Wiem - powtórzyła Kathy, kiedy już się rozłączyła. - Ostatnia szansa. Przed siedzibą R&K nie było samochodu ani nawet śladów opon w nieskalanym śniegu przed bramą. Właściwie tego się spodziewała. Kathy stała przed biurem, wpatrując się w małą metalową tabliczkę i ściskając klucze w dłoni tak mocno, że wbijały się jej w skórę. R&K Productions. Metal był starty i brudny, tak że „K” było praktycznie niewidoczne. Może to jakiś znak. Pokiwała

głową: nie istniała w tym małżeństwie już od dawna. Odwróciła się i poszła w dół, w stronę kościoła Peppercanister, gdzie zostawiła auto. Drogę do domu Stephanie przejechała z radiem nastawionym na stację rockową i rozgłoszonym tak bardzo, żeby nie musiała myśleć.

Zaparkowała przy kanale, wyłączyła radio i otworzyła okno, wdychając mroźne powietrze, aż zapiekły ją policzki i oczy. W uszach wciąż rozbrzmiewała głośna muzyka. Przez ozdobną bramę z kutego żelaza, która chroniła małe podwórko przed nieproszonymi gośćmi, Kathy wyraźnie widziała dom Stephanie, numer 28.

Audi Roberta stało pod domem, obok srebrnego bmw kochanki. W salonie paliły się światła, dodając ciepłą złotą poświatę do popołudniowego słońca.

Kathy dobrze знаła ten pokój: będzie pamiętała każdy szczegół aż do śmierci. Stephanie pewnie siedzi na krześle na wprost okna, a Robert na kanapie naprzeciwko. Piją wino... nie, Robert nie zaryzykuje, by po drodze do domu nie zatrzymała go policja. Raczej pije herbatę z kubka. Rozmawiają, robią plany, podejmując decyzje, zastanawiają się, co powiedzieć Kathy i jak przygotować dzieci.

Kathy wyłączyła silnik. Wciąż patrzyła na dom, nie zdając sobie sprawy, że po policzkach płyną jej łzy i zaczyna szlochać. Po tym wszystkim, co jej obiecał, szansie, którą mu dała. Złamał jej serce: nigdy przedtem nie rozumiała, co naprawdę oznacza to wyrażenie.

Zadzwoiła komórka. Odebrała, nie patrząc na ekran. Sheila.

- Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko okej. Jadę do Swords, ale korki są paskudne. Gdzie jesteś?

- Przed jej domem - wyszeptała Kathy.

- A on?
 - W środku.
 - Cóż, teraz wiesz wszystko. Odjedź stamtąd albo, to nawet lepiej, pozwól, żebym po ciebie przyjechała.
 - Nie. Zostaw mnie. Muszę to zrobić. Muszę to załatwić.
 - Kathy, proszę... - błagała Sheila.
 - Pozwól mi. Siostra westchnęła.
 - Rozumiem.
 - Sheila - odezwała się nagle Kathy - któregoś wieczoru powiedziałaś, że nigdy nie chciałabyś narazić innej kobiety na to, przez co ja teraz przechodzę. Mówiłaś poważnie?
 - Uwierz mi. Już powiedziałam Allenowi, że z nami koniec.
- Kathy skinęła głową.
- Dzięki. Zadzwoń później.
- Rozłączyła się i od razu wcisnęła klawisz szybkiego wybierania.
- Halo... halo?
- Głos Roberta był ochrypły i skrzeczący, jakby brakowało mu tchu. Ciekawe, co robił, zanim zadzwoniła. Wyobrażenia podsuwała jej wszelkie możliwe, wyraźne i obrzydliwe obrazy. Starła się, by jej głos zabrzmiał spokojnie i wesoło, musiała też przykryć słuchawkę, żeby stłumić odgłosy przejeżdżających samochodów.
- To ja. Chciałam tylko sprawdzić, jak się trzymasz.
 - Kathy... tak, wszystko dobrze.
- Czemu nazwał ją po imieniu? Oczywiście, chciał powiedzieć Stephanie, kto dzwoni. Pytała dalej:
- Gdzie jesteś?
 - W biurze.

- Nie siedź tam za długo - powiedziała, patrząc w okno domu Stephanie.
- Niedługo będę w domu - odparł szybko i rozłączył się, zanim zdążyła coś dodać.

Nie chciał, żeby zadawała kolejne pytania... Nie chciał, żeby zabierała mu zbyt dużo czasu. Był zajęty. Kobieta, którą kochał. **Kocham cię**. Tak napisał w e-mailu. **Kocham cię**. Kathy pamiętała, kiedy ostatnio skierował te słowa do niej. Cztery dni temu. Stała w tamtym domu, twarzą w twarz z Robertem i jego kochanką. Spytała go wprost, a on odpowiedział, że ją kocha. Wtedy mu wierzyła.

Teraz nie.

Wydawało jej się, że nie ma już więcej łez, że wypłakała wszystkie. Ale siedząc w samochodzie, ściskając w ręku telefon, czuła, że napływają kolejne. Płakała.

Czas się zatrzymał. Świat zawężił się do drzwi domu za żelazną bramą. Znow zaczęło padać. Dwie warstwy śniegu pokryły auto białymi kryształkami. Zrobiło się zimno, ale Kathy nic nie czuła. Z obojętnym wyrazem twarzy patrzyła, jak w sypialni zapala się światło, a za zasłonami porusza się postać. Potem światło zgasło.

Później, znacznie później, zobaczyła dostawcę pizzy na skuterze.

Podjechał do bramy, która otworzyła się szeroko. Kathy przez chwilę widziała Stephanie stojącą w drzwiach, elegancką i piękną, ubraną na czarno i kremowo.

Światło w sypialni znow się zapaliło.

Kochanka wstała i zamówiła jedzenie. Teraz zanosila je na górę swojemu facetowi.

Kathy widziała wyraźnie kształt poruszający się za zasłonami, a potem, chwilę później, niewyraźny zarys drugiej osoby chodzącej po pokoju.

Chciała zadzwonić jeszcze raz. Chciała też podejść do drzwi i walić w nie, krzycząc, dopóki jej nie wpuszczą. Ale nie chciała dawać im satysfakcji z takiego przedstawienia.

W sypialni zauważyła jakiś ruch. Potem nagle otworzyły się drzwi wejściowe i pojawił się jej mąż. W rękach trzymał ubrania - koszule, krawaty, buty.

Sztywna i obolała, zmarznięta do szpiku kości, Kathy zapaliła samochód i odjechała, kiedy Robert wsiadał do swojego auta.

Widziała już dość.

POGRZEB JIMMY'EGO MORANA CMENTARZ GLASNEVIN

Rozdział 45

Poniedziałek, 30 grudnia

- Pięknie przemawiałeś - oceniła krótko Kathy, kiedy szli za karawanem między grobami na cmentarzu Glasnevin. Posuwali się powoli, torując sobie drogę przez błotniste, pokryte kałużami alejki. Długa kolumna mężczyzn w ciemnych garniturach i eleganckich kobiet podążała za nimi.

- Miałem nadzieję, że uda mi się powiedzieć, co chciałem, i nie załamać się - odparł Robert, kuląc się przed lodowatym wiatrem wiejącym spomiędzy grobów.

- Udało ci się.

Kathy nie dodała, że pożegnalna mowa Roberta chwilami wydawała się boleśnie żenująca.

Mąż przechylił głowę i obejrzał się przez ramię.

- Chyba zjawili się wszyscy ludzie związani z irlandzkim biznesem rozrywkowym - oświadczy! z dumą. -Ktoś mówił, że przyjechał nawet Peter OToole. Pewnie on i Jimmy razem pili.

- Nie widziałam go - odpowiedziała Kathy. Widziała za to Stephanie Burroughs.

Tylko przez moment, kiedy wyjeżdżali z małego parkingu przy kościele, widziała Stephanie. Siedziała na siedzeniu pasażera w najnowszym mercedesie, obok przystojnego starszego mężczyzny, którego Kathy skądś pamiętała. Nie była pewna, czy Stephanie ją zauważyła, ale cieszyła się, że tamta przyjechała. Kathy miała zamiar dziś z nią porozmawiać, a cmentarz był ku temu równie dobrym miejscem, jak każde inne.

Pogoda, piękna i słoneczna przez cały poprzedni tydzień, w końcu się załamała. Padało podczas mszy, a mieszanina lodu i deszczu odbijała się od kościelnych witraży. Kiedy żałobnicy w końcu wyszli z kościoła, zobaczyli, że ziemia przykryta jest małymi kawałkami lodu, który chrząścił pod stopami i utrudniał chodzenie. Długi, poza-wijany sznur samochodów wyruszył w kondukcje z kościoła, jechał przez Ballymun, otoczony przez funkcjonariuszy Gardy, którzy mieli zapewnić spokojny przejazd. Znow zaczęło padać, a na samochody spadała warstwa lodowatej brei, z którą wycieraczki, nawet włączone na pełną moc, ledwo sobie radziły. Idealna pogoda na pogrzeb.

Na cmentarz Glasnevin mógł wjechać tylko karawan. Goście musieli podążać za nim na piechotę.

Charles Flintoff zaparkował naprzeciwko wejścia i wysiadł z samochodu. Otworzył tylne drzwi, wyjął błękitny parasol i podszedł do drzwi pasażera, pomagając Stephanie wysiąść, cały czas chroniąc ją przed deszczem.

Uśmiechnęła się w podziękowaniu i weszli na cmentarz, z trudem manewrując wśród nieregularnych ścieżek. Stephanie źle się ubrała: zamiast wysokich butów i spodni, włożyła obcasy i czarną spódnicę. Nie czuła się dobrze, idąc pod rękę z Flintoffem. Wiedziała, że ludzie się przyglądają: najpierw jemu - przecież wszyscy znali Charlesa - a potem jej, zastanawiając się, kim jest, i zapewne wyciągając błędne wnioski. Zaczynała żałować, że zgodziła się, by szef odebrał ją i razem pojechali do kościoła i na cmentarz.

Słuchała w kościele mowy Roberta. Wyglądał na wyczerpanego - pewnie nie spał zbyt wiele, od kiedy wyrzuciła go z domu w sobotni wieczór. Jego przemówienie było co najmniej przesłodzone. Według Roberta Jimmy był najwspanialszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi. Zauważyła zresztą cyniczne uśmiechy, a nawet dotarły do niej chichoty, kiedy Robert rozpląwał się nad przymiotami Jimmy'ego. Zapewne większość ludzi zgromadzonych w kościele znała prawdziwe oblicze zmarłego.

Mikey Moran, najstarszy brat Jimmy'ego, mówił krótko i skromnie o spędzonym razem dzieciństwie i dziękował Robertowi za pomoc w organizacji pogrzebu. Stephanie rozglądała się dokoła, szukając Angeli - nie widziała jej w kościele, ale na pewno tam była.

- Żadna z nich się nie pokazała - wyszeptał Charles, patrząc znad krawędzi okularów.

Stephanie spojrzała na niego pytająco.

- Ani Angela, ani Frances tłumaczył. Pewnie obie myślały, że pojawi się ta druga i nie chciały znaleźć się w centrum uwagi. Przyjaciół tłumaczył mi, że Angela pojawiła się na wyprowadzeniu zwłok w sobotę, bo wiedziała, że Frances tam nie będzie.

Stephanie pokiwała głową. Pomyślała, że to smutne -dwie kobiety, które Jimmy kochał najbardziej, w takiej chwili wołały go porzucić. Zauważyła przed sobą Kathy, idącą u boku Roberta przez labirynt starych, pokręconych drzew. Uznała, że wygląda fatalnie, ma ziemistą cerę i rażąco duże, ciemne oczy. Opakowała się w wielki czarny płaszcz i zakryła ogromnym parasolem. Stephanie zauważyła, że nie podzieliła się nim z mężem.

Robert Walker był wściekły.

Próbował z całych sił ukryć swoje emocje. Jakby nie dość samego pogrzebu, ani Angela ani Frances nic raczyły przyjść Jimmy dostał podwójny policzek. I jeszcze Stephanie, która pojawiła się uwieszona na ramieniu swojego szefa! Najwyraźniej nie marnowała czasu! Może stwierdzi, że to dziecko Flintoffa, pomyślał mściwie. Potrząsnął nieświadomie głową, co zaskoczyło Kathy.

- Co się stało?

- Nic - wymamrotał. - Wszystko. Pieprzona pogoda - pokazał na przemoknięty but. - Wszyscy dostaniemy zapalenia płuc.

Kathy nie chciała przypominać, że radziła mu włożyć botki. Wiedziała, jak będzie wyglądała ta część Glasnevin: znała ją dobrze: tu spoczywali jej rodzice, a także niezliczeni wujkowie, ciotki, kuzyni, bratankowie i siostrzeńcy. Kathy chciała, by po śmierci ją także pochowano tutaj.

Robert ją nie obchodził.

Dla Jimmy'ego Morana przygotowano miejsce w starej części cmentarza, niedaleko jej matki, w cieniu wieży stojącej z tyłu nekropolii. Wiele grobów zarosły chwasty lub zasłoniły dywany wysokiej dziczałej trawy. Wielu napisów nagrobnych nie dawało się już odczytać, płyty

były przesunięte, kilka leżało wprost na ziemi. Na niektórych grobach widniały jeszcze ozdobne celtyckie krzyże, aniołki o pustych spojrzeniach i klęczące Madonny. Irlandzkie zimy i lata zniszczyły rysy większości z tych rzeźb, nadając twarzom przerażający wygląd. Gdzieś widać było zniszczenia, jakie poczyniły nie tylko żywioły, ale także czas i wandalę. W zmarzniętej i brązowej ziemi, usianej kupkami topniejącego śniegu, odznaczał się prostokątny, otwarty grób, niczym ponura i odstręczająca rysa w krajobrazie.

Karawan zatrzymał się w tamtym miejscu, a kiedy Robert pomagał wyjmować trumnę, Kathy stała nieruchomo, pozwalając, by tłum minął ją, aż w końcu znalazła się prawie na końcu kolejki. Przybyli ostatni spóźnialscy, ustawiając się dookoła grobu. Nie chciała stać na krawędzi tej wielkiej dziury i patrzeć w dół. Półtora roku temu, kiedy musiała zrobić to przy otwartym grobie matki, czuła się tak, jakby coś ciągnęło ją do ziemi - tylko silna dłoń Maurecn pozwoliła jej zachować pionową pozycję. Kathy odwróciła się i zobaczyła Stephanie, która właśnie stawała z brzegu. Ich oczy spotkały się.

Spojrzały na siebie, potem Kathy zaczęła iść przez tłum w stronę Stephanie, która skrzyła w prawo i szła wąską błotnistą ścieżką. Kathy zatrzymała się przy krzyżu bez ramion, na którym widać jeszcze było serce oplecione cierniem wyryte w kamieniu. Czekwała, aż tamta ją dogoni. Tuż przy krawędzi wykopanego grobu, wystającej nieco ponad poziom ziemi, Robert Walker właśnie odwracał się, kiedy zobaczył Kathy i Stephanie wpatrujące się w siebie. Poczuł, jak żołądek zwija mu się w supeł i bał się, że za chwilę zwymiotuje. Nie mógł zbliżyć się do nich.

Kathy Walker odezwała się pierwsza, głosem lodowatym jak panująca pogoda.

- Cieszę się, że przyszedłaś. Miałam nadzieję, że się spotkamy. Nie muszę jechać do ciebie do domu.

Przesunęła czarną parasolkę, by osłonić Stephanie, i stanęły blisko siebie. Stephanie patrzyła na nią w milczeniu.

- Chciałam ci to dać - znów odezwała się Kathy. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła czystą brązową kopertę.

Stephanie spojrzała na podaną jej kopertę, czując, że coś twardego przesuwa się w środku. Trzymając kopertę w ubranych w czarne rękawiczki dłoniach, rozdarła jeden koniec i wyrzuciła zawartość na prawą dłoń.

W miękkiej czarnej skórce leżała lekko znoszona złota obrączka.

- Już jej nie chcę Kathy nie potrafiła ukryć drżenia w swoim głosie.

- Ja też nie! - krzyknęła z przerażeniem Stephanie.

- Chcesz Roberta - warknęła Kathy - to go masz. Będiesz tego potrzebować, by mógł odejść.

- Nie chcę go - ze złością zaprzeczyła Stephanie. - Nie chciałabym go, nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na ziemi!

Kathy ze zdziwienia aż zamrugła. Gdyby nie była tak pewna swoich racji, może nawet uwierzyłaby Stephanie.

Sto jardów dalej Robert umierał z niezdecydowania.

Chciał musiał - podejść do obu kobiet, porozmawiać z nimi... I co? Co mógł właściwie zrobić? O czym one rozmawiały? Czy Stephanie

powiedziała Kathy o dziecku? Co na Boga się tam działo?

Widział, jak żona podaje coś Stephanie. Co to mogło być?

Czul, jak serce wali mu coraz bardziej, a on sam zaczyna się mocno pocić.

- Wiem, że był wczoraj u ciebie - mówiła Kathy.

- Poprosiłam, żeby przyjechał.

Ta odpowiedź zdenerwowała Kathy. Podniosła głos:

- Przyznałaś się!

Nagły podmuch wiatru zakręcił parasolem i obie musiały się odwrócić.

Teraz patrzyły na ceremonię, a strumienie padały za ich plecami. Obie

widziały stojącego obok księdza Roberta. Jego twarz była blada i

zrozpaczona. Patrzył w ich stronę.

- Zobaczył nas - zauważyła Stephanie. - A pewnie bardzo nie chciałby widzieć nas razem.

- Byliście razem całe wczorajsze popołudnie ciągnęła Kathy. - Stałam przed twoim domem. Widziałam, jak przynoszą wam jedzenie.

Patrzyłam, jak mój mąż odjeżdżał ze swoimi ubraniami w rękach.

- To wszystko prawda Stephanie odwróciła się. Kathy zdziwił złośliwy uśmiech na jej twarzy. - Zażądałam, żeby się wczoraj ze mną spotkał.

Powiedziałam mu, że jestem w ciąży.

Kathy myślała, że nie może już cierpieć bardziej. W tej chwili poczuła, jakby ktoś ją uderzył. Przytrzymała się nagrobka, by nie upaść. Stephanie złapała ją za rękę i podtrzymała.

Usta Kathy ułożyły się, by powtórzyć „w ciąży”, ale nic wydobyła z siebie głosu.

- Kiedy do mnie przyjechał, był zmęczony i wyglądał fatalnie. Zrobiło mi się go żal, bardzo, bo wiem, że mocno przyjaźnił się z Jimmym. Najpierw rozmawialiśmy o nim, potem zaproponowałam, żeby wziął prysznic - chciałam, żeby był przytomny, kiedy powiem mu o dziecku.

Bardzo chciał odejść od grobu, utorować sobie drogę przez tłum i podejść do obu kobiet. Ale wszędzie stali fotografowie. Na pewno wyłapałoby każde niezwykle wydarzenie. Robert widział, jak Stephanie nagle podtrzymuje Kathy. Dopiero teraz, z dystansu, zauważył po raz pierwszy ich niesamowite fizyczne podobieństwo - można było je uznać za siostry. O czym rozmawiały?

Stephanie patrzyła Kathy prosto w oczy.

- Wziął prysznic, potem poszłam na górę, żeby porozmawiać, ale on zasnął jak kamień. Nie miałam serca go budzić.

Ciągle trzymała Kathy **za** rękę, ściskając ją mocno.

- Przysięgam, Kathy. Nie spałam z nim. Nie leżałam z nim w łóżku.

Zresztą dopiero zjawiłam się ze Stanów.

Dlatego nie mógł cię znaleźć. Stephanie skinęła.

- Poleciałam do domu w Wigilię. Wróciłam, kiedy dowiedziałam się o ciąży.

- O ciąży...

Kathy oblizła spierzchnięte usta, czując smak deszczu. Przyrodni brat albo siostra dla Brendana i Theresy. Nie będzie mogła tego ukryć przed swoimi dziećmi a wtedy dowiedzą się także o romansie ojca.

Głos księdza dotarł do nich przez zimowy cmentarz, a gdzieś w oddali, na porannym niebie, wzniosło się trio czarnych ptaków, głośno łopocząc skrzydłami. Stephanie wzrokiem śledziła ich lot. Nie spuszczaając głowy, mówiła dalej:

- Pozwoliłam mu się wyspać. Nie miałam w domu nic do jedzenia, więc zamówiłam pizzę. Pochłoniął ją, jakby nie jadł od kilku dni.

- Bo nie jadł - przyznała Kathy.
- W końcu zaczęliśmy rozmawiać o dziecku. - Stephanie nagle odwróciła się do Kathy, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami bez wyrazu. - Kathy - wyszeptała - on chciał, żebym usunęła ciążę. Rozpłakała się, a łzy mieszały się z kroplami deszczu na policzkach.
- Chciał, żebym usunęła ciążę. Stephanie oddychała głośno i z trudem.
- Podał mi ileś tam powodów - zawodowych, osobistych, głupich powodów. zaproponował, że zapłaci, że zrobią mi szybki zabieg, a potem spędzimy kilka wolnych dni w Londynie. „Pozwiedzamy”, powiedział, „a potem wrócimy do normalnego życia”.
Nagle Kathy objęła Stephanie i przytuliła zapłakaną młodą kobietę.
- Kathy, ja go kochałam, kochałam całym sercem! A on nie chce dzieci. „Już mam rodzinę”, powiedział. Myślał, że pozbędę się tego dziecka i życie wróci do normalności. Chciał mieć romans, ale nie potrafił stawić czoła jego następstwom. Nienawidzę go. Nienawidzę.
Kiedy Robert zobaczył, jak Kathy przytula Stephanie, nie wytrzymał. Przeprosił i zaczął przeciskać się przez tłum.
Stephanie ciągle płakała, a Kathy próbowała ją uspokoić.
- Krzyczałam, wrzeszczałam na niego. Kazałam mu oddać klucz, wyrzuciłam jego ciuchy i jego samego. Nie chcę go więcej widzieć. Trzęsła się ze złości.
- Myślałam, że go znam. Ale nie znam.
- Ja też nie - delikatnie powiedziała Kathy. - Nie jest tym mężczyzną, za którego wyszłam.

Ciągle podtrzymując Stephanie, podniosła głowę i zobaczyła, jak Robert przeciska się między nagrobkami, idąc w ich kierunku.

W końcu dotarł, dysząc ciężko.

- Kathy... Stephanie... Ja... - zaczął, ale zamilkł, kiedy dwie kobiety spojrzały na niego z takim samym wyrazem twarzy - mieszaniną obrzydzenia i pogardy.

- Chciałeś, żeby Stephanie usunęła ciążę! - Kathy prawie wypluła te słowa na ziemię.

- Poczekaj... - zaczął się miotać. - To ci właśnie powiedziała?

- Tak. A ja jej wierzę, Robercie.

- Nie widziałem się z nią... - próbował się ratować.

- Śledziłam cię w sobotę - mówiła Kathy.

W oczach Roberta zauważyła złość, ale mówiła dalej, ignorując go.

- Widziałam e-mail, który wysłałeś do Stephanie - pisałeś, że ją kochasz. Przecież powiedziałeś, że będziesz się trzymał od niej z daleka - to było kłamstwo - a teraz wciąż kłamiesz. Każda chwila twojego życia to kłamstwo. Jimmy nie dzwonił w Boże Narodzenie, prawda?

- Dzwonił...

- Ja dzwoniłam w Boże Narodzenie - odezwała się Stephanie. -

Wczesnym popołudniem irlandzkiego czasu.

- W Wigilię wieczorem nie pojechałeś do biura. Firma ochroniarska twierdzi, że nie było żadnego wezwania - nieubłaganie ciągnęła Kathy. - W sobotę także nie pojechałeś do firmy, tylko do Stephanie. Chciałeś ją przekonać, by usunęła ciążę, bo tobie nie pasowało, by urodziła dziecko!

- Dobrze, przyznaję, pojechałem do Stephanie. Zasugerowałem, żeby pozbyła się dziecka. Pomyślałem, że tego właśnie chce.

Kathy nie słuchała. Odwróciła się do Stephanie.

- Byłam pewna, że spaliście z sobą w sobotę. Stephanie otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale Kathy uciszyła ją, zanim zdążyła się odezwać.

Wiem, że tak nie było. Teraz wiem. Miałam zamiar go rzucić z tego powodu. Teraz znam prawdę. Robert wydawał się uspokajać.

- Choć to niczego nie zmienia.

Kathy wzięła obrączkę z dłoni Stephanie i rzuciła nią w Roberta.

Próbował ją złapać, ale obrączka upadła w błoto pod stopami.

- Z nami koniec, Robercie Walkerze.

Patrzyła, jak próbuje podnieść drobny pierścionek palcami w rękawiczkach.

Kilka dni temu przysięgałam sobie, że następny rok będzie inny. Nie wiedziałam jeszcze, jak bardzo inny. Nie wracaj do domu, Robercie. Nie chcę cię już więcej widzieć. Skontaktuje się z tobą mój prawnik. Wniosę sprawę o rozwód.

Odwróciła się i odeszła, ramię w ramię ze Stephanie. Kiedy przechodziły między grobami, zobaczyły zmokniętą młodą kobietę z ciemnymi włosami przyklejonymi do twarzy, śpieszącą przez cmentarz z bukietem przywiedłych kwiatów w ręce.

- Frances - zauważyła Kathy. - Kochanka Jimmy'ego.

Obejrzała się przez ramię.

Robert stał tam, gdzie go zostawiły. Patrzył za nimi, zupełnie oniemiały.

Zdjął rękawice i poczuł zimne złoto na dłoni. Patrzył w stronę, gdzie

Kathy i Stephanie szybko zniknęły między drzewami.

Co się właśnie stało?

Tak, skłamał Kathy co do odwiedzin u Stephanie, ale chyba żona rozumiała, dlaczego tak postąpił? Nie mógł przecież powiedzieć jej, że pojechał do kochanki... cóż, byłej kochanki. A jak by zareagowała, gdyby dowiedziała się, że to Stephanie dzwoniła do domu w Boże Narodzenie? W każdym razie sprawa ze Stephanie skończona... w końcu przyjechała tutaj z innym mężczyzną. Choć jak każda porzucona kobieta, musiała się zemścić: nastawiła Kathy przeciwko niemu.

Pokręcił głową i odszedł, kierując się z powrotem w stronę grobu.

Rozwód? Próbował się zaśmiać, ale z gardła wydobył się jedynie zduszony kaszel. Wszystko się ułoży, Kathy wróci zdrowy rozsądek. Był tego pewien.

- Wiesz o tym, że będzie próbował wrócić, prawda?

- odezwała się Stephanie.

Pewnie tak, ale raczej nie dzisiaj. Prześpi się w biurze. Choć z pewnością przyjedzie do domu jutro, na Sylwestra albo w środę. Wtedy okaże się, że zmieniłam zamki. Kiedy dowiedziałam się, że ma romans, chciałam dać mu szansę. Miał tylko być ze mną szczerzy. Nawet tego nie potrafił.

Mogliśmy zacząć od nowa.

Może...

- Nie jesteś pewna.

- Za kilka lat miałyby kolejny romans, z inną kobietą

- powiedziała cicho Stephanie.

- Pewnie tak - zgodziła się Kathy. - Musimy porozmawiać o dziecku - dodała.

Stephanie pokręciła głową.

- Nie musimy. Falszywy alarm. Dziś rano dostałam okres.

Uśmiechnęła się na widok zdziwionej twarzy Kathy.

- Poczulałam się dokładnie tak samo.
- Pewnie ci ulżyło - nerwowo powiedziała Kathy.
- Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Stéphanie zamilkła i dodała po chwili z przekornym uśmiechem:

- Choć już przyzwyczaiałam się do tej myśli - przyznała. - Zaczęłam nawet planować różne rzeczy, jak to zwykle robią kobiety w ciąży.
- Plany, które zmieniają całe życie? - Kathy pokiwała głową ze zrozumieniem. - Tak, pamiętam je.

Wzięła Stéphanie pod rękę i dodała:

- Więc obie samotnie zaczniemy nowy rok. Bez faceta. Tego samego faceta - uśmiechnęła się.
- Nadchodzą ciekawe dni... szczególnie dla ciebie.
- Będzie ciężko - przyznała Kathy. Nie mam co do tego złudzeń. Gdy w sobotę stałam przed biurem, patrzyłam na tabliczkę z napisem R&K Productions i myślałam o tej młodej kobiecie, którą kiedyś byłam. Miałam własne marzenia i ambicje, które poświęciłam dla męża, domu i rodziny. Połowa R&K jest moja. Chyba założę własną firmę producencką. Maureen na pewno do mnie dołączy i pewnie nam się uda. Co o tym myślisz?

- Myślę, że to doskonały pomysł.

Szły obok siebie, minęły okrągłą wieżę i skierowały się w kierunku wyjścia.

- Co myślisz o spółce? - nieśmiało spytała Stéphanie.

Podziękowania

Kolejny raz chciałabym podziękować wszystkim z wydawnictwa Poolbeg, szczególnie Pauli, Kieranowi, Gaye i Claire, za nieocenioną cierpliwość i wyrozumiałość.

Ponownie muszę także wyrazić wdzięczność osobom, do których zwracałam się z wątpliwościami i z prośbą o radę: nieśmiałej CS, małomównemu JC (i MC) i skromnej GW. Bywało, że słuchałam ich podpowiedzi, a od czasu do czasu postępowałam zgodnie z ich radami.